

Murray Leinster

Operacja: Kosmos

(Operation: Outer Space)

Pierwsze wydanie: Fantasy Press, 1954

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain

This text is translation of the novel "Operation: Outer Space" by William Fitzgerald Jenkins (Murray Leinster), published by Project Gutenberg, May 10, 2006 [eBook #18361]

According to the included copyright notice:

"Extensive research did not uncover any evidence that the copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

I

Kiedy jego helicab, delikatnie mrucząc, unosił się nocą ponad miastem, Jed Cochrane próbował podejść do całej tej sprawy w cyniczny sposób. Taksówka leciała na wysokości dwu tysięcy stóp, a oświetlone budynki wydawały się strzelać w jej stronę z ciemnych kanionów ulic. Wszędzie było pełno światła i ludzi, i Cochrane sardonicznie napominał się, że w końcu przecież nie jest nikim lepszym od tych tam, na dole, tylko próbuje nie dopuścić tej myśli do siebie. Spojrzał na dół, na drzewa i krzewy na dachach, oraz na potańcówkę, która właśnie odbywała się na wierzchołku jednego z najwyższych budynków. W ostatnich latach wszystkie dachy były wykorzystywane jako przestrzeń rekreacyjna. Było to po prostu jedyne dostępne wolne miejsce, możliwe do wykorzystania. Kiedy patrzy się z góry na miasto, takie jak to, człowieka nachodzą cyniczne myśli. Czternaście milionów ludzi w tym mieście. Dziesięć milionów w tamtym. Osiem milionów w kolejnym, plus dziesięć w następnym, a dwanaście milionów w jeszcze innym... Wielkie miasta. Rojące się w nich miliony ludzi, a wszyscy desperacko się niepokoją -- jak zgryźliwie uświadomił sobie Cochrane -- wszyscy desperacko się niepokoją o swoją pracę i jej utrzymanie.

– Podobnie jak i ja – szorstko powiedział sobie Cochrane. – No pewnie. Łydki mi drżą ze strachu dokładnie tak samo jak wszystkim pozostałym!

Uświadomienie sobie tego, że oszukiwał sam siebie, trochę go jednak zabolowało. Wydawało mu się, że był kimś ważnym. Przynajmniej ważnym dla agencji reklamowej Kursten, Kasten, Hopkins and Fallowe. Ale właśnie w tej chwili był drodze -- jak zwykły chłopak na posyłki -- aby złapać rakietę księżycową do Lunar City, o czym został poinformowany przez sekretarkę szefa, zaledwie trzydzieści minut temu. Kazano mu, od tak, mimochodem, żeby natychmiast udał się do portu rakietowego. Tą samą rakieta, mieli polecieć jego sekretarka, dwóch techników i scenarzysta. Odpowiednie instrukcje otrzyma od doktora Williama Holdena, już w drodze.

Część jego umysłu odpowiedziała oburzeniem. *„Poczekaj tylko, aż złapię przez telefon Hopkina! To jakieś nieporozumienie! Nie wysyłałby mnie stąd nigdzie, kiedy mam na głowie Godzinę z Dikkipati! Jeszcze nie zwariował!”*. Pomimo tego jednak, właśnie był w drodze do portu kosmicznego. Po odebraniu wiadomości o wyjeździe, szalał ze wściekłości. Upierał się, że musi osobiście porozmawiać z Hopkinsem, zanim wykona podobne polecenia. Jednak w efekcie tego wszystkiego, znalazł się w drodze do portu kosmicznego. Leciał helicabem i dokonywał pewnych korekt stanu swojego umysłu, uwzględniających upokorzenie, które nieświadomie widział w tym wszystkim. W jego umyśle wyróżnić można

tak naprawdę trzy poziomy świadomości. Pierwszy z nich wykorzystywał defensywny cynizm, drugi rozpaczliwie upierał się, że nie może być kimś aż tak nieistotnym, jak sugerowały to otrzymane polecenia, i trzeci który przyglądał się pozostałym dwóm, jak lecą wydającym z siebie ledwie słyszalne, pulsujące wibracje helicabem, ponad ciemnymi kanionami ulic miasta i niezliczonymi odseparowanymi od siebie światłami dachów.

Gdzieś, wysoko w górze rozległ jakiś wysoki, ryczący huk. Cochrane z szarpnięciem poderwał głowę do góry. Gwiazdy wypełniały cały firmament, ale wiedział gdzie powinien patrzeć. Zaczął wpatrywać się prosto ponad siebie.

Jedna z gwiazd robiła się coraz jaśniejsza. Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy kiedy po raz pierwszy na nią spojrzął, ale natychmiast to zauważył, gdy już ją znalazł. Utkwił w niej wzrok. Gwiazda była bardzo biała, i w ciągu kilku minut obserwacji, nie wydawała się jakoś specjalnie różnić, od innych swoich towarzyszek. Ale robiła się coraz jaśniejsza. Wkrótce stała się bardzo jasna. Była jaśniejsza od Syriusza. Po kilku kolejnych sekundach zrobiła się jaśniejsza nawet od Wenus. Jej jasność rosła coraz szybciej. Stała się najbardziej jaskrawym obiektem na całym niebie, poza widoczną częścią tarczy Księżyca, a intensywność jej zimnego światła była nawet większa od niego. Teraz Cochrane był już w stanie dostrzec, że gwiazda nie jest doskonale okrągła. Na jej końcu widać było wyraźnie, długi na jedną czwartą mili, język płomieni odrzutu rakiet.

Rakieta schodziła na dół, z dużą szybkością. Widać było, jak pionowy zaostrzony ołówek światła, nurkuje w stronę ziemi. W miarę jak schodził w dół, wyraźnie zwalniał, bezduszenie zalewając swoim blaskiem wszystkie pojazdy latające, unoszące się ponad miastem. W świetle tym widać było również w najdrobniejszych szczegółach port kosmiczny. Cochrane bez trudu mógł dostrzec jego budynki i inne rakietę księżycowe, czekające na start, mający nastąpić za pół godziny, a może nawet szybciej.

Biały płomień uderzył o ziemię i rozprysnął się na niej. Rozwinął się w szeroki, płaski dysk, o niemożliwej do zniesienia jasności. Gładki kadłub statku, który ciągle zsuwał się na płomieniu, rozbłysnął jaskrawo, zanurzając się w wytworzonym przez siebie piekle.

Potem światło zgaśło. Zalewający wszystko blask gwałtownie się urwał. Pozostała jedynie przyćmiona czerwona poświata, w miejscu gdzie przez krótką chwilę płyta startowa portu kosmicznego, rozżarzyła się pod wpływem płomieni odrzutu. Ta czerwień szybko zniknęła -- i Cochrane zdał sobie sprawę, z panującej dookoła niesamowitej ciszy. Naprawdę nie zauważał ogłuszającego ryku rakiet, zanim on nie ustał.

Helicab leciał dalej, niemal w zupełnej ciszy, przerywanej jedynie wibrującym pulsowaniem górnych płatów pojazdu, pracujących bez wydawania niemal żadnych odgłosów.

„Oszukiwałem się również, co do tych rakiet” – powiedział Cochrane z goryczą, sam do siebie. – „Uważałem, że osiągnięcie Księżyca, oznacza wyruszenie do gwiazd. Nowe planety do życia. Człowiek ma dużo więcej frajdy, zanim pozna całą prozę życia!”

Wiedział jednak, że ten cynizm i zgorzknienie, wynika głównie z jego zranionej próżności, która ciągle upierała się, że to wszystko było jedną

wielką pomyłką. Otrzymał polecenia, odzierające go z iluzji, co do ważności jego osoby dla firmy i dla spraw, którym poświęcił wiele lat swojego życia. Zderzenie się z faktem, że jest się po prostu tylko kolejnym człowiekiem do dyspozycji, kolejnym pionkiem który można spisać na straty, naprawdę bolało. Większość ludzi, walczyła z takim odkryciem, a niektórym, nawet udało się skutecznie ukrywać je przed sobą. Cochrane jednak z brutalną wyrazistością dostrzegał swoje osobiste oszustwa, nawet kiedy próbował je od siebie odrzucić. Nie czuł w stosunku do swojej osoby najmniejszej admiracji.

Helicab zaczął obniżać lot, zmierzając w stronę budynku portu kosmicznego. Niebo było wypełnione gwiazdami. Ziemia w dole -- oczywiście -- cała pokryta zabudową. W odległości trzydziestu mil, we wszystkich kierunkach, nie było nawet skrawka wolnego terenu, poza samym portem kosmicznym. Taksówka zeszła w dół, na wysokość tysiąca stóp. Na pięćset stóp. Cochrane widział dopiero co przybyłą rakietę, otoczoną pojazdami ładunkowymi, krzątającymi się pracownicy wokół niej i unoszącymi się nad nią w górze. Dostrzegł również rakietę, którą powinien polecieć, stojącą w pionie na lekko oświetlonym stanowisku startowym.

Taksówka dotknęła ziemi. Cochrane wstał i uiścił opłatę. Wyszedł na zewnątrz, a taksówka uniosła się na wysokość czterech czy pięciu stóp, i odleciała żeby zająć miejsce na końcu kolejki oczekujących.

Wszedł do budynku portu kosmicznego. Czuł, że przepełniająca go gorycz, jeszcze narasta. Wtedy spotkał Billa Holdena -- doktora Williama Holdena -- z ponurą miną opierającego się o ścianę.

– Zdaje się Bill, że masz dla mnie jakieś polecenia – sardonicznie stwierdził Cochrane. – A więc, jakiej to pomocy w zakresie psychiatrii, będę musiał ci udzielić?

Holden odpowiedział mu zmęczonym głosem:

– Wcale nie podoba mi się to bardziej niż tobie, Jed. Ani trochę. Śmiertelnie boję się podróży kosmicznych. Ale teraz już idź, wziąć swój bilet, a ja wyjaśnię ci wszystko po drodze na górę. To robota nad produkcją specjalną. Zaciągnęli mnie do tego siłą, tak samo jak ciebie.

– Szczęśliwych wakacji! – powiedział Cochrane, ponieważ Holden wyglądał tak nieszczęśliwie, jak tylko było można.

Poszedł do kasy biletowej. Podał swoje nazwisko. Na żądanie pokazał kartę identyfikacyjną. Potem stwierdził kwaśno:

– W czasie kiedy państwo tu pracujecie, chciałbym wykonać rozmowę telefoniczną.

Podszedł do płatnego wizjofonu. I znowu w jego umyśle utworzyły się trzy poziomy świadomości -- jeden świadomie i defensywnie cyniczny, drugi wystraszony odkryciem jego braku znaczenia, i trzeci, traktujący pozostałe dwa jako mało budujące widowisko.

Zadzwoił z przesadnie wystudiowaną pewnością siebie, którą z gniewem rozpoznał jako kolejną próbę samooszukiwania. Połączył się z biurem. Spokojnie powiedział:

– Tutaj mówi Jed Cochrane. Prosiłem o kontakt wizjofoniczny z panem Hopkinsem.

Na ekranie telefonu pojawiła się twarz sekretarki. Popatrzyła w swoje notatki i uprzejmie odparła:

– Ach, tak. Pan Hopkins jest na kolacji. Powiedział, że nie wolno mu przeszkadzać, ale prosił o przekazanie panu, że ma pan lecieć na Księżyc, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, panie Cochrane.

Cochrane rozłączył się i szalał ze wściekłości, a przynajmniej jedną z części swojego umysłu. Druga część -- gardził nią za to -- zaczęła argumentować, że pomimo wszystko, lepiej będzie trochę poczekać, a nie od razu widzieć w tym zamiar upokorzenia jego osoby. Przecież z całą pewnością, polecenia dla niego, musiały zostać wydane po odpowiednim namyśle. Trzecia część, odnosiła się do pozostałych dwóch, z intensywną niechęcią -- w jednym przypadku w powodu wściekłości, której nie ośmielał się wypowiedzieć na głos, w drugim z powodu prób znalezienia wymówek, aby w ogóle się nawet nie wściekać. Wrócił więc do kasy biletowej. Urzędnik oznajmił serdecznie:

– Tutaj pan jest! Reszta pańskiego zespołu jest już na pokładzie, panie Cochrane. Lepiej niech się pan pośpieszy! Start za pięć minut.

Holden przyłączył się do niego. Przeszli przez bramkę i wsiedli na ciągnik załadowczy, który miał ich zawieźć do rakiety. Holden powiedział ciężkim głosem:

– Czekałem na ciebie, mając nadzieję, że nie przyjedziesz. Żaden ze mnie podróżnik, Jed.

Mały pojazd pędził z pełną szybkością. Dla człowieka z miasta, ciemna wolna przestrzeń portu kosmicznego, była czymś zdumiewającym. Potem, ciągnik załadowczy, razem z nimi w środku, został połknięty przez pajęczą konstrukcję z metalu. Pojazd zatrzymał się. Otworzyła się przed nimi winda i powiozła ich przez noc, w stronę gwiazd, na jakąś trudną do określenia wysokość. Ponad pustką pomiędzy windą i rakieta, podjechało do nich coś w rodzaju trapezu z płóciennymi poręczami. Cochrane przeszedł nim i znalazł się u dołu spiralnej rampy, prowadzącej przez cały przedział pasażerski rakiety. Jedna ze stewardess obejrzała jego bilet. Poprowadziła go w górę rampy, i w pewnej chwili zatrzymała się.

– Oto pański fotel, panie Cochrane – powiedziała profesjonalnym tonem. – Za pierwszym razem pokażę panu jak zapiąć pasy. Później będzie pan to robił sam.

Cochrane położył się w wyściełanym fotelu, z materacami z gumowej pianki o grubości ośmiu cali. Stewardesa dostosowała długość pasów. Przez głowę przemykały mu przez cały czas gorzkie, ironiczne myśli. Usłyszał jakiś głos, mówiący:

– Panie Cochrane!

Odwrócił głowę. To była Babs Deane, jego sekretarka. Jej oczy wręcz jaśniały. Zajmowała fotel dokładnie naprzeciwko niego. Oznajmiła szczęśliwym głosem:

– Specjalistami do spraw naukowych są pan West i pan Jamison, panie Cochrane. Dostałam również pana Bella, jako scenarzystę.

– Wielki sukces! – powiedział do niej Cochrane. – Czy masz jakieś pojęcie o co tutaj chodzi? Po co lecimy tam, na górę?

– Nie – przyznała radośnie Babs. – Nie mam najmniejszego pojęcia. Ale lecę na Księżyc! To najcudowniejsza rzecz, jaka mi się przytrafiła w życiu!

Cochrane wzruszył ramionami. Wzruszanie ramionami nie było zbyt wygodną czynnością, z powodu pasów, które go krępowały. Babs była dobrą sekretarką. Była jedyną ze wszystkich, jakie kiedykolwiek miał Cochrane, która nie próbowała wykorzystać w telewizji, swojej pozycji sekretarki producenta Godziny z Dikkipatti. Inne masowo powoływały się na bliskie kontakty z nim, wyłudzając rólki, przydziały do występów tanecznych lub piosenkarskich w innych, pomniejszych show. Z reguły po co najwyżej czterech takich publicznych występach, były one odsyłane z powrotem za biurka, zepsute przez posmak sławy i nieprzydatne w dalszej pracy jako sekretarki. Babs nigdy tego nawet nie próbowała. Jednak skwapliwie skorzystała z szansy podróży na Księżyc.

Nagle rozjaśnił się ekran, wiszący wyżej, w stronę dziobu rakiety -- w górnym końcu przedziału pasażerskiego. Wyświetlił się na nim, napisany jaskrawymi czerwonymi literami, komunikat: „*Start za dziewięćdziesiąt sekund.*”

Cochrane znalazł pewien ironiczny smaczek w myśli, że jego podróż była w ogóle możliwa, dzięki wspaniałej odwadze ludzi i niewiarygodnej technologii. Bohaterowie ludzkości ponosili ogromne ryzyko, wyruszając w rozciągającą się ponad ziemską atmosferą pustkę. Wydano na to niezliczone miliony dolarów. Poświęcono olbrzymie pokłady inteligencji i nieskończone zasoby cierpienia, aby uczynić możliwą podróż o długości dwustu trzydziestu sześciu tysięcy mil przez kompletną nicość. To było najwspanialsze osiągnięcie ludzkiej nauki -- dotarcie na satelitę Ziemi i zbudowanie na nim ludzkiego miasta.

I po co? Niewątpliwie po to, żeby czyjaś sekretarka mogła wydać przez telefon polecenie, osobnikowi nazywającemu się Jed Cochrane, aby załadował się do rakiety pasażerskiej i poleciał na Księżyc. Poleciał -- po nieskutecznych protestach, ponieważ jego szef nie miał zamiaru przerywać sobie kolacji, żeby go wysłuchać -- aby dzięki temu posłuszeństwu, mógł utrzymać swoją pracę. I dla takiego wspaniałego celu, pracowali ci wszyscy naukowcy, a wybrańcy ludzkości, ryzykowali swoim życiem.

Oczywiście, napomniał sobie Cochrane, z wystudiowanym poczuciem sprawiedliwości, oczywiście, należało jeszcze wziąć pod uwagę tę niesamowicie olbrzymią wartość akcesoriów poczty księżycowej, dla entuzjastów filatelistyki. Nie można było również zapomnieć o wartości obiektów turystycznych, dla tych wszystkich, chcieli wydać taką kupę forsy, za coś, czym mogliby się później chęłpić. Były jeszcze kopalnie wykorzystujące energię słoneczną -- działające z minimalnymi tylko stratami -- i różne inne wspaniałe osiągnięcia. W Lunar City znajdował się nawet klub nocny, gdzie whisky z wodą sodową kosztowała równowartość -- powiedzmy -- miesięcznej pensji sekretarki, takiej jak Babs. No i...

Ognisto-czerwony tekst na ekranie zmienił się na inny. Obecnie głosił: „*Start za czterdzieści pięć sekund.*”

Gdzieś na dole, ze zamortyzowanym, delikatnym zdecydowaniem, zamknęły się włazy wejściowe. Wnętrze rakiety wydało się nagle

nadzwyczajnie spokojne. Cisza była wręcz nachalna. Była martwa. Potem rozległ się szum mnóstwa wirujących wentylatorów elektrycznych, wymuszających obieg powietrza.

Gdzieś pod nim, w dolnej części pionowego cylindra przedziału pasażerskiego, zabrzmiał suchy, rzeczowy głos stewardesy.

– Proszę państwa, startujemy za czterdzieści pięć sekund. Poczujecie się państwo bardzo ciężcy. Nie ma powodów do niepokoju. Jeżeli zauważycie państwo, że oddychanie jest dla państwa uciążliwe, to proszę pamiętać, że poziom tlenu w powietrzu na statku, jest wyraźnie powyżej ziemskiej normy i nie ma potrzeby abyście państwo tak głęboko oddychali. Proszę po prostu odprężyć się w swoim fotelu. Wszystko tutaj naprawdę zostało przemyślane. Wszystko zostało wielokrotnie przetestowane. Nie musicie państwo się niczym martwić. Po prostu, proszę się odprężyć.

Cisza. Dwa uderzenia serca. Trzy.

Rozległ się ryk. Był to głęboki, huczący, ogłuszający ryk, który dochodził z jakiegoś miejsca na zewnątrz kadłuba rakiety. Jednocześnie Cochrane poczuł, że coś wciska go głęboko w piankowe poduszki jego wyściełanego fotela. Czuł jak poduszki napierają mu na ciało ze wszystkich stron, tak jakby dosłownie je otaczały. Walczył z tendencją jaką nagle zaczęły wykazywać jego ręce, nogi i brzuch, aby rozpląsnąć się, rozpląnąć się na boki, aby rozsmarować go cienką warstwą po całej powierzchni fotela, w którym leżał.

Poczuł, że policzki opadają mu do tyłu. Stał się aż nazbyt wyraźnie świadom wagi przedmiotów znajdujących się w kieszeniach ubrania. Żołądek przycisnął mu się mocno do kręgosłupa. Odbierał to wszystko, jako odczucie, podobne do tego, jakby ktoś zadał mu mocne, przedłużone uderzenie w całą powierzchnię jego ciała.

Odczucie to było niesamowicie zaskakujące, pomimo tego że czytał o tym wszystkim wielokrotnie. Tak więc po prostu leżał nieruchomo i bez protestów poddał się napierającej na niego sile. Po pewnym czasie stwierdził, że ciężko mu się oddycha. Po kolejnej chwili, zauważył, że odrętwiała mu jedna ze stóp. Próbował ją przesunąć, ale udało mu się nią tylko lekko poruszyć. Ryk ciągnął się dalej, i dalej...

Czerwone litery na ekranie oznajmiły: *„Pierwszy człon zakończy działanie za pięć sekund.”*

Zanim zdążył to przeczytać, silniki rakietowe dostały czkawki i zatrzymały się. Potem poczuł napływ paniki. Spadał! Nie miał w ogóle wagi! Było to odczucie jak w nagle ruszającej do dołu windzie, tylko pomnożone setki razy. Wyskoczył z zagłębienia w piankowych poduszkach. Przed odlotem z fotela ustrzegły go tylko zapięte pasy, które przytrzymały jego ciało na miejscu.

Coś nim rzuciło, a potem nastąpiła seria szarpnięć. Później odzyskał swoją wagę, a ryk rozpoczął się ponownie. To nie był taki koszmarny, ciągnący się w nieskończoność ciężar, jak podczas startu, ale pomimo wszystko był to ciężar – znacznie większy ciężar, niż normalna waga na Ziemi. Cochrane pokręcił nogą, która mu wcześniej zdrętwiała. Szpilki i igły, łagodziły swoją wściekłą furię, w miarę jak wracało w niej czucie. Mógł również poruszać rękoma i dłońmi. Nadal jednak wydawały się mu

nienormalnie ciężkie i generalnie, ogarnęło go ekstremalne i trudne do zniesienia zmęczenie. Najchętniej nieco by się zdrzemnął.

Obecnie działały silniki rakietowe drugiego członu. Rakietę księżycową wystartowała z ziemi, przyspieszając z sześciokrotnym przeciążeniem, dopóki nie wydostała się z atmosfery, a nawet nieco ponad nią. Fotele anty-przeciążeniowe, odpowiednio zaprojektowane, o bardzo efektywnym działaniu, plus przesycenie krwi pasażerów tlenem, powodowały że tak duże przyspieszenie było bezpieczne i możliwe do zniesienia przez niezbędny okres czasu. Teraz, przy trzykrotnym przeciążeniu, nie czuło się takiego gwałtownego, szalonego naporu, ale podwyższoną wagę odbierało się jako uczucie wszechogarniającego zmęczenia, a nawet wyczerpania. Większość ludzi w czasie fazy sześciokrotnego przeciążenia czuwała, natomiast mocno zasypiała pod działaniem trzech g.

Cochrane walczył z uczuciem znużenia. Wyrzucał sobie przez cały czas, że przyjął polecenia, które go tutaj doprowadziły. Zostały one wydane z uprzejmą pewnością, że nie ma on żadnych spraw osobistych, które nie mogłyby zostać odłożone na później, aby wykonać tajemnicze instrukcje otrzymane od sekretarki szefa, którego właściwie nawet nie zobaczył. Dręczyło go coś w rodzaju zgryźliwej pogardy do samego siebie, tak więc zanurzenie się w przynoszącym zapomnienie śnie pod trzykrotnym przeciążeniem, mogłoby być kojące. Wykrzywił się jednak tylko i zmusił się do odepchnięcia senności, aby nadal kontemplować ten niemiły spektakl tworzony przez niego samego i jego działania.

Czerwone litery oznajmiły: *„Drugi człon zakończy działanie za dziesięć sekund.”*

Po dziesięciu sekundach, rakiety ponownie dostały czkawki, a następnie zamilkły, i pojawiło się to przyprawiające o mdłości uczucie swobodnego spadku. Ponuro zmusił się jednak do myślenia o tym jako wznoszeniu się, zamiast spadaniu -- co tak właściwie, rzeczywiście miało miejsce -- i czekał do chwili, kiedy silniki trzeciego członu nagle nie zahuczały potężnie i nie polecieły dalej i dalej.

To było niemal normalne przyspieszenie, jego efektem było poczucie niemal normalnej wagi. Poczuł się mniej więcej tak samo jak na Ziemi, leżąc w wyściełanym fotelu, odchylonym do tyłu, tak że spoglądał prosto w sufit. Wiedział w przybliżeniu, dokąd statek powinien dolecieć do tego czasu, i powinno przyprawiać go to o dreszcz. Cochrane znajdował się setki mil nad Ziemią i kierował się na wschód i ciągle w górę. Gdyby porty widokowe były otwarte, z tej wysokości jego spojrzenie powinno ogarniać całe kontynenty.

Nie... Statek wystartował w nocy. Nadal musiał znajdować się w cieniu Ziemi. Z pewnością w dole nie było widać niczego, poza może jedną czy dwiema małymi łatami mglistego światła, wskazującymi położenie któregoś, z i tak zbyt wielu, wielkich miast Ziemi. Nad statkiem jednak bez wątplenia można było zobaczyć gwiazdy, całe miriady miriadów, we wszystkich możliwych kolorach i stopniach jasności. Powinny wręcz tłoczyć się jedna przez drugą, aby mieć miejsce do świecenia. Statek rakietowy wznosił się po rozszerzającej się spirali, zmierzając do miejsca spotkania z platformą kosmiczną.

Platforma ku której zmierzał był to, oczywiście, sztuczny satelita Ziemi, położony cztery tysiące mil od niej i okrążający naszą planetę w nieco ponad cztery godziny, poruszając się z zachodu na wschód. Została ona zbudowana, ponieważ zerwanie więzów ziemskiej grawitacji, jest niesamowicie kosztowne pod względem zużycia paliwa -- zwłaszcza kiedy statek musiał przyśpieszać powoli, aby nie wyrządzić krzywdy, znajdującemu się na jego pokładzie ludzkiemu ładunkowi. Platforma kosmiczna, była czymś w rodzaju stacji benzynowej w próżni kosmicznej, w której rakieta księżycowa mogła uzupełnić zapasy paliwa, przed kolejnym, trwającym znacznie dłużej, ale sprawiającym znacznie mniej problemów, etapem podróży, długości trzydziestu kilku tysięcy mil.

W górę rampy, poruszając się energicznie, szła stewardessa. Zatrzymywała się po kolei, przy fotelach każdego z pasażerów. Kiedy Cochrane popatrzył na nią otwartymi oczyma, powiedziała do niego uspokajająco:

- Nie ma potrzeby, aby się pan niepokoił. Wszystko idzie absolutnie doskonale.

- Wcale się nie niepokoję - odparł Cochrane. - Ze mną również wszystko absolutnie doskonale.

- Ale powinien pan zasnąć! - zauważyła niespokojnie. - Większość ludzi to robi. Po krótkiej drzemce poczułby się pan od razu dużo lepiej.

Sprawdziła jego puls, w rzeczowy, profesjonalny sposób. Był normalny.

- Może więc pani skorzysta z mojej drzemki - zaproponował Cochrane.

- Albo niech ją pani odłoży do magazynka. W każdym razie, ja jej nie chcę. Ze mną jest wszystko w absolutnym porządku.

Zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Była naprawdę bardzo ładna. Ale sposób jej zachowania był profesjonalnie zdystansowany. Stwierdziła tylko:

- Tutaj ma pan przycisk. Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, wystarczy wyciągnąć rękę. Może mnie pan wezwać, naciskając go.

Wzruszył ramionami. Leżał spokojnie, podczas gdy ona przeszła do sprawdzania kolejnych pasażerów. Nie było niczego do roboty, ani nic do oglądania. W dzisiejszych czasach, pasażerowie byli traktowani niemal tak jak pakunki. Sposób podróży, podobnie jak program telewizyjny i większość innych produktów ułatwiających ludziom życie, był zaprojektowany pod kątem potrzeb przedstawicieli siedemdziesięciu do dziewięćdziesięciu procent rasy ludzkiej, których preferencje, antypatie i szczególne upodobania, zostały dokładnie poznane, dzięki odpowiednim badaniom. Jeżeli ktoś nie lubił tego co lubili wszyscy, albo nie reagował tak jak reagowali wszyscy, stawał się powodem do niepokoju. Cochrane dostosowywał się do nich.

Nieco później, czerwone, podświetlone litery, ponownie się zmieniły. Tym razem oznajmiły: „Swobodny lot, trzydzieści sekund”.

Nie użyto słów „swobodny spadek”, co było terminem technicznym wykorzystywanym w przypadku rakiety poruszającej się w przestrzeni do góry lub w dół. Ale Cochrane cały sprężył się w sobie, a kiedy silniki rakietowe znowu się zatrzymały i tym razem pozostały już wyłączone, mięśnie jego żołądka były mocno napięte. Rozpoczęło się uczucie

nieustannego spadania. Niemal natychmiast odezwał się głośnik elektryczny, zamontowany obok jego fotela. Podobne urządzenia znajdowały się przy fotelach wszystkich pozostałych pasażerów, tak więc wewnątrz rakiety wypełniło się delikatnym szeptem, który w sardoniczny sposób, przypominał chóralną recytację.

– *Uczucie nieważkości, którego obecnie państwo doświadczają – mówił uspokajająco głośnik, – jest czymś zupełnie naturalnym, na tym etapie lotu. Statek osiągnął już zamierzoną maksymalną szybkość, i nadal wznosi się, zmierzając na spotkanie z platformą kosmiczną. Możecie państwo przyjąć, że pozostawiliśmy już za sobą atmosferę i wszystkie związane z nią ograniczenia. Teraz rozwinęliśmy żagle bezwładności i żeglujemy w kierunku miejsca naszego przeznaczenia, wyłącznie na wietrze nabranego wcześniej pędu. Uczucie nieważkości, jest więc absolutnie normalną sprawą. Możecie być państwo zainteresowani samą platformą kosmiczną. Osiągniemy ją po nieco ponad dwóch godzinach swobodnego lotu. Będziecie państwo mogli opuścić statek i swobodnie poruszać się po Platformie, zjeść lunch, jeżeli państwo będą mieli ochotę, zakupić pamiątki i przesłać je z powrotem do domu, oraz podziwiać Ziemię z wysokości czterech tysięcy mil, przez okna ze szkła kwarcowego. Przez cały ten czas, podobnie jak teraz, nie będą państwo mieli poczucia wagi. Jeżeli państwo będą sobie tego życzyli, zostanie zorganizowana wycieczka po platformie kosmicznej. Znajdują się tam również toalety...*

Cochrane w ponurym nastroju z trudem zniósł resztę nagranego na taśmę wykładu. Kwaśno pomyślał sobie: „*Jestem słuchaczem-niewolnikiem, i nikt nie jest nawet zainteresowany tym, żeby zawracać sobie głowę sztuczkami przydatnymi dla tego rodzaju produkcji.*”

Wkrótce dostrzegł głowę Billa Holden. Psychiatra przekręcił się w przytrzymujących go pasach, i zaczął rozglądać się po wnętrzu rakiety. Kolor jego twarzy był lekko zielonkawy.

– Jak rozumiem, masz mnie wprowadzić w całą sprawę – powiedział do niego Cochrane, – po drodze na górę. Czy zechcesz mi teraz powiedzieć, o co tutaj chodzi? Lubię sympatyczną, odpowiednio udratyzowaną narrację, najlepiej z intensywnym użyciem gestów.

Holden odpowiedział chorowitym głosem:

– Idź do diabła, dobrze?

Jego głowa zniknęła. Nudności wywoływane przebywaniem w kosmosie, były oczywiście równie znaną dolegliwością, co choroba morska. Powodowane były nieważkością. Ma szczęście Cochrane zdawał się być na nie odporny. Skierował swoje myśli na możliwe cele swojej podróży. Nie wiedział o nich kompletnie nic. Jego osobistym wkładem w działalność Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe -- największej agencji reklamowej na świecie -- była produkcja Godziny z Dikkipatti, show telewizyjnego dla największych talentów, regularnie ukazującego się w każdą środę wieczorem, w godzinach od ósmej trzydzieści do dziewiętej trzydzieści, czasu środkowych Stanów Zjednoczonych. Było to dobre show. Znajdowało się w pierwszej dziesiątce najbardziej popularnych show na trzech kontynentach. To nie miało sensu, aby kazać mu rzucić taki program i wykonywać polecenia psychiatry, nawet takiego którego znał,

na gruncie pozazawodowym, już od lat. Ale w dzisiejszych czasach, niewiele jest rzeczy, które naprawdę miały sens.

W świecie, gdzie miasta o liczbie ludności poniżej pięciu milionów, uważane były za małe miasteczka, zestaw obowiązujących wartości, był naprawdę osobliwy. Jednym z najbardziej godnych pożałowania skutków życia na nadmiernie wypełnionej mieszkańcami planecie, była zbyt duża liczba pracowników i zbyt mało miejsc pracy. Kiedy ktoś już miał dobrą pracę, i ktoś umiejscowiony wyżej niż on sam wydawał mu polecenie, musiało ono zostać wykonane. Dla każdej istniejącej pracy, zawsze mógł się znaleźć ktoś inny, albo nawet kilku ktosiów innych -- mających nadzieję na jej zdobycie, albo nawet modlących się o to. A jeżeli ktoś stracił dobrą pracę, musiał wszystko zaczynać od początku.

W tym zadaniu, mogło chodzić o cokolwiek. Nie było ono jednak w żaden sposób związane, z cotygodniową produkcją Godziny z Dikkipatti. A jeżeli produkcja zostanie w tym tygodniu spartaczona, ponieważ Cochrane'a nie było na miejscu, to właśnie jego dotknie utrata reputacji. Fakt, że on znajdował się wtedy na Księżycu, zupełnie się nie liczył. Zostanie przyjęte, że zaliczył obsuwę. A obsuwa, nie była niczym dobrym. Definitywnie nie była!

– Mógłbym od ręki zrobić film dokumentalny – powiedział sobie gniewnie Cochrane, – zatytułowany „Człowiek, który bał się o swoją pracę”. To byłaby naprawdę bardzo autentyczna produkcja. Materiału mam w bród!

Na chwilę poczuł wagę swojego ciała. Towarzyszyły temu jakieś huczące odgłosy. Dźwięki nie mogły pochodzić z otaczającego ich powietrza, ponieważ wokół nich nie było powietrza. To był skutek działania silników samej rakiety, przenoszący się po jej poszyciu. Silniki sterujące statku, skorygowały kurs którym leciał i -- tak, właśnie poczuł kolejne szarpnięcie -- popychając go na bardziej odpowiednią trajektorię lotu, prowadzącą na spotkanie z platformą kosmiczną, lecącą nad nimi, od tyłu. Platforma okrążała Ziemię czterokrotnie w ciągu doby, w odległości czterech tysięcy mil od planety. Podczas trzech z jej obrotów, każdy człowiek na dole, gdziekolwiek by nie był, mógł ją dostrzec w świetle dnia, jako nieskończenie małą gwiazdkę, dostatecznie jasną, aby było ją widać na tle błękitu nieba, wschodzącą na zachodzie i mknącą na wschód, żeby zniknąć za horyzontem w miejscu gdzie wschodzi słońce.

Znowu zapanowała nieważkość. Statek rakietowy, nie korzystał przez cały czas ze swoich silników. Uruchamiał rakiety aby wystartować, uruchamiał je aby się zatrzymać, ale nie musiały działać przez cały czas, aby mógł lecieć. Statek unosił się ponad Ziemią, która mogła wyglądać jak rozświetlona słonecznym blaskiem kula, wypełniająca połowę wszechświata, znajdującą się pod rakieta, albo mogła być ciemna jak samo piekło. Cochrane stracił rachubę czasu, ale nie pozbył się tego wstrząsającego efektu, oderwania go od znanej mu pracy, o której myślał, że jest ważna, i zmuszenia do niewiarygodnej podróży, aby zrobić coś, o czym nie miał nawet pojęcia. Czuł się, w swoich myślach, jak ktoś, wchodzący w ciemności na schody, i próbujący wymacać nogą stopień, którego tam nie ma. Prawdziwym wstrząsem, była dla niego świadomość,

że jego praca nie była ważna, nawet w oczach Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe. Że on nie liczył się zupełnie. Że nic się nie liczyło...

Na zewnątrz rozległo się kolejne stłumione huczenie, i poczuł kolejne dotknięcie wagi. Potem rakieta płynęła dalej, bez końca.

Dużo później, coś dotknęło zewnętrznego kadłuba statku. Był to odgłos zdecydowanego szczęknięcia. Następnie najdelikatniejsze w świecie i najbardziej niewyraźne szarpnięcie, i Cochrane poczuł, że statkiem manewruje jakaś zewnętrzna siła. Wiedział, że musieli dolecieć do platformy kosmicznej i wciągani byli do wnętrza jej włazu.

Nadal nie było wagi. Stewardesa zaczęła po kolei odpinać pasażerów, podając każdemu z nich nakładki na buty, z podeszwami magnetycznymi. Cochrane słyszał, jak przekazuje instrukcje odnośnie ich użycia. Wiedział, że śluza powietrzna była właśnie napełniana powietrzem, z ogromnej, kulistej platformy. W odpowiednim czasie otworzył się właz w tyle -- na dole -- w podstawie, przedziału pasażerskiego. Ktoś powiedział stanowczym tonem:

– Platforma kosmiczna! Statek pozostanie w tej śluzie powietrznej przez mniej więcej trzy godziny, plus czas potrzebny na uzupełnienie paliwa. Przed odlotem, ogłoszone zostaną odpowiednie komunikaty ostrzegawcze. Pasażerowie mogą swobodnie udać się na platformę, gdzie zostaną im udostępnione wszelkie możliwe udogodnienia.

Dzięki nakładkom z podeszwami magnetycznymi stopy ludzi przywierały do spiralnej rampy, ale żeby przesunąć się do przodu, trzeba było złapać się poręczy. Po drodze do włazu wyjściowego, Cochrane spotkał Babs. Zawołała z zapartym tchem:

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tutaj jestem!

– Ja mogę w to uwierzyć bez trudu – stwierdził Cochrane, – pomimo tego, że specjalnie mi się to nie podoba. Babs, kto ci powiedział, że masz lecieć razem ze mną? Jakie jest źródło tych wszystkich poleceń?

– Sekretarka pana Hopkinsa – szczęśliwym tonem odparła Babs. – Nie powiedziała mi, że mam lecieć. Ja sama to załatwiłam! Kazała mi podać nazwiska dwóch specjalistów naukowych i dwóch scenarzystów, którzy mogliby z panem pracować. Powiedziałam jej, że jeden scenarzysta do pracy nad produkcją, wystarczy aż z naddatkiem, ale będzie pan potrzebował również mnie. Założyłam, że to będzie praca nad produkcją. Tak więc, zmieniła polecenia, i oto tutaj jestem!

– Pięknie! – stwierdził Cochrane. Jego ironiczne odczucia jeszcze się pogłębiły. Wydawało mu się, że jest kierownikiem, i to w miarę ważnym. Ale ktoś na wyższym stanowisku od niego, zadysponował nim, z bezduszną nieodwołalnością, a sekretarki tego człowieka i jego, ustaliły wszystkie szczegóły, podczas gdy on nie liczył się zupełnie. Był pionkiem w rękach partnerów firmy i wybranych sekretarek. – Pozwól więc, że dowiem się, na czym ma polegać moja praca i jak ją wykonać, Babs.

Babs skinęła potwierdzająco głową. Nie pochwyciła sarkazmu. Ale w tej chwili, nie była w stanie jasno myśleć. Znajdowała się przecież na platformie kosmicznej, która była drugim najwspanialszym miejscem we wszechświecie. Tym najwspanialszym, oczywiście, był Księżyć.

Cochrane pakuśtykał do wyjścia ze statku i dalej na platformę, w warunkach braku wagi. Był w stanie poruszać się, jedynie dzięki temu dziwnemu kleistemu przyleganiu nakładek z magnetycznymi podeszwami, do stalowych płyt znajdującego się pod jego nogami pokładu. Albo... czy one były pod nim? Jeden z członków załogi, spacerował właśnie do góry nogami, po podłodze, która powinna być sufitem, ponieważ znajdowała się dokładnie nad głową Cochrane'a. Otworzył jakiś właz w bocznej ścianie, i wszedł do niego, ciągle do góry nogami. Na ten widok, Cochrane poczuł nagle zawrót głowy.

Wędrował jednak dalej, przy pomocy poręczy, aż zobaczył doktora Williama Holdena, ciągle z zielonkawą twarzą i wyglądającego na chorego. Próbował słabo odpowiadać na pytania Westa, Jamisona i Bella, którzy zostali wyrwani ze swojego życia osobistego, dokładnie tak samo jak Cochrane, i teraz hałaśliwie domagali się od Billa Holdena, żeby wyjaśnić, dlaczego im się to przytrafiło.

Cochrane warknął na nich gniewnie:

– Zostawcie go w spokoju! Ma chorobę przestrzenną! Jeżeli za bardzo go zdenerwujecie, to miejsce zmieni się w jeden wielki bajzel!

Holden zamknął oczy i powiedział z wdzięcznością:

– Przełoń ich dalej Jed, a potem wróć tutaj.

Cochrane machnął na nich ręką. Poszli sobie dalej, potykając się i przytrzymując nawzajem, w niesamowitej jak ze snu, czy też raczej koszmaru, scenerii zupełnego braku wagi. W dużej pustej przestrzeni w środku platformy, byli również i inni pasażerowie z rakiety na Księżyc. Jakaś gruba kobieta z oburzeniem spoglądała na obrazek wagi łazienkowej, namalowany na ścianie. Ktoś namalował ją, z wskazówką ustawioną na zerze. Podpis pod obrazkiem, brzmiał: „*Prawdziwa waga. Brak grawitacji.*” Dostrzegł również stewardessę z rakiety, tutaj nie była na służbie. Paliła papierosa w nadmuchu elektrycznego wentylatora. Grupa leżących na Księżyc turystów, głupawo chichotała, chwytając się wszystkiego i kupując pamiątki, aby wysłać je z powrotem na Ziemię.

– W porządku, Bill – powiedział Cochrane. – Poszli sobie. Czy teraz możesz mi powiedzieć, dlaczego ta całkiem pokaźna część geniuszu, spomiędzy pracowników Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe, w postaci mojej skromnej osoby, została zmobilizowana, i wykopana w górę, aż na Księżyc?

Bill Holden przełknął ślinę. Stał z zamkniętymi oczyma, trzymając się poręczy, biegnącej dookoła wielkiego pomieszczenia w środku platformy.

– Muszę trzymać oczy zamknięte – wyjaśnił płaczliwie. – Mam mdłości, widząc ludzi spacerujących po ścianach i sufitach.

Akurat właśnie w tym momencie, mocno zbudowany turysta, robił dokładnie to. Jeżeli przy pomocy nakładek z magnetycznymi podeszwami można było chodzić zupełnie wszędzie, to znaleźli się ludzie, którzy musieli wszędzie wejść. Mocno zbudowany mężczyzna, urządził sobie spacer po ścianie. Zapucił się na sufit, gdzie wisił nogami do góry, w stosunku do reszty swojej grupy. Stał tam w taki sposób, spoglądając na nich na dół, mając na twarzy specyficzny, zdumiony, na wpół wystraszony, i całkowicie

idiotyczny uśmiech. Jego żona zaczęła na niego piszczeć, żeby schodził na dół, że nie może wytrzymać patrząc na niego, jak tak wisi.

– W porządku – stwierdził Cochrane. – Trzymasz oczy zamknięte. Ale ja mam otrzymać od ciebie dalsze polecenia. Jakiego rodzaju polecenia masz zamiar mi wydawać?

– Jeszcze nie jestem pewny – słabo odparł Holden. – Zostaliśmy tutaj wysłani, do wykonania prywatnej pracy dla Hopkinsa -- jednego z twoich szefów. Hopkins ma córkę. Wyszła za męża, za człowieka o nazwisku Dabney. Jest neurotykiem. Dokonał wielkiego odkrycia naukowego, które nie zostało odpowiednio docenione. Tak więc ty i ja, oraz twój zespół oswojonych naukowców... jesteśmy w drodze na Księżyc, aby uratować jego zdrowe zmysły.

– A dlaczego mamy ratować jego zdrowe zmysły? – cynicznie spytał Cochrane. – Jeżeli bycie świrem miałoby go uszczęśliwić...

– Nie uszczęśliwi – odparł Holden, ciągle z zamkniętymi oczyma. Przełknął ślinę. – Twoja praca i znaczna część mojej praktyki, zależą od powstrzymania go przed pójściem do czubków. To oznacza wykonanie roboty z zakresu public – relations, produkcji reklamowej, ze mną, cenzorującym tylko pewne aspekty, które mogłyby zaszkodzić psychice Dabneya. W przeciwnym przypadku, będzie strasznie sfrustrowany.

– A my wszyscy, to niby nie jesteśmy? – wyrzucił z siebie Cochrane. – Co on sobie u licha myśli, że kim on jest? Większość z nas pożąda uznania, ale musimy się cieszyć, z tego że za naszą robotę dostaniemy jakieś pieniądze! My...

Potem zaklął z zawziętością. Został oderwany od pracy, nad którą spędził całe lata, ucząc się wykonywać ją w odpowiednio akceptowalny sposób, dla dętej sprawy, osobistej satysfakcji zięcia jednego z współwłaścicieli firmy, w której pracował. To upokarzające, potraktowano go po prostu jak zwykłego lokaja, któremu można było nakazać wykonanie osobistych posług dla swojego szefa, nie oglądając się na zniszczenia, jakie przyniesie to pracy, za którą był tak naprawdę odpowiedzialny. Kiedy dowiedział się co ma zrobić, ta sprawa okazała się jeszcze bardziej nawet upokarzająca, ponieważ nie mógł sobie pozwolić na odmowę.

Pojawiła się Babs, w widoczny sposób napawająca się tym prostym faktem, że spacerowała w butach z magnetycznymi podeszwami, po stalowym pokładzie platformy kosmicznej. Jej oczy były jasne ze szczęścia. Powiedziała:

– Panie Cochrane, czy nie miałby pan ochoty pójść, popatrzeć na Ziemię, przez kwarcowe okna po ziemskiej stronie?

– Po co? – dopytywał się Cochrane zgorzkniałym tonem. – Gdyby nie to, że aby to zrobić, musiałbym się przeciągać oboma rękoma po jakichś poręczach, to mógłbym się tam kopnąć. Po co miałbym zajmować się tymi turystycznymi głupotami?

– Po to – powiedziała Babs, – aby później potrafił pan coś powiedzieć, kiedy scenarzysta, albo scenograf, przy jakimś show będą próbowali wcisnąć panu coś, na temat kosmicznej platformy.

Cochrane skrzywił się.

– W teorii, powinienem to zrobić. Ale, czy ty wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? Właśnie się dowiedziałem! – Kiedy Babs pokręciła przecząco głową, oznajmił sardonicznie: – Jesteśmy w drodze na Księżyc, aby wystawić prywatną produkcję, i to z czystego okrucieństwa. Zostaliśmy wynajęci, żeby obrabować szczęśliwego człowieka z luksusu współczucia dla samego siebie. Pod rozkazami Holdena, mamy wyleczyć człowieka z wariactwa.

Babs niemal go nie słuchała. Tak bardzo przepełniała ją radość z bycia tam, gdzie wcześniej nawet nie śmiała marzyć, że będzie.

– Ja nie chciałbym, aby ktoś mnie wyleczył z wariactwa – protestował Cochrane, – gdybym tylko mógł sobie pozwolić na taki luksus! Ja...

Babs powiedziała ponaglająco.

– Musi pan się pośpieszyć, naprawdę! Powiedzieli mi, że to zaczyna się za dziesięć minut, a więc od razu przyszedłem, żeby pana znaleźć.

– Co się zaczyna?

– Teraz jesteśmy w zaćmieniu – wyjaśniła Babs, z rozgwieżdżonymi oczyma. – Znajdujemy się w cieniu Ziemi. Za mniej więcej pięć minut, będziemy wychodzić z powrotem na światło słoneczne, i zobaczymy wtedy nową Ziemię!

– Zagwarantuj mi, że to będzie nowa Ziemia – ponuro stwierdził Cochrane, – a natychmiast przyjdę. Niezbyt dobrze sobie radziłem na tej starej.

Udał się jednak za nią, z całym tym kłopotliwym chodzeniem w butach z podeszwami magnetycznymi, przy całkowitym braku jakiegokolwiek efektywnej siły grawitacji. Nawet ruszenie z miejsca, było całkiem skomplikowaną sprawą. Jeżeli nie zachowało się odpowiedniej ostrożności, to próba zrobienia kroku z miejsca, mogła spowodować, że stopy wyjdą spod człowieka i zawisnie on w powietrzu, leżąc na plecach. Tak samo próba zatrzymania się, bez wystawienia jednej stopy przed siebie, aby mieć podpórkę, mogła spowodować, że po zatrzymaniu stóp, reszta ciała będzie kontynuować ruch do przodu, co skończy się tym, że człowiek pada jak długi, prosto na twarz. Poza tym, nie można iść, przy pomocy regularnych ruchów góra – dół, bo po kilku sekundach człowiek stwierdza, że jego stopy kotłują się w powietrzu, z kompletną bezradnością.

Cochrane spróbował iść, ale po chwili z irytacją złapał za poręcz i zaczął się po niej przeciągać, z ciągnącymi się za nim nogami, wyglądającymi jak ogon płynącej syreny. Pomyślał o tym porównaniu i nie był specjalnie usatysfakcjonowany swoją własną godnością.

Wkrótce Babs zatrzymała się w czymś, co wyraźnie było metalowym pęcherzem w zewnętrznej powłoce platformy. Znajdowało się tam okrągłe kwarcowe okno, w którym widać było, znajdującą się za nim, okiennicę ze stalowej płyty. Babs nacisnęła przycisk oznaczony „Okiennica”, i stalowe klapy rozsunęły się na boki.

Cochrane zamrugał powiekami, czując jak rozciągający się przed nim widok, wynosi go ponad jego zirytowane nastroje.

Zobaczył ogrom niebios, poznaczonych nieprzeliczonymi rzeszami gwiazd. Niektóre z nich były jaśniejsze od innych, i świeciły wszystkimi możliwymi do wyobrażenia kolorami. Malutkie punkciki światła w

krzykliwych barwach -- przez atmosferę Ziemi przedostawały się jako zmieszana razem nieskończenie słaba poświata -- w wielu miejscach tłoczyły tak blisko siebie, że nie było widać między nimi żadnych przerw. Nawet jeżeli pojawiała się jakaś, wydawałoby się, ciemna przestrzeń, to po bliższym przyjrzeniu, już po kilku chwilach, również i tam można było dostrzec malutkie plamki kolorowego ognia.

Każde, najmniejsze nawet światełko, było słońcem. Ale to nie to spowodowało, że Cochrane wciągnął głęboko powietrze.

Spowodowała to monstualna przestrzeń wypełniona nicością, położona tuż przed jego oczyma. Była okrągła, olbrzymia i znajdowała się bardzo blisko. Była czarna, całkowitą czernią piekieł. To była Ziemia, widziana z wnętrza swojego cienia, o długości ośmiu tysięcy mil, nie rozświetlana nawet przez Księżyc. Nie było najmniejszego nawet śladu światła, żadnego odstępstwa od absolutnej ciemności. Wyglądało to tak, jakby pośrodku wspaniałego przepychu niebios, pojawiła się otchłań przez którą można było dostrzec, tę niemożliwą do ogarnięcia myślą nicość, z której na początku nastąpiło stworzenie. Dopóki człowiek nie uświadomił sobie, że to jest po prostu ciemna strona Ziemi, cały spektakl należał do straszliwych horrorów, unoszących włosy na głowie.

Po chwili Cochrane oznajmił, starannie opanowanym głosem:

– Moje najbardziej niepochlebne opinie na temat Ziemi, nie były nawet w połowie tak czarne, jak to.

– Niech pan zaczeka – odparła Babs z pewnością siebie.

Cochrane więc czekał. Przez cały czas musiał uważnie przechowywać w pamięci, że ta widoczna przed nim otchłań, ten ogrom najczystszej ciemności, nie był szczeliną nicości, lecz tylko Ziemią w nocy, widzianą z kosmosu.

Wtedy dostrzegł malutki, słabiutki łuczek koloru, formujący się na krawędzi czerni. Szybko się rozrastał. Niemal natychmiast, jak się wydawało, stał się różowawą, świecącą linią pomiędzy rojami gwiazd. Teraz był już czerwony. Był również bardzo, bardzo jasny. Stał się kompletnym półokręgiem. Było to światło słońca, załamujące się wokół krawędzi planety.

W ciągu kilku minut -- wydawało się, że sekund -- linia światła zajaśniała wspaniałym blaskiem pośród gwiazd. Potem, bardzo szybko, spoza Ziemi wychynęło płonące ciało niebieskie -- Słońce. Było jasne nie do zniesienia, ale nie rozjaśniło firmamentu. Płynęło w straszliwej ciszy pomiędzy miriadami miriad innych słońc płonących krzykliwymi barwami, z wyraźnie widocznymi, skręcającymi się protuberancjami, wyrastającymi z krawędzi jego dysku. Cochrane spoglądał na nie zmrużonymi, oślepionymi przez światło, oczyma.

Wtedy Babs zawołała przyciszonym głosem:

– Piękne! Och, jakie piękne!

Cochrane osłonił ręką oczy i zobaczył przed sobą, nowo narodzoną planetę. Łuczek światła, stał się łukiem, a następnie półksiężycem i robił się coraz większy, nawet kiedy na niego patrzył. Pod platformą kosmiczną, płynął świt, i wydawało się, że morza, kontynenty, chmury i piękno, zalewały znajdujący się przed chwilą przed nim dysk ciemności.

Stał tak, wpatrzony w ten widok, dopóki powoli nie zamknęły się stalowe okiennice. Babs powiedziała z żalem:

– Trzeba przez cały czas trzymać rękę na przycisku, inaczej okiennice się zamykają. W przeciwnym razie pył poznałby by całe okno.

Cochrane stwierdził cynicznie:

– I jakie to niby korzyści ma mi przynieść obejrzenie tego spektaklu, co Babs? W jaki sposób mogłoby to zostać zrealizowane w studiu – i jak wiele z tego przeniósłby ekran telewizora?

Odwrócił się. Potem dodał kwaśnym tonem:

– Zostań tutaj i popatrz sobie, jeśli masz ochotę, Babs. Moja osobista próżność została rozbita na kawałki już wcześniej. Gdybym oglądał to dalej, to chyba miałbym ochotę rozplakać się z czystej frustracji, ponieważ nie potrafię zrobić niczego, co choćby w niewielkiej części byłoby równie warte oglądania, jak ten widok. Wolę obciąć moje wyobrażenia o kosmosie, do bardziej tolerowalnych rozmiarów. Ale ty nie przejmuj się, i oglądaj!

Wrócił do Holdena. Holden ze zboląłą miną, przeciągał się z powrotem na statek. Cochrane poszedł razem z nim. Wrócili, pozbawieni wagi, do wspaniale zaprojektowanych wyściełanych foteli, w których lecieli do tej pory, i w których mieli lecieć dalej. Cochrane rozłożył się w swoim, aby wpatrywać się otępiąłym wzrokiem w znajdującą się nad nim ścianę. Już wcześniej wystarczająco mocno został upokorzony przez działania jednego z szefów agencji reklamowej. Stwierdził, że teraz również jest obrażony, nawet jeżeli kolejne upokorzenia jakich doświadczył, zostały mu narzucone przez sam kosmos.

Wkrótce powrócili również i inni pasażerowie, i rakietę księżycowa została wyprowadzona ze służby, z powrotem w próżnię. Niebawem ponownie zaryczały rakiety i kolejny raz pojawiło się uczucie nieznośnie dużej wagi. Nie było ono jednak tak straszne, jak podczas startu z Ziemi.

Po tym wszystkim nastąpiło około dziewięćdziesięciu sześciu godzin niesamowitych nudów. Po pierwszych, przyśpieszających lot, odpaleniach, rakiety milczały. Nie było wagi. Nie było niczego słyszeć, poza bucującym mamrotaniem, bez przerwy działających wentylatorów elektrycznych, niestrudzenie poruszających powietrzem, aby odwilżacze mogły wyekstrahować z niego nadmiar wydychanej pary wodnej. Gdyby nie one, gdyby na statku nie wymuszano ruchu powietrza, lot byłby niemożliwy do przeprowadzenia.

Nie było też nic do oglądania, ponieważ wyglądanie przez porty widokowe, otwierające się na przestrzeń kosmiczną, nie byłoby bezpieczne dla pasażerów. Zwykli ludzie, nieprzywykli do skupiania się na kwestiach technicznych, mogliby się załamać pod wpływem widoku wszechświata. Nie było więc nic do roboty.

Niektórzy z pasażerów wzięli pigułki wywołujące uczucie senności. Cochrane tego nie zrobił. Prawo zabraniało produkcji pigułek oszołamiających, wytwarzających uczucie euforii lub dobrego nastroju. Według prawa, taka przyjemność mogłaby prowadzić do uzależnienia. Jeżeli jednak pigułka wywoływała u danej osoby wyłącznie uczucie senności, tak że całymi godzinami drzemała ona zawieszona w pół drogi

między snem a jawą, to środek ten nie wyrządzał żadnej widocznej szkody. A jednak bardzo wielu ludzi było uzależnionych od pigułek nasennych. Wielu ludziom nie zależało specjalnie na tym, aby czuć się dobrze. Byli całkowicie usatysfakcjonowani tym, że nie czują niczego.

Cochrane nie mógłby zaakceptować takiego sposobu ucieczki. Leżał przypięty do swojego fotela i w nieszczęśliwym nastroju rozmyślał o wielu sprawach. Zaczynał czuć się brudny, podobnie jak brudni czują się zazwyczaj ludzie podróżujący przez całe dni pociągami. Nie było żadnej możliwości wzięcia kąpieli. Nie było można nawet zmienić ubrań, ponieważ bagaż leciał na Księżyc oddzielnie, w zrobotyzowanej rakiecie towarowej, która była szybsza i tańsza od transportu pasażerskiego, ale zabiłaby każdego człowieka, próbującego nią polecieć. Przyśpieszenia dające przeciążenia rzędu piętnastu i dwudziestu g, w porównaniu z sześcioma g, są bardziej ekonomiczne pod względem ilości zużytego paliwa, ale nikt by nie przeżył próby opuszczenia Ziemi przy dwudziestu g. Tak więc pasażerowie musieli przez cały czas podróżować w tych samych ubraniach, w których weszli na statek, a jedynym możliwym ustępstwem dla skrupulatnych, była jednorazowa bielizna, którą można było wziąć ze sobą i zmienić w toaletach.

Babs Deane także nie wzięła pigułki nasennej, ale dobrze знаła Cochrane'a, i trudno było powiedzieć że są tylko bardziej niż dalekimi znajomymi, nawet poza godzinami jej pracy. Nie chciał dawać jej żadnych pretekstów, do tego aby zaczęła mu o czymś opowiadać, dla jego własnego dobra. Wymówił się więc uprzejmie i pozostał w towarzystwie swoich własnych myśli. Zauważył jednak, że przez wszystkie te długie i ponure godziny lotu, wyglądała na zachwyconą, a jej oczy jaśniały. Śledziła w wyobraźni drogę statku księżycowego przez próżnię. Wiedziała kiedy na Ziemi było już wyraźnie widać kontynenty, znała również barwę szaty roślinnej na obu półkulach -- północnej i południowej, wiedziała też kiedy można było zobaczyć czapy lodowe Ziemi, i dlaczego.

Stewardessa również nie dostarczała zbyt wiele rozrywki. Była sprawna, spokojna, uspokajająca, ale nabrała pewnej lekkiej niechęci, do przysuwania się zbyt blisko foteli, w których lecieli jej pasażerowie. Niebawem Cochrane zaczął snuć domysły na temat powodów, i wymyślił złośliwą reklamę telewizyjną. W rakiecie księżycowej stewardessa, w mundurku, wyglądająca świeżo i uroczo, mówi słodziutko, że w trakcie podróży na Księżyc, leciała przez kilka dni bez kąpieli i nie rozsiewała przykrych zapachów, ponieważ użyła jakiegoś-tam dezodorantu. A potem z rozkoszą pomyślał o głowach, jakie by poleciały, gdyby taka reklama rzeczywiście ukazała się na antenie.

Nie mógł jednak specjalnie się zastanawiać nad planami produkcji, do zrobienia której wysłano go na Księżyc. W dzisiejszych czasach, psychiatria stała się dziedziną bardzo wyspecjalizowaną, podobnie jak wcześniej była nią już medycyna fizyczna. Na Księżyc pewnie został wysłany jakiś niesamowicie drogi diagnostyk, żeby opukać odbicia Dabneya, i najzupełniej poważnie zdiagnozował u niego frustrację oraz zasugerował do przeprowadzenia kuracji młodego doktora Holdena. W każdym bądź razie frustracja była typową neurozą bogatych ludzi, a Bill

Holden specjalizował się w jej leczeniu. Największe nadzieje wiązał on z przygotowaniem produkcji dramatycznej, koncentrującej się na jego pacjencie, co było dosyć kosztownym środkiem... i na tyle efektywnym, aby zapewnić mu szybką reputację. Nie był jednak w stanie powiedzieć Cochrane'owi, czego od niego wymaga. A przynajmniej, jeszcze nie. Znał ogólnie chorobę, ale nie ten konkretny przypadek. Będzie musiał mu się przyjrzeć i lepiej poznać Dabneya, zanim będzie mógł wykorzystać ekstra specjalną ekipę produkcyjną, której dostarczył mu teść jego pacjenta, spośród pracowników Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe.

Dziewięćdziesiąt kilka godzin, po odlocie z platformy kosmicznej, statek raketowy odwrócił się tyłem do przodu, i odpalił silniki, żeby wytracić nabraną prędkość względem Księżyca. Zaczęło się od pół g -- ostrzegł o tym czerwony, świecący napis -- potem przeciążenie wzrosło do jednego g, a następnie do dwóch. Po kilku dniach bez wagi, dwa g dawało w kość.

Cochrane pomyślał o tym, żeby spojrzeć na Babs. Była pogrążona w obrazach, które musiały być widoczne na zewnątrz statku, pomimo że ona sama nie mogła ich widzieć. Wyobrażała sobie to, co ekrany telewizorów pokazywały dosyć często, odtwarzane z taśm filmowych. Wyraźnie przed jej oczyma rysowało się wielkie, poznaczone cętkami oblicze Księżyca, z jego niezliczoną liczbą nakładających się na siebie gór pierścieniowych, i ogromnymi przestrzeniami „mórz”, będących tak naprawdę skamieniałymi oceanami lawy. Wyobrażała sobie stopniowe zmiany tarczy Księżyca, w miarę zbliżania się do niego, kiedy zaczęły pojawiać się kolory. Z dużej odległości cały Księżyc wydaje się mieć barwę brązową, albo piaskową. W miarę zbliżania się, pojawiają się płowe czerwienie i ciemnoszare kolory górskich ścian skalnych, a nawet błękity i żółcie, a wszędzie widać popielaty, białawy brąz, kolor pyłu księżycowego.

Spoglądając na nią, zaabsorbowaną swoimi marzeniami, Cochrane podejrzewał, że długo się nie wymawiając, mogłaby mu wyjaśnić w jaki sposób kilkusetstopniowa różnica temperatur na powierzchni Księżyca, pomiędzy północą a południem, powoduje pęknięcie, rozpad i rozdrabnianie skał, tak że każde miejsce, które nie było za mocno nachylone, pokrywała warstwa pyłu równie drobnego jak talk.

Odczucie siły deceleracji powiększyło się. Przez ułamek sekundy, odczuwali przeciążenie wielkości trzech g.

Potem rozległ się charakterystyczny zgrzyt poddającego się metalu -- naprawdę, bardzo słaby -- po którym w ogóle przestali czuć zwiększoną wagę. Ale nie stracili poczucia wagi. Ciągłe ją posiadali. Była stała. Była stabilna. Ale była bardzo mała.

Znajdowali się na Księżycu, ale Cochrane nie czuł z tego powodu żadnego uniesienia. Podczas godzin nudy w trakcie lotu z platformy kosmicznej, zbyt wiele myślał. Naprawdę zdawał sobie sprawę z upokorzeń i frustracji, jakie większość ludzi musi ukrywać przed sobą, ponieważ nie mogą sobie pozwolić na kosztowne kuracje psychiatryczne. W dzisiejszych czasach, frustracja stała się chorobą całej ludzkości. I nie było niczego, co można by w tej kwestii zrobić. Niczego! Po prostu niemożliwe było, aby się zbuntować, a bunt jest procesem przy pomocy

którego leczy się poczucie upokorzenia i frustracje. Ale przecież nikt nie mógł buntować się przeciwko temu oczywistemu faktowi, że na Ziemi żyje więcej ludzi, niż planeta ta jest w stanie utrzymać.

Zwykły lot na Księżyc, nie wydaje się specjalnie użytecznym osiągnięciem, ani dla Cochrane'a, ani dla ludzkości, jako takiej.

Sprawy wyglądały źle.

II

Cochrane wstał, zaraz jak tylko zezwolił na to głos stewardessy. Z sardonicznie okazaną pojętnością, odpiął pasy bezpieczeństwa i stanął na spiralnym, przejściu między fotelami. Straszne dziwne wydawało się mieć znowu wagę, nawet tak niewielką jak w tej chwili. Cochrane na Księżycu ważył zaledwie jedną szóstą tego, co ważyłby na Ziemi. Wskazówka na wadze wychyliłaby się zaledwie do poziomu około dwudziestu siedmiu funtów. Mógł skakać, wyginając tylko palce u nóg. Absurdalnie, zrobił to. Uniósł się bardzo powoli, zawisł w powietrzu -- czując się strasznie głupio -- a następnie opadł z olbrzymim namaszczeniem. Wylądował na rampie, znowu czując się naprawdę absurdalnie. Zauważył, że Babs, uśmiecha się szeroko do niego.

– Coś mi się wydaje – oznajmił Cochrane, – że będę musiał trochę poćwiczyć taniec na paluszkach.

Roześmiała się. Rozległy się jakieś szczęknięcia, coś na zewnątrz przyczepiło się do statku, a po chwili otworzył się właz wejściowy.

Przytrzymując się poręczy i pomagając sobie nawzajem, zeszli na dół rampą, aby przenieść się na pokład łazika księżycowego. Turyści głupio chichotali. Przeszli przez grube wejście i znaleźli się w pomieszczeniu, przypominającym do złudzenia wnętrze raczej niewielkiej łodzi podwodnej. Miało ono jednak odsłaniane okna -- porty widokowe -- i Babs natychmiast wciągnęła się na fotel obok jednego z nich i syciła oczy widokami. Przyglądała się położonym nieopodal postrzępionym szczytom górskim, najeżonym skałami ścianom góry pierścieniowej, ciągnącym się w jedną stronę przez całe mile i gładkiej zastygłej lawie „morza”. Rozciągający się za tą pokrytą pyłem powierzchnią horyzont, znajdował się niesamowicie blisko, i Cochrane przypomniał sobie mgliście, że Księżyc miał jedynie jedną czwartą rozmiarów Ziemi, tak więc horyzont na nim, w naturalny sposób musiał być bliżej. Spojrzał na gwiazdy, świecące nawet przez szybę, która rozpraszała światło słoneczne. A potem popatrzył na Holdena.

Psychiatra ciężko oddychał, wyglądał na sennego, wynędzniałego i rozczochranego. Kiedy ktoś zapada na chorobę przestrzenną, nawet niewielkieciążenie przynosi ulgę w objawach, ale jej skutki ciągną się przez wiele dni.

– Nie przejmuj się! – kwaśno oznajmił, kiedy zauważył spoczywające na nim spojrzenie Cochrane’a. – Nie mam zamiaru tracić nawet chwili! Znajdę tylko mojego człowieka i natychmiast zabieram się do roboty. Jeeezu... jak najszybciej wracać na Ziemię...

Rozległy się kolejne szczęknięcia -- to bus-łazik zamknął się i uszczelnił połączenie z rakieta. Następnie pojazd szarpnął. Krajobraz na zewnątrz, zaczął się przemieszczać.

Zbliżając się do miasta, obejrzelі sobie Lunar City. Było to pięć gigantycznych kopców pyłu, o wysokości od trzystu do pięciuset kilkudziesięciu stóp. U ich podstaw znajdowały się słuzы powietrzne, łączyły je pokryte pyłem tunele, a na ścianach widać było czasze radarów. Ale były to jednak kopce pyłu. Co było całkiem sensowne. Na Księżycu nie ma powietrza. W trakcie dnia, promieniowanie słoneczne zalewa powierzchnię z bezwzględną gwałtownością. Rozgrzewa wszystko jak płomień pieca. Podczas nocy, całe ciepło wypromieniowane jest w otwartą przestrzeń kosmiczną, a temperatura podłoża opada sporo poniżej temperatury ciekłego powietrza. Tak więc, Lunar City było grupą kopuł, z grubsza mówiąc, półbalonów -- plastikowych półkul, przywiezionych z Ziemi, napompowanych powietrzem i zasypanych pyłem. Po zamontowaniu słuz powietrznych, umożliwiających wchodzenie i wychodzenie, stały się one już od razu zdadne do zamieszkania. Nie potrzebowały żadnych konstrukcji podtrzymujących ponieważ na Księżycu nie ma huraganowych wiatrów ani trzęsień ziemi, które mogłyby wywoływać w nich naprężenia. Nie potrzebowały wyposażenia ogrzewczego, ani chłodzącego. Były pogrzebane pod czterdziestostopową warstwą pyłu księżycowego, z próżnią pomiędzy drobinkami pyłu. Lunar City może nie było piękne, ale istoty ludzkie mogły w nim żyć.

Bus-łazik przewiózł ich pół mili po otwartej przestrzeni, a później wysiedli z niego w słuzie. Otworzyły się i zamknęły jej drugie wrota, a potem jeszcze następne, i roztoczył się przed nimi widok, jakiego żadna telewizyjna taśma filmowa, nie była w stanie tak naprawdę oddać.

Główna kopuła miała tysiąc stóp średnicy, i połowę tego wysokości. W skrzyniach i donicach, wszędzie rosły zielone rośliny. A powietrze było świeże! Dziwnie pachniało. W rakiecie nie mogło być żadnych roślin, tak więc teraz, oddychanie naprawdę odświeżonym powietrzem, po tych wszystkich dniach korzystania z powietrza z puszki, wydawało się nowym i błogim doświadczeniem. Świeżość ta spowodowała jednak, że Cochrane jeszcze silniej uświadomił sobie potrzebę kąpieli.

Wziął prysznic w pokoju hotelowym. Sam pokój był bardzo podobny do swoich odpowiedników na Ziemi, poza tym że nie miał okien. Prysznic jednak był dziwny. Strużki wody były bardzo cienkie. Cochrane czuł się raczej, jakby został spryskany rozpylaczem, niż wodą tryskającą z sitka prysznicowego, dopóki nie zauważył, że woda spływa po nim bardzo powoli. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że normalny prysznic byłby nieco zbyt intensywny. Nabrał garść wody i wypuszczał ją kroplami. Poszczególnym kroplom opadanie z wysokości dwóch i pół stopy, zabierało pełną sekundę.

Było to deprymujące, ale świeże ubranie z czekającego już na niego bagażu, spowodowało że poczuł się znacznie lepiej. Zszedł do hotelowego holu, tylko że to nie był hol, a hotel nie był hotelem. Wszystko w kopule było we wnętrzu, w tym sensie, że znajdowało się pod kulistym sufitem, zawieszonym na wysokości pięćdziesiątego piętra. Ale z drugiej strony

wszystko było również na dworze, w tym sensie, że wszędzie pełno było jasnego światła, rosły drzewa, krzewy i zarośla.

Na dole zastał już, czekającą na niego, przebraną w świeże ubranie Babs. Zwróciła się do niego oficjalnym tonem:

– Panie Cochrane, pytałam już w recepcji. Doktor Holden wyszedł, aby skontaktować się z panem Dabneyem. Prosił, żebyśmy byli gdzieś w pobliżu, gotowi na wezwanie. Przesłałam już wiadomość dla pana Westa, pana Jamisona i pana Bella.

Cochrane docenił jej organizacyjną sprawność.

– A więc, usiądźmy sobie gdzieś i poczekajmy. Ponieważ nie jesteśmy w biurze, możemy czegoś się napić.

Poprosili o stół, i dostali jeden ze znajdujących się w pobliżu basenu. Dopóki tam nie usiedli, Babs nosiła swoją biurową maskę, z całym tym oficjalnym, zawodowym sposobem zachowania. Ale ten basen był zupełnie odmienny od basenów na Ziemi. Lustro wody znajdowało się głęboko pod krawędzią basenu, a w tą i z powrotem przepływały po nim wielkie fale. Pływacy...

Babs głęboko wciągnęła powietrze. Na desce trampoliny, umieszczonej całe trzydzieści stóp ponad wodą, stał jakiś człowiek. Przygotowywał się do skoku.

– To jest Johnny Simms! – oznajmiła z respektem.

– A kto to jest?

– Playboy – odparła Babs, gapiąc się na niego. – Jest osobowością psychopatyczną, a jego rodzina ma miliony. Trzymają go z dala od kłopotów. Jest żonaty.

– Co za pech... jeżeli ma miliony – stwierdził Cochrane.

– Nigdy bym nie wyszła za człowieka o psychopatycznej osobowości! – zaprotestowała Babs.

– A więc trzymaj się z dala od ludzi z branży reklamowej – roześmiał się Cochrane.

Johnny Simms przed skokiem nie podskoczył w górę i nie wylądował na trampolinie, aby ją rozkołysać. Po prostu odbił się do góry i poleciał w kierunku sufitu, na wysokość dodatkowych co najmniej piętnastu stóp, zawisł w powietrzu na dobrą chwilę, i zaczął powoli spadać, dosłownie w zwolnionym tempie. W ciągu pierwszej sekundy opadł zaledwie dwie i pół stopy, w ciągu następnej kolejne pięć, potem dwanaście i pół... Pokonanie czterdziestu pięciu stóp, jakie dzieliły go od lustra wody, zabrało mu ponad cztery sekundy, a rozprysk który wystrzelił w górę, kiedy uderzył o powierzchnię, uniósł się na wysokość czterech jardów i opadał z naprawdę lunatyczną powolnością.

Obserwując go, Babs nie była w stanie utrzymać swojego oficjalnego sposobu zachowania. Wybuchła radosną świadomością, że jest na Księżycu, oglądając niesamowite rzeczy i widząc sławnych ludzi.

Siedzieli sącząc drinki -- ale płyn w słomkach unosił się dużo za szybko, i Cochrane zorientował się, że drink w szklance Babs, będzie kosztował teścia Dabneya, co najmniej tyle ile Babs w domu zarabiała przez tydzień, a jego własny wcale nie mniej.

Wkrótce dotarła do nich pisemną notatka od Holdena:

„Jed: wyślij natychmiast Westa i Jamisona do laboratorium księżycowego Dabneya, żeby dowiedzieli się szczegółów odkrycia, od człowieka o nazwisku Jones. Weź dla nich z hotelu łazik księżycowy i kierowcę. Będę cię potrzebował, za jakąś godzinę. -- Bill.”

– Zaraz wracam – powiedział Cochrane. – Poczekaj.

Wstał od stołu i znalazł pokój Westa, Jamisona i Bella, cała trójka siedziała w środku, rozmawiając nad butelką. West i Jamison stanowili zespół naukowy Cochrane’a, do realizacji jeszcze nie sformułowanego zadania, które ma wykonać. West był specjalistą od popularyzacji. Był w stanie spowodować, że widownia telewizyjna uwierzy nawet w to, że rozumie wszystkie siedem wymiarów, niezbędnych do wyjaśnienia pewnych gałęzi teorii mechaniki fal. Oczywiście, jego argumenty nie trzymały się kupy. Poza tym, po kilku chwilach, już ich się nie pamiętało. A jednak były one osobliwie przekonujące w popularnonaukowych kawałkach, w produkcjach telewizyjnych. Jamison był ekspertem od prorostw. Potrafił ekstrapolować cokolwiek, w cokolwiek innego, i spowodować, że człowiek uwierzy, że jednotygodniowy spadek liczby urodzeń na Kamczatce jest początkiem trendu, który dokładnie za sto siedemdziesiąt trzy lata, pozostawi Ziemię kompletnie pozbawioną ludności. Obaj byli dobrymi ludźmi, i nikogo lepszego, nie znajdzie się na zawołanie. Teraz, po otrzymaniu instrukcji, wyszli, aby uzyskać informacje od kogoś, kto niewątpliwie wiedział więcej, niż oni dwaj razem wzięci, ale którego powinni traktować z tolerancyjną podejrziwością.

Bell, został w pokoju, i spytał dociekliwie:

– Ten scenariusz, który mam napisać... Czy będzie umiejscowiony w tamtym laboratorium? Gdzie ono jest? W kopule?

– Nie, jest poza kopułą – odparł mu Cochrane. – West i Jamison wzięli łazik księżycowy, żeby tam pojechać. Nie wiem, gdzie będzie miejsce akcji. W ogóle, niczego jeszcze nie wiem. Ja sam czekam, żeby ktoś powiedział mi coś o tej robocie.

– Jeżeli mam upichcić jakiś sensowny wątek – zauważył Bell, – muszę znać miejsce akcji i całą otoczkę. Kto będzie grał? Wiesz przecież, jak amatorzy mogą zarządzić każdy scenariusz! A co z częścią dla Babs? Fajna mała.

Cochrane stwierdził, że jest rozdrażniony, chociaż sam nie wiedział dlaczego.

– Musimy tylko trochę poczekać, aż dowiemy się na czym polega nasza praca – stwierdził krótko i odwrócił się, aby wyjść.

Bell zatrzymał go.

– Jeszcze jedna sprawa. Jeżeli planujesz wykorzystać kamerzystę z wiadomości, który jest tu na górze, nie rób tego, proszę! Ja sam byłem kiedyś operatorem filmowym, zanim zwariowałem i zacząłem pisać. Pozwól mi zająć się pracą z kamerą. Mam z pewnością lepsze pojęcie o wykorzystaniu kamery do opowiedzenia jakiejś historii, zwłaszcza teraz, niż...

– Zaraz, zaraz – przerwał mu Cochrane. – Nie przylecieliśmy tutaj żeby nakręcić show. Nasza praca związana jest z psychiatrią -- kompletne szaleństwo.

Dla szanującego się producenta, ta cała psychiatryczna produkcja mogła wydawać się szaleństwem. Scenarzysta może będzie miał problem z wypisaniem recepty psychiatrycznej, a może nie. Ale wyprodukowanie jej, wydaje się już zupełnie wykraczać poza granice rozsądku. Brak kamery, gwiazdą będzie pacjent, a większość wątków będzie miała charakter na życzenie. Cochrane traktował tego typu produkcję, z największym niesmakiem. Oczywiście, jednak, gdyby okazało się, że gość chce tylko być sławny, mogłoby to zostać rozwiązane przez prostą robotę z zakresu public relations. W każdym razie, równałoby się to stworzeniu jedynie wielkiego trójwymiarowego pochlebstwa, i Cochrane raczej nie będzie musiał brać w tym udziału. Ale musi zaaranżować całą tę sprawę.

Wrócił do stolika i ponownie przyłączył się do Babs. Zwierzyła mu się, że rozmawiała z żoną Jimmy'ego Simmsa. Była bardzo miła. Ale tęskniła za domem. Cochrane siedział więc i snuł niezdrowe myśli. Potem uświadomił sobie, że zirytowało go to, że Babs niczego nie zauważyła. Dokończył swojego drinka i zamówił następnego.

Pół godziny później odnalazł ich Holden. Holował za sobą wygalającego na smutnego, dosyć młodego mężczyznę, z bardzo wąskim czołem i wyrazem głębokiego niepokoju na twarzy. Cochrane skrzywił się. Neurotyczny typ, nie ulegało wątpliwości.

– Jed – serdecznie przedstawił ich sobie Holden, – oto jest pan Dabney. Panie Dabney, Jed Cochrane jest tutaj, jako specjalista od projektów public relations. Będzie odpowiedzialny za tę sprawę. Pański teść przysłał go tutaj, aby dopilnował tego, by oddano panu sprawiedliwość!

Dabney zdawał się intensywnie myśleć, zanim się odezwał.

– Tu nie chodzi o mnie osobiście – wyjaśnił zaniepokojonym głosem. – To moja praca! To jest istotne! Pomimo wszystko, to jest fundamentalne odkrycie naukowe! Ale nikt nie zwraca na nie najmniejszej uwagi! A przecież to jest ekstremalnie ważne! Ekstremalnie! Postęp całej nauki jest powstrzymywany, ponieważ nie zwraca się uwagi na moje odkrycie!

– Co – zapewnił go Holden, – wkrótce ulegnie zmianie. To jest sprawa z zakresu public relations. Jed jest specjalistą najwyższej klasy. On się tym wszystkim zajmie.

Młody człowiek o smutnej twarzy złapał go za rękę, dla przyciągnięcia uwagi. Myślał. Wyraźnie było to widać. Potem oznajmił z troską:

– Zabrałbym pana do mojego laboratorium, ale obiecałem żonie, że zadzwonię do niej, akurat za pół godziny. Żona Jimmy'ego Simmsa właśnie mi o tym przypomniała. Moja żona wróciła na Ziemię. Musi więc pan pojechać do mojego laboratorium beze mnie i kazać panu Jonesowi, żeby pokazał panu dowód na moją pracę. Jones, to bardzo inteligentny człowiek -- oczywiście, na swój ograniczony sposób. Tak. Każę dać panu łazik i może pan tam od razu pojechać, a kiedy pan wróci, opowie mi pan o swoich planach. Ale rozumie pan, że to nie chodzi o mnie samego, że ja nie pożądam zaszczytów i zasług! Tu chodzi o moje odkrycie! Ono jest niesamowicie ważne! Ma krytyczne znaczenie! Ono nie może zostać przeoczone!

Holden odprowadził go dalej, podczas gdy Cochrane ostrożnie sprawdził kości swojej ręki. Po kilku chwilach Holden wrócił, z obwisłą twarzą.

– To twój drink, Jed? – spytał pozbawionym energii głosem. – Potrzebuję tego! – Złapał za szklankę i opróżnił ją duszkiem. – Historia tego przypadku mogłaby być naprawdę interesująca, gdyby ktoś naprawdę dotarł do jego dna! Chodźmy! – Jego głos był kwintesencją ponurości. – Czeka na nas łazik, który załatwiłem.

Babs wstała z rozjaśnionymi oczyma.

– Czy mogę także jechać, panie Cochrane?

Cochrane machnął ręką, żeby szła z nimi. Holden próbował z ponurą determinacją, dumnie kroczyć, ale nikt nie jest w stanie iść w ten sposób przy jednej szóstej wagi. Zatoczył się, a potem z przygnębieniem dostosował się do panujących na Księżycu warunków.

Doszli do śluzy powietrznej, z mniejszą wersją łazika księżycowego w środku, niż ten który przywiózł ich ze statku do miasta. Było to wypolerowane do połysku metalowe pudło, unoszące się na wysokości jakichś dziesięciu stóp, na horrendalnie wielkich kołach. Był bardzo podobny do maszyn o wysokim zawieszeniu, używanych w składach drzewnych na Ziemi. Mógł przejeżdżać ponad leżącymi między kołami głazami. Był w stanie dotrzeć niemal wszędzie, pomimo pyłu i gruzu, a jego metalowy kadłub był hermetyczny i w środku można było oddychać nawet podczas jazdy na zewnątrz, po powierzchni Księżyca.

Wsiedli do środka. Rozległy się odgłosy pompowania, stopniowo coraz bardziej cichnąc. Potem otworzyły się zewnętrzne wrota śluzy. Łazik wytoczył się na zewnątrz.

Babs z namiętym zachwytem wyglądała przez port widokowy. Wszędzie było pełno niesamowicie ostro postrzępionych kamieni i straszliwie stromych ścian skalnych. Nie było tutaj czynników atmosferycznych, które mogłyby wygładzić jakiekolwiek ostre krawędzie, nawet w czasie setek milionów lat. Niezgrabny zdawałoby się pojazd, jechał powoli przez morze lawy, zmierzając w kierunku wału potężnych gór, wznoszących się nad Lunar City. Dotarł do stromego podjazdu. Zaczął wspinać się pod górę. Trasa stała się mocno wyboista, a pojazd nie miał resorów, ale tym niemniej, jazda była dosyć gładka. Wyboje nie mogą być specjalnie dokuczliwe, przy tak niewielkiej sile ciężkości. Pojazd jechał, jakby szybował na skrzydłach.

– No dobrze – powiedział w końcu Cochrane. – Powiedz mi wszystko, nawet najgorsze. Na czym polega problem tego gościa? Czy to typowy produkt sześciu pokoleń w rodzinie, po prostu śpiących na forsie? Czy może to tylko on jest wybrykiem natury?

Holden lekko zajęczał.

– To praktycznie pokazowy model bogatego młodego człowieka, który nie ma na tyle dużo oleju w głowie, żeby zająć się pracą w rodzinnej firmie, a ma zbyt dużo pieniędzy, żeby robić cokolwiek innego. Na szczęście dla swojej rodziny, nie zachował się jak Johnny Simms – chociaż są dobrymi przyjaciółmi. Sto lat temu, Dabney poświęciłby się sztuce. Ale dzisiaj, trudno jest oszukiwać samego siebie, w ten sposób.

Pięćdziesiąt lat temu, poświęciłby się lewicującej socjologii. Ale dzisiaj naprawdę robimy w tej dziedzinie tyle ile się da, przy tak wielu ludziach i niewystarczającej ilości miejsca na planecie. Tak więc zajął się nauką. To nie jest specjalnie konkurencyjne poletko. Brak zdolności nie wychodzi od razu na jaw. Ale on na coś się natknął. To wygląda naprawdę na prawdziwe odkrycie. Musiał to być jakiś zupełnie nieprawdopodobny przypadek! Jedyny problem polega na tym, że to coś zupełnie nieistotnego! A dlatego że udało mu się osiągnąć więcej, niż kiedykolwiek oczekiwał, jest sfrustrowany, ponieważ nie zostało to należycie docenione! Co za ironia!

Cochrane cynicznie stwierdził:

– Malujesz naprawdę ciemny obraz, Bill. Czy próbujesz zmienić tę sprawę w wyzwanie?

– Nie możesz zrobić człowieka sławnym, z powodu odkrycia czegoś co nie ma znaczenia – odparł Holden pozbawionym nadziei głosem. – I na tym właśnie polega problem!

– Dla public relations, nic nie jest niemożliwe, jeżeli wydasz na to wystarczająco dużo pieniędzy – zapewnił go Cochrane. – Na czym polega ten jego bezużyteczny tryumf?

Łazik podskoczył małej skałce, opadał łagodnie przez pół sekundy i potoczył się dalej. Babs wręcz promieniała.

– Odkrył – powiedział zniechęconym tonem Holden, – sposób na przesyłanie wiadomości szybciej niż światło. To jakieś obejście tego całego bajzlu Einsteina. Nie jest z nim sprzeczne, tylko go omija. Obecnie przesłanie komunikatu biegnącego z Księżyca na Ziemię, zajmuje niecałe dwie sekundy. Z powodu prędkości światła. Dabney udowodnił -- to właśnie mamy zobaczyć -- że może skrócić ten czas o jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent. Tylko że, tego nie można wykorzystać do komunikacji z Księżyc – Ziemia, ponieważ obu krańce kanału muszą znajdować się w próżni. Można by to zastosować na platformie kosmicznej, ale... a co to zresztą za różnica? Jak widzisz, to naprawdę rzeczywiste odkrycie, które nie ma żadnego możliwego zastosowania w praktyce. Nie ma żadnego miejsca, do którego można by było wysyłać takie komunikaty!

Oczy Cochrane'a rozjaśniły się, ale pojawił się w nich jakiś twardy wyraz. W bezpośredniej bliskości Ziemi znajdowało się jakieś trzy tysiące milionów gwiazd -- a jeszcze więcej w stosunkowo niewielkiej odległości -- i nie miało to dla nikogo znaczenia. Nie wydawało się prawdopodobne, aby sytuacja mogła ulec zmianie. Ale... Łazik wspinał się coraz wyżej. Był już milę wyżej od poziomu zatoki morza lawy i kopców pyłu stanowiących miasto. Wydawało się jednak, jakby to było z dziesięć mil, z powodu krzywizny horyzontu. Wyrastające wokół góry, wyglądały jakby ze snu szaleńca.

– Ale on pożąda uznania! – gniewnie powiedział Holden. – Ludzie na Ziemi, niemal depczą po sobie nawzajem z powodu braku miejsca, a lekarze tacy jak ja próbują utrzymać ich przy zdrowych zmysłach, pomimo że mają oni wszystkie powody do desperacji -- a temu zachciało się uznania!

Cochrane wyszczerzył zęby w uśmiechu. Cichutko zagwizdał.

– Nigdy nie niedoceniaj geniuszu – uprzejmie stwierdził. – Odniosę to skromnie do mojej własnej osoby. Za dwa tygodnie, twój pacjent -- gwarantuję ci to -- będzie okłaskiwany jako nadzieja, wręcz błogosławiony. Stanie się największym człowiekiem w całej historii ludzkości! To oczywiście będzie oszustwo, ale zobaczysz, że nawet Marilyn Winters -- sama Mała Afrodyta -- będzie robiła do niego podchody, w nadziei zdobycia przerwy reklamowej! To całkowicie naturalne!

– Jak masz zamiar to zrobić? – dopytywał się Holden.

Łazik skręcił, kontynuując swoją szaleńczą, wyboistą podróż. W skale, która była nietknięta od samego początku czasu, wysadzony został płaski taras. Znajdowała się na nim ludzka budowla. Jak zwykle, była to sterta pyłu, opierająca się o skalną ścianę. Na zewnątrz śluzy powietrznej budowli, czekał drugi łazik, a obok niego, na płaskiej przestrzeni, stały jakieś dziwaczne metalowe urządzenia, osłonięte przed bezpośrednim światłem słonecznym. Wybiegały z nich kable, biegnące do wrót śluzy powietrznej.

– Jak? – powtórzył Cochrane. – Zobaczymy, szczegóły zdobędę dopiero tutaj. Chodźmy! Co robimy?

Pojawiła się jeszcze kwestia, jak wkrótce odkrył, skafandrów próżniowych, które okazały się trudne do założenia, a kiedy już znalazł się w środku jednego z nich, czuł się w nim wręcz strasznie. Zmagając się ze swoim ubiorem, Cochrane usiłował powiedzieć:

– Możesz poczekać tutaj w łaziku, Babs...

Ona jednak wcisnęła się już do swojego skafandra, zdecydowanie za dużego na nią, z wyrazem takiego podniecenia na twarzy, jakie Cochrane zapomniał już, że można czuć.

Wyszli z łazika przez małą śluzę powietrzną, która mieściła tylko jedną osobę na raz. Ruszyli do laboratorium. Nagle Cochrane zauważył, że Babs wpatruje się do góry, przez ciemne, niemal nieprzejryste szkło hełmu skafandra kosmicznego, w trakcie dnia księżycowego chroniące człowieka, przed usmażeniem przez światło słoneczne. Cochrane również automatycznie spojrzał do góry.

Zobaczył Ziemię. Wisiała niemal pośrodku nieba. Była ogromna. Była gigantyczna. Była kolosalna. Miała czterokrotnie większą średnicę, niż Księżyc widziany z Ziemi, i pokrywała szesnaście razy większy obszar nieba. Wyraźnie było na niej widać kontynenty, morza, a lodowe czapy na biegunach błyszczały białym światłem. Ponad tym wszystkim można było dostrzec lekko niebieskawą mgiełkę, wyglądającą jak efekt magii. Nieziemska i niesamowita woalka, powodująca, że widok Ziemi poruszał najczulsze struny w duszy człowieka.

Za nią, i wszędzie dookoła, w tle rozpościerał się kosmos, tak gęsto ozdobiony klejnotami gwiazd, że zdawało się iż brak już na nim miejsca na inne kosztowności.

Cochrane wpatrywał się w ten widok jak osłupiały. Nic nie mówił. Holden pokuśtykał niezdarnie do śluzy, nie rozglądając się. Nie zapomniał jednak, przytrzymać otwarte wrota, przed Babs.

Po pokonaniu śluzu znaleźli się w laboratorium. Stanowiło ono scenerię do jakiej nie byli specjalnie przyzwyczajeni, nawet Cochrane, który wykorzystywał jako miejsce akcji Godziny z Dikkipatti, większość lokalizacji, w których mogą ujawnić się jakieś ludzkie dramaty. Było to laboratorium fizyczne, w czystej i najprostszej formie. W powietrzu unosił się zapach ozonu, rozlanego kwasu i oleju, dymu tytoniowego oraz trudnych do zidentyfikowania innych składników. West i Jamison już tu byli i zdążyli się rozgościć, zrzucając z siebie skafandry. Siedzieli przy stole, popijając piwo, a wszędzie dookoła porozrzucone były niezliczone wykresy i schematy. Razem z nimi siedział mężczyzna o gęstych brwiach, który dosyć niecierpliwie odwrócił się, aby przywitać nowych gości.

Holden niezgrabnie otworzył płytę czołową swojego hełmu i ponurym głosem wyjaśnił powód ich przybycia. Przedstawił Cochrane'a i Babs, weryfikując w ten sposób również, czy ciemnowłosego mężczyznę był tym Jonesem, z którym miał się zobaczyć. Laboratorium, zaszyte głęboko w głąb Apeninów Księżycowych, było dziwnym miejscem na to, aby psychiatra szukał w nim istotnych informacji o swoich sprawach zawodowych. Holden jednak wyjaśnił nieszczęśliwym głosem, że Dabney wysłał ich tutaj, aby poznali szczegóły jego odkrycia i zaplanowali prace public relations, nagłaśniające wiedzę o nim.

Cochrane zauważył, jak w trakcie wyjaśnień Holdena, na twarzy Jonesa w pewnej chwili, zamigotał sarkazm. Należy mu oddać, że stało się to dokładnie raz. Poza tym jego twarz przez cały miała czas pokerowy wyraz.

– Wyjaśniłem odkrycie tym dwóm – zauważył.

– No to wal – powiedział Cochrane Westowi. Celowo zapytał o wyjaśnienia właśnie Westa, ponieważ potrafił on przetłumaczyć na terminologię telewizyjną, dosłownie wszystko.

West zaczął energicznie opowiadać -- dokładnie jakby stał przed kamerą telewizyjną -- że pan Dabney wyszedł od pewnych powszechnie znanych faktów, głoszących że właściwości przestrzeni mogą być modyfikowane przez pola energetyczne. Pola magnetyczne, grawitacyjne i elektrostatyczne są w stanie obracać spolaryzowane światło albo zakrzywiać je, albo robić jedno i drugie, w zależności od konkretnego przypadku. Zasadniczo wszystkie wcześniej badane modyfikacje stałych przestrzeni, powodowane były przez użycie sferycznych pól różnych sił. Wszystkie poprzednio znane pola rozprzestrzeniały się we wszystkich kierunkach, zwiększając swoją intensywność kiedy kwadrat odległości...

– Cięcie – wszedł mu w słowo Cochrane.

West automatycznie przerwał swój profesjonalny wykład. Spokojnie wrócił do swojego piwa.

– A co ty o tym powiesz, Jones? – spytał Cochrane. – Dabney ma coś innego? Co to jest?

– To jest pole siły, które się nie rozprzestrzenia. Ustawia się dwie płyty i wytwarza się między nimi pole – krótko wyjaśnił Jones. – Jest ono kolistnie spolaryzowane i nie rozszerza się. Podobnie jak wiązka światła z reflektora, albo promiennik w mikrofalówce, tylko że cały czas ma tę samą długość, jak rura. W tym polu -- swoistej rurze -- promieniowanie

porusza się szybciej, niż na zewnątrz. Pomiędzy płytami zmieniają się właściwości przestrzeni. Dlatego przyspieszają one prędkość każdego promieniowania. To wszystko.

Cochrane sam usiadł, zastanawiając się nad tym co usłyszał. Podobał mu się ten Jones, którego brwi praktycznie zbiegały się pośrodku czoła. Nie był bardziej grzeczny, niż wymagała tego zwykła uprzejmość. Nie okazał służalczego zachwyty na wspomnienie nazwiska swojego pracodawcy.

– Ale co można przy pomocy tego zrobić – spytał Cochrane praktycznie.

– Nic – szybko odparł Jones. – To zjawisko zmienia właściwości przestrzeni, ale to wszystko. Czy można wymyślić jakieś zastosowania dla rury przyspieszającej promieniowanie do prędkości większej od światła? Ja nie potrafię.

Cochrane spojrział w bok na Jamisona, który od ręki potrafił ekstrapolować każde równanie. Ale Jamison pokręcił przecząco głową.

– Komunikacja między planetami – ponuro stwierdził, – kiedy już się na nie dostaniemy. Pogaduszki między zakochanymi na Ziemi i na Plutonie. Transmisje do gwiazd, kiedy stwierdzimy, że ktoś inny przygotował podobną płytę, i jest gotów aby z nami pogawędzić. Nie ma nic innego.

Cochrane pomachał ręką w powietrzu. To dobra polityka, aby czasami pokazać specjaliście jego miejsce.

– Demonstracja? – spytał Jonesa.

– Tam na zewnątrz, z dwóch stron na kraterze zamontowane są płyty – objaśnił Jones, nie okazując żadnych emocji. – Dwadzieścia mil czystego zasięgu. Mogę przesłać komunikat, zostanie on dwukrotnie przekazany i wróci do mnie po trójkacie, po mniej więcej pięciu procent czasu, jaki powinno zająć to promieniom radiowym.

Cochrane oznajmił z życzliwą ironią.

– Jamison, twoja robota polega na wymyśleniu dokąd można zajść. Jones pracuje wymyślając, gdzie jest obecnie. Ale to jest robota z zakresu public relations. Ja nie mam pojęcia gdzie jesteśmy, ani dokąd mamy dojść, ale wiem gdzie chcemy abyśmy się znaleźli.

Jones popatrzył na niego. Nie jakoś wrogo, ale z powierzchownym zainteresowaniem człowieka przyzwyczajonego do niemal ścisłej nauki, który widzi kogoś pracującego w jednej z najmniej precyzyjnych dziedzin ze wszystkich.

Holden stwierdził:

– To znaczy, że opracowałeś jakiegoś rodzaju produkcję.

– Nie produkcję – uprzejmie odparł Cochrane. – To nie jest konieczne. Prosty projekt public relations. Preparujemy pewną historię, a następnie pozwalamy jej wyciec. Wymyślamy ją tak dobrze, że nawet ludzie którzy w nią nie wierzą, nie mogą się oprzeć temu, aby nie rozpowszechniać jej dalej. – Skinął głową w stronę Jamisona. – A więc, słuchaj, Jamison, teraz chcemy teorii -- i to tak szybko jak tylko jesteśmy w stanie ją wymyślić – że przesyłanie promieni dwadzieścia razy szybciej od światła oznacza, że jest jakiś sposób na przesyłanie szybciej od światła również materii.

Znaczyłoby to, że masa inercyjna, która zwiększa się wraz z prędkością -- pomysł Einsteina -- nie jest właściwością materii, ale przestrzeni. Po prostu tak samo jak opór powietrza, który zwiększa się, kiedy samolot leci szybciej, jest właściwością powietrza, a nie samolotu. Być może będziemy musieli opracować teorię, że cała inercja jest właściwością przestrzeni. Jeszcze zobaczymy, czy będzie nam to w ogóle potrzebne. W każdym razie, podobnie jak samolot może lecieć szybciej w rzadszym powietrzu, tak samo materia -- każda materia -- będzie poruszać się szybciej w tym polu. Oczywiście, jak tylko opanujemy sztukę jego tworzenia. Rozumiecie?

Holden pokręcił głową.

- A co w tym jest takiego, żeby zrobić Dabneya sławnym? - spytał.

- Jamison wyekstrapoluje nam od tego miejsca - zapewnił go Cochrane. - No dalej, Jamison. Wchodzisz.

Jamison odparł natychmiast, z hipnotyzującą płynnością doświadczonego profesjonalisty:

- Kiedy prace nad tym odkryciem zostaną ukończone, nie tylko wiadomości będą mogły być przekazywane z szybkością wielokrotnie przekraczającą prędkość światła, ale również i materia! Statki międzygwiazdne! Bariera dla osiągnięcia wspaniałego przeznaczenia ludzkości, ograniczenie naszej rasy do pojedynczej planety pomniejszej gwiazdy -- te okowy pękną i zostaną skruszone, kiedy największe umysły ludzkości pochylą się nad tą sprawą, łącząc swoje wysiłki aby uczynić prawo ruchu szybszego niż światło Dabneya, zasadą działania naszych statków. W naszej galaktyce są tysiące milionów gwiazd, a nie mniej niż jedna na trzy ma planety. Pomiędzy miriadami tych nieznanych nam planet, będą tysiące posiadających morza, lądy, chmury i kontynenty, odpowiednie dla ludzi, którzy na nie przybędą, aby wznieść tam swoje miasta. Statki kosmiczne będą łączyły odległe skupiska gwiazd i lądowały na planetach Drogi Mlecznej. My sami ujrzymy jeszcze szlaki transportowe na Rigel i Arktura i podróże liniowcami pasażerskimi pędzącymi przez pustkę do Andromedy i Aldebarana! Dabney dokonał pierwszego wyłomu w barierze do nieograniczonej wielkości rasy ludzkiej!

Przerwał w tym miejscu i zapytał profesjonalnym tonem:

- Oczywiście, mogę to jeszcze trochę doszlifować. Może być?

- W porządku - zgodził się Cochrane. Zwrócił się do Holdena. - No i co sądzisz pracach public relations, w tym kierunku? Czy ten rodzaj popularności nie spełnia twoich wymagań? Czy twój pacjent będzie usatysfakcjonowany tego rodzaju stopniem uznania?

- Jako osobowość neurotyczna, nie będzie on wymagał, żeby to była prawda. Wszystko, czego mu potrzeba, to złudzenia. Ale... Jed, czy nie mogłaby to być prawda? Nie mogła?

Cochrane roześmiał się nieprzyjemnie. Sam wcale siebie nie podziwiał. Jego śmiech wyraźnie to pokazywał.

- Czego ty ode mnie chcesz? - dopytywał się. - Wrobiłeś mnie w robotę, której wcale nie pragnąłem. Złapałeś mnie za gardło! A teraz mamy sposób, aby tego dokonać! Czego byś jeszcze chciał?

Holden skrzywił się. Potem powiedział ciężkim głosem:

- Fajnie byłoby, gdyby to była prawda.

Jones nagle drgnął. Oznajmił dziwnie zaskoczonym głosem:

– Wiecie, może tak być! Nawet sobie z tego nie zdawałem sprawy! To może być prawda! Mogę zbudować statek szybszy niż światło!

Cochrane odparł mu z delikatną ironią:

– Dzięki, ale nie potrzebujemy tego. Nikt nam za coś takiego nie zapłaci! Wszystko czego nam trzeba, to odrobina uznania dla neurotycznego zięcia wspólnika Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe! Aby to osiągnąć, potrzeba tylko trochę roboty z zakresu public relations. Dasz Westowi teorię, Jamison przygotowuje prorocstwo, a Bell to wszystko opisze.

Jones stwierdził spokojnie:

– Niech mnie cholera, jeżeli to zrobię! Słuchaj! Przede wszystkim, to ja odkryłem to pole szybkości większych niż światło! Sprzedałem je Dabneyowi, ponieważ chciał być sławny! Dostałem moje pieniądze, i może sobie to zabrać! Ale jeżeli on sam nie potrafi go zrozumieć, nawet na tyle żeby wyklądać na ten temat... Czy myślisz, że mam zamiar dorzucić mu dodatkowy materiał, na który wpadłem, który potrafię dopasować do tej teorii, a nikt inny nie potrafi... Czy myślisz, że mam zamiar dać mu jako bonus statki międzygwiazdne?

Holden skinął głową i powiedział wykrzywiając wargi:

– Powinienem na to wpaść! On kupił to wielkie odkrycie od ciebie, co? I właśnie dlatego jest tym wszystkim tak sfrustrowany!

Cochrane warknął ostro:

– Bill, myślałem, że wy psychiatrzy powinniście znać życie! Dabney nie jest nikim niezwykłym w moim biznesie! Jest niemal typowym sponsorem!

– Jeżeli prosicie mnie, abym zrezygnował z odkrycia statków międzygwiazdnych – zimno oznajmił Jones, – tylko dla przedstawienia reklamowego, to ja w to nie wchodzę. Nie odbiorę Dabneyowi zasług odkrycia tego pola. Sprzedałem mu je i wiedziałem wtedy co robię. Ale statki międzygwiazdne, to coś dużo ważniejszego, niż pragnienie sławy jakiegoś głupca! On nigdy by tego nawet nie spróbował! Bałby się, że to nie będzie działać! Ja w to nie wchodzę!

Holden stwierdził z naciskiem:

– Nic mnie nie obchodzi żaden interes, jaki ubieś z Dabneyem! Ale jeżeli możesz dać nam gwiazdy -- wszystkim ludziom, którzy ich potrzebują -- to musisz to zrobić!

Jones odparł, wracając do spokojnego tonu:

– Jestem zainteresowany. Słucham twojej oferty... nie chodzi mi o pieniądze, ale o możliwość zrobienia czegoś rzeczywistego. Nie jakąś tam sztuczkę dla zaspokojenia czyjegoś neurotycznego ego!

Cochrane uśmiechnął się do niego, w bardzo specyficzny sposób:

– Podoba mi się twoje podejście do sprawy. Masz złudzenia. To bardzo miło je posiadać. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby samemu trochę ich mieć. Bill – zwrócił się do doktora Williama Holdena, – jak dużo ikry ma Dabney?

– Mówiąc nieprofesjonalnie – odparł Holden, – to jest on robalem z pragnieniami. Nie ma niczego poza żądzą. Dlaczego pytasz?

Cochrane ponownie wyszczerzył się w uśmiechu, przekrzywiając głowę na jeden bok.

– Nigdy by nie wziął udziału w przedsięwzięciu mającym na celu dotarcie do gwiazd, co? – Kiedy Holden pokręcił głową, Cochrane ochotczo dorzucił: – Domyślam się, że szczytem jego ambicji, byłoby zgarnięcie zasług za ten projekt, jeżeli zakończy się on powodzeniem, ale nie będzie chciał zaryzykować, że będzie z nim związany, dopóki nie zakończy się on powodzeniem! Prawda?

– Prawda – potwierdził Holden. – Powiedziałem przecież, że to robił. Czemu tak to drążysz?

– Próbuję naszkicować to, do czego usiłujesz mnie zmusić, niemal wykręcając mi rękę – powiedział Cochrane. – Tak na wszelki wypadek, gdybyś sam tego nie zauważył. Bill, jeżeli Jones naprawdę potrafi zbudować statek szybszy niż światło...

– Potrafię – powtórzył Jones. – Po prostu nie pomyślałem, o tej sprawie w kontekście podróży. Myślałem o tym tylko jako o narzędziu komunikacyjnym.

– A więc – dokończył Cochrane, – jestem dosłownie zmuszony, z powodu Dabneya, zrobić coś co wywołałoby u niego atak gwałtownych wrzasków, gdyby tylko o tym usłyszał. Będziemy mieli niezłą zabawę, Bill! Zabawę bardzo miłą naszym sercom całej naszej trójki: mojemu, twojemu i Jonesa!

– Co przez to rozumiesz? – dopytywał się Holden.

– Pomimo wszystko, zrobimy jednak produkcję – oznajmił Cochrane, uśmiechając się od ucha do ucha. – Weźmiemy to odkrycie Dabneya -- to do którego zakupił prawa publikacyjne -- i potraktujemy je naprawdę poważnie. Mam zamiar zdobyć dla niego prawdziwy poklask. Najpierw ujawniamy tę historię, o tym co pole Dabneya oznacza dla przyszłości ludzkości -- a potem, dowodzimy tego! Wyruszamy w lot do gwiazd! To jak, czy chcecie sobie zarezerwować miejsce?

– Rozumiesz przez to – wtrącił z niedowierzaniem West, – prawdziwy lot? Dlaczego?

Cochrane nagle wsiadł ostro na niego.

– Ponieważ nie mogę już dalej się oszukiwać – warknął. – Uświadomiłem sobie jak niewiele liczę się dla świata i w oczach Kursten, Kasten Hopkins i Fallowe! Zrozumiałem, że jestem tylko małym człowieczkiem, podczas gdy myślałem, że jestem grubą rybą, i nie mam zamiaru tego zaakceptować! Teraz zaś mam możliwość, aby spróbować stać się wielkim człowiekiem! To chyba wystarczający powód, co nie?

Potem z ogniem w oczach powiódł wzrokiem dookoła małego laboratorium, skrytego pod kopcem pyłu. Był zirytowany, ponieważ nie czuł w duszy jakichś wzniosłych emocji, po znalezieniu rozwiązania i stworzeniu planu, który powinien przejść do historii -- oczywiście jeżeli się powiedzie. Nie czuł żadnego specjalnego uniesienia. Nie znajdował w sobie żadnego szczególnego poczucia, że jest narzędziem przeznaczenia, czy czegokolwiek innego. Czuł się po prostu rozdrażniony, zdenerwowany i zdecydowany na spróbowanie tej niemożliwej sztuki.

Jeszcze bardziej go denerwował, być może, widok rozjaśnionych oczu Babs i podziwu na jej twarzy, kiedy spoglądała na niego ponad zaśmieconym stołem laboratoryjnym, zawalonym puszkami po piwie.

III

Z zapisów historycznych wynika niezbicie, że kontynent amerykański został odkryty, dlatego że w piętnastym wieku nie znano lodówek. Ponieważ nie można było zamrażać żywności, mięso przechowywało się jedynie przez krótki czas. Ale mięso nie było towarem łatwym do zdobycia, tak więc trzeba było je zjadać, nawet wtedy, kiedy już śmierdziało. Stąd też właśnie, takie szlachetne przedsięwzięcie, ku chwale połączonych królestw Kastylii i Aragonii, jak zorganizowanie zabezpieczenia finansowego dla szalonego pasjonata, który mógłby przywieźć tańsze przyprawy i tym samym uczynić konsumpcję lekko nadpsutego mięsa, mniej nieprzyjemną. Oto dlaczego Kolumb otrzymał trzy statki i załogi dla nich, złożone więziennych ptaszków, od rządu, ciągle jeszcze zajętego próbami przepędzenia Maurów, z ostatnich zakątków Hiszpanii.

Stanowiło to precedens dla sprawy rozważanej obecnie. Cochrane akurat znał szczegóły odnośnie Kolumba, ponieważ przeglądał je podczas swoich badań, kiedy robił show na jego temat, w ramach Godziny z Dikkipatti. W tym materiale znaleźć można było zresztą jeszcze inne precedensy. Skomplikowane negocjacje, w wyniku których Kolumb został uczyniony Wielkim Admiralem Zachodnich Oceanów, z udziałem we wszystkich dochodach, otrzymywanych z drogi, którą miał odkryć -- musiał domagać się takich warunków, aby kot w worku, którego sprzedawał, wyglądał bardziej atrakcyjnie. Nikt nie chce kupić czegoś, co jest zbyt nisko wycenione. Wygląda to bowiem na oszustwo. Tak więc fakt, że Cochrane uczynił stawiane warunki wstępne, znacznie bardziej imponującymi niż potrzebowali, spowodowany był czysto praktycznymi względami, w celu większego uwiarygodnienia całego przedsięwzięcia, z finansowego punktu widzenia.

Był też jeszcze kolejny precedens, za którym jednak nie miał zamiaru podążać. Kolumb, stawiając żagle, nie wiedział dokąd płynie, nie wiedział również gdzie jest, na końcu swojej podróży, ani nie wiedział gdzie był, kiedy wrócił do domu. Cochrane oczekiwał, że pod tym względem uda się poprawić osiągnięcia dawnych odkrywców.

Zmobilizował dział prawny Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe, do formalnego zorganizowania całego przedsięwzięcia ze ścisłym zachowaniem przepisów prawa i w pełnej dyskrekcji. Została powołana do życia korporacja o nazwie „Spaceways, Inc.”, która mogła się oprzeć każdemu możliwemu badaniu jej statutu i dokumentów założycielskich. Doradcy prawni najwyższej klasy zorganizowali to tak, że faktyczni akcjonariusze, powinni okazać się niemożliwi do wyśledzenia. Zręczna manipulacja powodowała, że chociaż jej akcje prawnie zostały powierzone

Cochrane'owi, Holdenowi i Jonesowi -- Cochrane przy okazji wkręcił Jonesa, jako wygodne nazwisko do użycia -- i byli oni oficjalnie posiadaczami niemal wszystkich udziałów, to nikt kto by to sprawdzał nie uwierzyłby, że są oni kimś innym niż tylko podstawionymi słupami. Udziały na nazwiska Westa, Jamisona i Bella, wyglądały jak mniejsze pakiety akcji kogoś innego, niż główni przedsiębiorcy. Ale ci wszyscy akcjonariusze, nie byli tylko prawnymi posiadaczami zgodnie z rejestrem -- byli prawdziwymi właścicielami. Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe nie zażądali żadnej części Spaceways. Traktowali to przedsiębiorstwo tylko jako kurację psychiatryczną dla neurotycznego zięcia. Co, oczywiście, było prawdą. Tak więc Spaceways, Inc., zupełnie uczciwie i zgodnie z prawem, należało do ludzi, którzy mieli leczyć Dabneya z jego frustracji -- i nikt absolutnie nie wierzył, że może tutaj jeszcze chodzić o cokolwiek innego. W każdym razie, nikt poza tą szóstką posiadaczy. A jak się okazało, nawet nie wszyscy z nich.

Kuracja psychiatryczna rozpoczęła się wraz z niewinnie wyglądającą pozycją serwisów informacyjnych z Lunar City, głoszącą, że Dabney, taki to a taki naukowiec, zgodził się służyć Spaceways, Inc., jako konsultant w zakresie fizyki, w celu praktycznego zastosowania swojego niedawnego odkrycia, dotyczącego metody przesyłania wiadomości z prędkościami nadświatłymi.

Był to dobry news, po prostu dlatego, że pochodził z Księżyca. Był całkiem szeroko dystrybuowany, ale nie odniósł żadnego większego wpływu.

Potem rozpoczęła się kampania reklamowa. Na polecenie Cochrane'a, geniusz ekstrapolacji Jamison, lekko sobie podpiał w towarzystwie dwóch reporterów z agencji informacyjnej z Lunar City. Zwierzył im się w zaufaniu, że firma Spaceways, Inc. została zorganizowana i jest finansowana, w celu rozwinięcia szybszego niż światło pola telekomunikacyjnego Dabneya, w pole przeznaczone dla szybszych niż światło podróży kosmicznych. Ludzie z agencji, wyciągnęli z niego komplet jego ekstrapolacji. Cynicznie, sprawdzili wszystko, czy ktoś nie przygotowuje się może do podbicia ceny akcji. Nie znaleźli żadnych śladów przygotowań do sprzedaży udziałów. Nie było zarejestrowanego żadnego wystąpienia firmy, dotyczącego podniesienia kapitału. Nie chodziło tu więc o działania promocyjne w celu zdobycia pieniędzy. Nikt nic nie miał zamiaru sprzedawać. Potem Cochrane w ogóle odmówił spotkań z jakimikolwiek reporterami, wszyscy związani z przedsiębiorstwem zamknęli się jak żółwie w skorupach, a Jamison zniknął w swoim pokoju hotelowym, gdzie siedział racząc się napitkami i jedzeniem, na koszt teścia Dabneya. Nic z tego nie należało normalnych chwytów, przy lewych interesach promocyjnych.

Cały news więc eksplodował. Na przepelnionej planecie, która straciła już ostatnie nadzieje na ulgę, po tym jak po pięćdziesięciu latach podczas których skolonizowany został tylko Księżyc -- a kolonia ta miała populację liczoną zaledwie w setki -- wypuszczono ideę podróży szybszych niż światło, uważanych za niemożliwe do realizacji marzenie, w które wszyscy chcieli uwierzyć. Cała historia rozeszła się w sposób, który można określić

jedynie jako reakcję łańcuchową. A Dabney, oczywiście -- jako naukowiec odpowiedzialny za pojawienie się tej nowej nadziei -- stał się człowiekiem znanym wszystkim.

Eksperci z Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe kontrolowali rozgłos uzyskany przez Dabneya. Ścisłe wyliczenia księgowe w agencji reklamowej ustaliły, że już do tej chwili koszt na wzmiankę o kliencie, dla Dabneya i jego odkrycia, były najniższe w całej historii reklamy. Badania pokazały, że w czasie ostatnich trzech dni, mniej niż 3.5 na każde sto badanych wywiadów, kompletnie nie dotyczyło Dabneya i widoków na loty do gwiazd, dzięki jego odkryciu. Więcej ludzi znało nazwisko Dabneya, niż znało nazwisko prezydenta Stanów Zjednoczonych!

To był tylko początek. Czołowe show popularno-naukowe, podskoczyło o osiem punktów w ocenach widowni. Prawdę mówiąc, kiedy przydzieliło ono regularny pięciominutowy odcinek czasu Polu Dabneya i stwarzanym przez nie możliwościom, w języku zrozumiałym dla zwykłych ludzi, osiągnęło ono ocenę z pierwszej dwudziestki. Szóstego dnia po zaplanowanej niedyskrecji Jamisona, świadomość ludzi była dosłownie nasycona ideą transportu szybszego niż światło. Dabney był wspominany w każdym wywiadzie, każdej ważnej persony, odnosiło się do niego każde show komediowe (wymyślone zostały trzy oddzielne dowcipy, które zostały rozwinięte w tysiąc osiemset wariantów, większość z nich jedynie niedostrzegalnie różniących się od oryginalnej trójcy), i nawet Marilyn Waters -- Sama Mała Afrodyta -- dopominała się kawałka na temat podróży nadświatlnych w swoim następnym show telewizyjnym.

Siódmego dnia Bill Holden wszedł do biura, w którym gorączkowo pracował Cochrane.

- Doktorze Cochrane - powiedział Holden - chciałbym zamienić kilka słów.

- Doktorze? - spytał go Cochrane.

- Doktorze! - powtórzył Holden. - Właśnie rozmawiałem z moim pacjentem. Dobry jesteś. Mój pacjent jest wyleczony.

Cochrane uniósł brwi.

- Jest sławny - ponuro stwierdził Holden. - Uważa teraz, że każdy na świecie wie, że jest wielkim naukowcem. Jest doceniany. Cały szczęśliwy, snuje plany, żeby wrócić na Ziemię, przemówić w kilku towarzystwach naukowych, i pozwolić aby ludzie go podziwiali. Teraz może spędzić resztę życia jako człowiek, który odkrył zasadę na podstawie której pewnego dnia będzie można osiągnąć podróże szybsze niż światło. Nawet kiedy ta furora wygaśnie, nadal pozostanie wielkim człowiekiem -- a przede wszystkim stanie się wielkim człowiekiem, w swoich własnych oczach. Krótko mówiąc, jest wyleczony.

Cochrane uśmiechnął się.

- A więc, zostałem wylany?

- My zostaliśmy - poprawił go Holden. - Jed, nawet my psychiatrzy mamy swoją etykę zawodową. Muszę przyznać, że facet jest teraz trwale przystosowany do naszej rzeczywistości. Został uznany za wielkiego naukowca. Nie jest już więc sfrustrowany.

Cochrane odchylił się do tyłu w swoim krześle.

- To może być dobre jako etyka medyczna - zauważył, - ale to kiepska praktyka biznesowa, Bill. Powiedziałeś, że on teraz jest przystosowany do rzeczywistości. Oznacza to, że jego reakcje na cokolwiek, co mogłoby mu się przydarzyć, obecnie powinny być akceptowalne społecznie.

Holden skinął potwierdzająco głową.

- W przypadku dobrze przystosowanej doby, rzeczywiście powinny. Dabney jest jednak tą samą osobą, co przedtem. Jest tym samym głupcem. Ale może poprawnie funkcjonować w otoczeniu innych. Psychiatra nie może zmienić osobowości pacjenta! Wszystko co może zrobić, to uczynić go przystosowanym do świata mniej więcej tak dobrze, aby facet nie musiał siedzieć zapakowany w kaftan bezpieczeństwa. W tym sensie, Dabney jest przystosowany.

- Wykręciłeś mu brudną sztuczkę - odparł Cochrane. - Ustabilizowałeś go, i to jest największy kant, jaki można komuś wykręcić! Wsadziłeś go do czegoś, w rodzaju moralnej zamrażarki. To po prostu najzwyklejsze świństwo, Bill!

- Spójrzcie tylko, kto to mówi - bronił się Holden ze zmęczeniem. - Nie powiesz mi chyba, że biznes reklamowy jest altruistyczny i bezinteresowny?

- Do diabła, nie! - z oburzeniem powiedział Cochrane. - Służymy użytecznym celom! Mówimy ludziom, że źle pachną, i w ten sposób dajemy im alibi dla niechęci, którą wytworzyła ich własna głupota. Ale potem mówimy im, żeby użyli tego to a tego odświeżacza oddechu, albo jakiegoś tam nieuczulającego dezodorantu i natychmiast stają się duszami każdego przyjęcia, w jakim biorą udział! To jest kłamstwo, oczywiście, ale to jest kłamstwo dynamiczne! Daje takiej sfrustrowanej osobowości, coś do zrobienia! Sprzedaje mu nadzieję, a co za tym idzie wymusza na nim aktywność -- a brak aktywności, to coś zbliżonego do śmierci!

Holden popatrzył na Cochrane'a z posępnym zniechęceniem.

- Ty na pewno jesteś przystosowany, Jed! Ale czy ty naprawdę wierzysz a te rzeczy?

Cochrane ponownie się uśmiechnął.

- Tylko we wtorki i piątki. Czyli to jest prawda, w około dwóch siódmych. Ale w tym naprawdę jest właśnie tyle prawdy! Jeszcze nikt nigdy nie zrobił niczego, kiedy dawał społeczne akceptowalne odpowiedzi, na rzeczy które mu się przytrafiały! Weźmy choćby samego Dabneya! Wydarzyło się cholernie dużo rzeczy, tylko dlatego, że on nie potrafił znaleźć społecznie akceptowalnych odpowiedzi, na posiadanie bogatej żony i brak mózgu. Zbuntował się więc. I tak ludzkość rozpoczęła marsz ku gwiazdom!

- Ciągłe jeszcze w to wierzysz?

Cochrane wykrzywił usta w grymasie.

- Wczoraj rano, wypruwałem sobie żyły w skafandrze kosmicznym, tam w kraterze, za laboratorium Jonesa. Wypróbowywał swoją sztuczkę. Po drugiej stronie krateru, zamontował wcześniej małą rakietę sygnałową -- w odległości dwudziestu paru mil. Stała ona przed płytą, wytwarzającą pole Dabneya, ponad całym kraterem, do innej płyty znajdującej się blisko

nas. Jones włączył pole. Odpalił rakietę, przy pomocy zdalnego sterowania. Ja obserwowałem ją przez teleskop. Wydałem mu polecenie odpalenia... Jak myślisz, ile czasu zajął rakiecie przelot przez krater, w tym działającym jak rura polu? Walnęła prosto w płytę stojącą koło laboratorium!

Holden pokręcił przecząco głową.

– To trwało nieco... – powiedział Cochrane, – nieco poniżej trzech piątych sekundy.

Holden zamrugał oczyma. Cochrane mówił dalej:

– Rakietą sygnałowa ma przyśpieszenie rzędu sześciu stóp na sekundę, w poziomym locie, przy braku komponentu grawitacyjnego, tylko przyśpieszenie samej masy rakiety. Powinno to wszystko zająć sto sekund plus czas na przesłanie sygnału przez ten krater -- ponad dwadzieścia mil. Nie powinna utrzymać się na kursie. Pozostała jednak idealnie na kursie, wewnątrz pola. Pokonanie trasy zajęło trzy piąte sekundy. To urządzenie działa!

Holden złapał głęboki oddech.

– A więc teraz potrzebujesz więcej pieniędzy i chcesz, abym nie zwalniał mojego pacjenta jako wyleczonego.

– Wcale nie o to mi chodzi! – warknął Cochrane. – Ja nie chcę, aby on był pacjentem! Ja chcę, aby traktować go tylko jak klienta! Ponieważ pożył sławy, więc sprzedałem mu ją. Nie jako coś, co miało podeprzeć jego słabą psychikę, ale jako coś, w czym mógł się zanurzyć i wytarzać! Czy myślisz, czy jakakolwiek zdobyta sława mogłaby być za duża dla jego rozdętej satysfakcji?

– Oczywiście, że nie – odparł Holden. – Ciągłe jest tym samym głupcem.

– A więc, rozmawiamy o biznesie, a nie o leczeniu – wytknął mu Cochrane. – Nie to, żebym był uwiązany do niego i nie mógł pójść, handlować moim towarem gdzie indziej. Mam zamiar to zrobić! Ale chcę mu dać promocję dla stałego klienta. Chcę, żeby dzisiejszego popołudnia znalazł się na testach torpedy-alarmowej. Będą miały charakter publiczny.

– Dzisiejszego popołudnia? – spytał Holden. – Torpeda-alarmowa?

Dzień księżycowy ma długość dwóch ziemskich tygodni. Noc księżycowa, ciągnie się równie długo. Cochrane z niecierpliwością stwierdził:

– Wstałem z łóżka cztery godziny temu. To było dla mnie rano. Za godzinę będę jadł lunch. To będzie południe. Powiedzmy za trzy godziny od teraz, jakakolwiek by to nie była godzina czasu księżycowego.

Holden popatrzył na zegarek i szybko policzył w głowie. Powiedział:

– To będzie wpół do godziny dwieście czwartej, jeżeli cię to interesuje. Ale co to jest ta torpeda alarmowa?

– A kysz! – przegonił go Cochrane. – Przyślę Babs, żeby was znalazła i załadowała do łazika. Wtedy się dowiesz. Teraz, jestem zajęty!

Holden wzruszył ramionami i wyszedł, a Cochrane spojrział na swój własny zegarek. Ponieważ księżycowy dzień i noc razem, odpowiadają dwudziestu ośmiu dniom czasu ziemskiego, ściśle licząc księżycowy „dzień” ma niemal trzysta cztery godziny ziemskie. Nazwanie jednej

dwunastej tego okresu godziną, byłoby czystym sentymentem. Określenie każdego dwudziestu czterech ziemskich godzin dniem, byłoby absurdem. Tak więc rzeczywisty okres obrotu Księżyca został podzielony na odcinki czasu, do których wszyscy byli przyzwyczajeni, i tablica informacyjna hallu hotelu w Lunar City, powiadamiała wszystkich zainteresowanych o tym, że „Niedziela będzie od godziny 143 do godziny 167 przed południem.” Tego samego dnia będzie jeszcze jedna niedziela, przypadająca podczas księżycowego popołudnia.

Cochrane zastanawiał się przez chwilę, czy ta informacja nie mogłaby zostać jakoś wykorzystana, w trakcie kampanii reklamowej Spaceways, Inc. Ściślej mówiąc, mieli oni pewne niewielkie zobowiązania, aby dorzucić jeszcze trochę sławy Dabneyowi, ponieważ korporacja została utworzona jako narzędzie public relations. Wszystkie inne jej cele, takie jak na przykład zmiana historii ludzkiej rasy, miały z technicznego punktu widzenia, czysto przypadkowy charakter. Ale Cochrane odłożył swój zegarek na bok. Gadanina o godzinologii ma Księżycu, nie doda nic do dętego autorytetu Dabneya, jako naukowca. To nie miało znaczenia.

Wrócił do spraw, którymi zajmował się wcześniej. Jakies dwa lata temu, istniała już pewna lewa korporacja, zorganizowana wyłącznie dla osiągnięcia zysków przez osoby ją promujące. Ostentacyjnie budowała statek rakietowy, rzekomo w celu utworzenia kolonii na Marsie. Statek ledwie zdołał dokuścić do Luny, ale ani kroku dalej. Promotorzy przedsięwzięcia sprzedali akcje na podstawie obietnicy, że statek, który ledwie zdołał dolecieć do Księżyca, będzie mógł wystartować z tego małego globu, zabierając ze sobą sześć razy więcej paliwa, niż był w stanie wynieść z Ziemi. Co zresztą było absolutną prawdą. Inwestorzy włożyli swoje pieniądze, na podstawie tego łatwego do weryfikacji faktu. Ale, oczywiście, prawda okazała się następująca: żadna ilość paliwa, jaką był w stanie zabrać ten statek, nie wystarczała do nadania mu takiego przyśpieszenia, aby mógł dolecieć na Marsa w trakcie życia ludzkiego -- tak ciężko był wyładowany. Start z Księżyca, rozwiązywał tylko problem siły ciężkości. Nie zmieniał niczego, jeżeli chodzi o inercję. Tak więc statek nigdy nie wystartował ze swojego lądowiska, w pobliżu Lunar City. Korporacja, która go zbudowała, zakończyła życie bardzo zyskownym bankructwem.

Cochrane gorączkowo pracował nad tym, aby się dowiedzieć, kto obecnie jest właścicielem tego statku. Tuż przed wspomnianym przez niego wcześniej testem torpedy, stwierdził że statek należał do urzędnika z hotelowej recepcji, który kupił go w nadziei wynajęcia go wcześniej czy później, ekipom filmującym tła do filmów telewizyjnych, w przypadku gdyby znalazł się ktoś na tyle szalony, aby nakręcić film na temat Księżyca. Do dzisiejszego dnia, mocno się już zniechęcił. Cochrane wycarterował statek, wystawiając zobowiązanie, że zwróci go w nieuszkodzonym stanie. Gdyby uległ on zniszczeniu, urzędnik miał otrzymać z powrotem kwotę swojej inwestycji -- mniej więcej tygodniową płacę.

Tak więc, kiedy nadeszła chwila publicznej demonstracji pola Dabneya, o godzinie wpół do 204, Cochrane miał statek kosmiczny, praktycznie już w kieszeni.

Miejsce demonstracji stanowił leżący w cieniu, kompletnie czarny fragment dna krateru, o średnicy dwudziestu mil i ścianach sterczących w górę na wysokość nieco ponad dziesięciu tysięcy stóp. Gorące jak piec promienie słoneczne, zamieniały równinę poza cieniem w morze oślepiającej jasności. Oświetlone przez Słońce części ścian krateru, lśniły nie mniej jaskrawo. Ale tuż ponad krawędzią skalnych ścian, zaczynały świecić gwiazdy, nieskończenie małe i różnokolorowe, o niezliczenie różnorodnej sile jasności. Pośrodku nieba wisiała Ziemia, jak wielkie zielone jabłko, monstrualnych rozmiarów. Postaci, które kręciły się po miejscu przygotowywanego testu, widoczne były dużo słabiej w świetle odbitym od podłoża z zastygłej lawy, ponieważ oczy ludzi dostosowywały się do jaskrawo białego pyłu księżycowego na równinie oraz w górach.

Na miejscu nie było zresztą zbyt wielu ludzi. W półcieniu, poza bezpośrednim dostępem palących promieni słońca, czekały trzy łaziki. Aby obserwować i przeprowadzić test pola Dabneya, przybyło tutaj nie więcej niż tuzin osób w skafandrach księżycowych. Aby Dabney otrzymał sławę, za którą zapłacił, Cochrane skrupulatnie zredagował wszystkie informacje zapowiadające eksperyment. Wśród obecnych byli więc, członkowie wyprawy z Ziemi -- Cochrane, Babs i Holden, dwaj oswojeni naukowcy i pisarz Bell -- oraz dwóch jedynych reporterów obecnych na Księżycu. Tylko syndykaty informacyjne mogły sobie pozwolić na wydatki, niezbędne do utrzymania pracowników polowych w Lunar City. No i, oczywiście, na miejscu testu byli również Jones i Dabney, plus dwie osoby, ewidentnie zabrane przez Dabneya.

Na samym Księżycu, oczywiście nie było dźwięku. Nie było powietrza, które mogłoby go przenosić. Ale ze wszystkich plastikowych hełmów sterczały prosto w górę sześciocalowe anteny, a mikrofalowe komunikatory, generowały w słuchawkach każdego ze skafandrów, kakofonię lekko metalicznych dźwięków.

Kiedy tylko Cochrane wyszedł ze służby łazika i został rozpoznany przez innych, Dabney zawołał w jego stronę z poruszeniem:

– Panie Cochrane! Panie Cochrane! Muszę natychmiast coś z panem przedyskutować! To sprawa najwyższego znaczenia! Czy mógłby pan wejść do laboratorium?

Cochrane pomógł zejść Babs na ziemię i ruszył do służby powietrznej, przytulonej do skalnej ściany kupy pyłu. Wszedł do środka, z dwoma innymi odzianymi w skafandry kosmiczne postaciami, które odłączyły się od reszty, i ruszyły jego śladem. Kiedy znaleźli się w środku śmierdzącego, zawalonego różnymi rzeczami laboratorium, Dabney otworzył płytę czołową swojego hełmu, i zaczął coś mówić, zanim jeszcze Cochrane był gotowy, by móc go usłyszeć. Towarzysz Dabneya promieniał wręcz przyjaźnią.

– ... i dlatego, panie Cochrane – mówił poruszony Dabney, – nalegam na podjęcie środków, mających chronić moją reputację naukową! Jeżeli ten test się nie uda, będzie to działało przeciwko akceptacji mojego

odkrycia! Ostrzegam pana -- i mam na świadka obecnego tutaj, mojego przyjaciela, pana Simmsa -- że ja nie jestem w żaden sposób odpowiedzialny za działanie aparatu skonstruowanego przez mojego podwładnego, który nie ogarnia w pełni teorii mojego odkrycia! Nie będę zamieszany...

Cochrane skinął głową. Oczywiście, to Dabney nie rozumiał teorii pola, do którego kupił prawa autorskie. Ale nie było sensu teraz tego wyciągać. Johnny Simms promieniał do nich obydwu. To on był tym pływakiem, którego Babs pokazała mu na basenie. Jego twarz była zupełnie pozbawiona zmarszczek i pogodna, jak twarz studenta pierwszego roku college'u. Niczym się nie przejmował i o nic nie martwił. Przysłuchiwał się niezbyt uważnie, z pogodnym zainteresowaniem.

– Jak rozumiem – powiedział Cochrane, – nie obchodzi pana wykonywany tutaj test, dopóki nie będzie pan musiał ponosić odpowiedzialności za jego ewentualną porażkę... i dopóki uzyskuje pan zasługi związane z sukcesem, jeżeli zakończy się on powodzeniem. Czy o to właśnie panu chodzi?

– Jeżeli zakończy się niepowodzeniem, to ja nie jestem za to odpowiedzialny! – nalegał natarczywie Dabney. – Jeżeli uda się, to dzięki mojemu odkryciu.

Cochrane lekko westchnął. To był marny koncept, ale do tej pory Dabney zdążył już przekonać sam siebie, że jest geniuszem, i chciał żeby ludzie również w to uwierzyli.

– Przed testem – łagodnie zaproponował Cochrane, – wygłosi pan mowę. Zostanie ona nagrana. Wyrzeknie się pan autorstwa tych głupich i wulgarnych detali mechanicznych oraz położy nacisk na to, że jest pan jak Einstein, zajmujący się tylko fizyką teoretyczną. Że naturalnie jest pan zainteresowany próbami wykorzystania swojego odkrycia, ale pańska obecność tutaj, jest wyłącznie wynikiem pańskiego zainteresowania, a nie pańskiej odpowiedzialności.

– Będę musiał to przemyśleć... – nerwowo rozpoczął Dabney.

– Będzie mógł pan powiedzieć – obiecał Cochrane, – że jeżeli to nie będzie działać, sprawdzi pan co zrobił Jones, i powie mu pan dlaczego.

– T... tak – z wahaniem odparł Dabney. – Mógłbym to zrobić. Ale najpierw muszę to sobie przemyśleć. Będziecie musieli panowie opóźnić...

– Gdybym był na pana miejscu – konfidenicznym tonem oznajmił mu Cochrane, – to zająłbym się planowaniem szczegółów tego przemówienia, ponieważ test rozpoczyna się za pięć minut.

Zamknął płytę czołową swojego hełmu, ponieważ Dabney zaczął protestować. Wszedł do służby. Dobrze wiedział co ma robić i nie miał zamiaru niczego wstrzymywać, w oczekiwaniu na to aż jakiś neurotyk w końcu podejmie decyzję. Teraz, Dabney miał już wszystko to, czego pragnął. Od tej chwili, szaleńczo będzie się bał, aby tego nie stracić. Ale poza laboratorium, nie będzie mógł dyskutować. W próżni, wszystko, co zostanie powiedziane przez walkie-talkie, będzie słyszane przez każdego z obecnych.

Kiedy Dabney i Simms wyszli za nim przez służbę, Cochrane pomagał Jonesowi ustawić urządzenie, które przygotowali do przeprowadzenia

próby. Tak prawdę mówiąc, były to dwa urządzenia. Jednym z nich, był bardzo płaski stożek, jak chiński kapelusz i niewiele od niego większy, z przymocowanym czymś podobnym do pakietów zasilających, złożonych z uzwojeń i baterii. Drugim, była alarmowa rakietka sygnałowa używana na statkach kosmicznych, zbudowana tak, by utworzyć w przestrzeni kosmicznej smugę czerwonego ognia, o długości dwudziestu mil. Nikt jeszcze nie wymyślił, do czego taki sygnał alarmowy mógłby się przydać, w lotach między Ziemią a Księżycem, ale sama idea posiadania czegoś takiego, była uspokajająca. Rakietka miała cztery stopy długości i sześć cali średnicy. Na jej dziobie znajdował się drugi chiński kapelusz, z kolejnymi uzwojeniami i bateriami.

Jones ustawił pierwszy stożek na ziemi i obłożył dookoła kamieniami, aby go dobrze ustabilizować. Jego ruchy były niemal śmiesznie zaplanowane i uważne. Kiedy pochylał się, robił to powoli, inaczej siła ruchu oderwałaby mu nogi od gruntu. Prostując się, również robił to bardzo wolno, aby skierowany ku górze impet jego tułowia, nie wyrzucił go tak, że straciłby kontakt z twardą ziemią. Ale umocował leżący stożek bardzo uważnie.

Na tym stożku ustawił raketę alarmową. Cała konstrukcja miała ponad sześć stóp wysokości, a stożki chińskich kapeluszy miały nie więcej niż osiemnaście cali średnicy. Potem stanowczo oznajmił:

– Jestem w pełni gotowy.

Ręka jednej z ubranych w skafandry kosmiczne postaci, uniosła się do góry, prosząc o uwagę. Ze słuchawek każdego hełmu dobiegł zatroskany głos Dabneya:

– Chciałbym, aby wszyscy dobrze to zrozumieli – powiedział ze słyszalnym podenerwowaniem w głosie, – że ta pierwsza próba zastosowania w praktyce mojego odkrycia, dokonuje się za moją zgodą, ale ja nie znam szczegółów mechanicznych badanego urządzenia. Moim obszarem pracy jako naukowca, była i jest czysta nauka. Pracowałem dla rozwoju wiedzy ludzkości, ale technologiczne zastosowania mojego odkrycia, nie należą do mnie. Pomimo wszystko... jeżeli urządzenie to nie będzie działało, poświęcę nieco czasu przeznaczonego na moje bardziej istotne badania, aby dowiedzieć się, która z części mojego odkrycia, została niewłaściwie zrozumiana i zastosowana. Być może dzisiejsza technologia, nie jest jeszcze dostatecznie rozwinięta, dla zastosowania mojego odkrycia...

Jones poparł go bez cienia emocji w głosie... ale Cochrane mógł sobie wyobrazić pokerowy wyraz jego twarzy, wewnątrz hełmu.

– To prawda. Konsultowałem się z panem Dabneyem, co do zasad, ale sama maszyna jest moim dziełem. Biorę na siebie odpowiedzialność za jej działanie!

Potem Cochrane dodał, z łagodną ironią:

– Ponieważ wszystko zostało zarejestrowane, pan Dabney będzie później mógł ewentualnie rozszerzyć swoją wypowiedź na temat braku zainteresowania eksperymentem. Teraz zaś, chyba możemy już zaczynać. Pan Dabney wypiera się nas, chyba że test zakończy się sukcesem. Niech

więc tak będzie. – Potem powiedział: – Czy obserwatorium gotowe jest do rozpoczęcia śledzenia?

Odpowiedział mu, wyraźnie znudzony, stłumiony głos, przekazywany przez krótkofalówkę, z umieszczonego na górze, na krawędzi wulkanu obserwatorium astronomicznego.

– *Jesteśmy gotowi. Zapis wizualny i głosowy włączone. Ustawiliśmy stopery do pomiaru czasów sygnałów autonamiernika, kiedy zaczną do nas dochodzić.*

Głos nie był specjalnie entuzjastyczny. Cochrane musiał wyłożyć swoje własne pieniądze, aby obserwatorium na bliższej stronie Księżyca użyło niewielkiej mocy teleskopu, do obserwacji lotu rakiety. Teoretycznie, ta rakiet alarmowa powinna wytworzyć dwudziestomilową smugę, stosunkowo wolno płonących czerwonych iskieł. Mały autonamiernik znajdujący się w dziobie rakiety został ustawiony, na wysyłanie w dziesięciosekundowych odstępach sygnałów mikrofalowych. Sądząc z pozorów, wyglądało to na raczej bezsensowną robotę.

– Zaczynamy – powiedział Cochrane.

Zauważył z zaskoczeniem, że nagle zrobiło mu się sucho w ustach. Ta cała sprawa w ogóle nie miała sensu. Producent programów telewizyjnych nie jest właściwą osobą, aby zajmować się odkrywaniem, w złożonym naukowym projekcie, sposobu dotarcia do gwiazd. Neurotyczny zięć magnata reklamowego, nie powinien być instrumentem stosowanym do osiągnięcia tego celu. Psychiatra nie powinien być środkiem, który połączył Jonesa – fizyka o bardzo podrzędnej pozycji, pozbawionego pieniędzy – Cochrane’a, oraz te wszystkie rzeczy, które Cochrane przygotował w dalszej kolejności, jeżeli tylko to niezbyt wiarygodnie wyglądające urządzenie będzie działać poprawnie.

– Jones – z pewną trudnością powiedział Cochrane, – pójdźmy za pewną starodawną tradycją. Niech Babs ochrzci to całe przedsięwzięcie, naciskając przełącznik.

Jones pokazał jej ręką miejsce w cieniu ściany krateru, i Babs ruszyła w kierunku przełącznika. Odliczyła z zaangażowaniem:

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

Potem nacisnęła przełącznik. Buchnęła struga straszliwego, czerwonego ognia.

Rakiet znikła.

Dosłownie znikła. Nie było widać, żeby leciała w górę. Po prostu znikła z miejsca w którym była wcześniej, z gwałtownością znikającego światła. Zobaczyli tylko burzę najwspanialszego, jaki można było sobie wyobrazić, karminowego ognia. To światło pozostało. Ale rakiet nie tyle wystartowała w górę, ile znikła.

Cochrane poderwał ostro głowę do góry. Znajdował się blisko linii toru wyznaczanego przez wznoszącą się raketę. Widział ślad złożony z czerwonych iskieł, ciągnący się w górę, jak okiem sięgnąć. Była to niesamowicie rzadka linia. Poszczególne składające się na nią plamki purpurowego światła, ciągnęły się na sporą odległość w przestrzeń kosmiczną. Znajdowały się tak daleko jedna od drugiej, że wysłana rakiet

sygnałowa byłaby kompletną porażką, jako urządzenie mające utworzyć pasmo, widocznego z daleka światła.

Stłumiony głos w słuchawkach hełmu oznajmił z zaskoczeniem:

– *Hej! Co wy zrobiliście z tą rakieta?*

Inni nawet nie drgnęli. Stali jakby zupełnie porażeni. Zniknięcie rakiety, nie był to sposób w jaki powinna ona działać. Zgodnie ze wszystkimi oczekiwaniami, powinna wznieść się w niebo, z rozsądną prędkością, chociaż startując z powierzchni Księżyca, przyśpieszałyby nieco szybciej, niż gdyby robiła to na Ziemi. Ale mimo wszystko powinna być widoczna przez cały czas jej lotu. Powinna zostawić za sobą ślad w postaci grubej czerwonej linii. Zamiast tego, czerwone isierki były bardzo rozproszone -- ślad był tak rozmyty, że widać było go tylko z miejsca położonego w pobliżu jego podstawy. Głos z obserwatorium donosił, z jeszcze większym zaskoczeniem:

– *Hej! Znalazłem ślad! Nie widzę go w pobliżu, ale wydaje się rozpoczynać, bardzo rozproszony, mniej więcej na wysokości pięćdziesięciu pięciu mil i stamtąd dopiero idzie dalej! Ta rakietka nie powinna przecież przelecieć więcej niż dwadzieścia mil! Co się stało?*

– Proszę uważać na sygnały mikrofalowe! – odezwał się w słuchawkach Cochrane’a głos Jonesa.

Głos z obserwatorium nagle zaczął piszczeć. To nie był jeden z astronomów o wysokiej pozycji, ale człowiek z zespołu mechaników, który zgodził się dla pieniędzy, na tak nierozsądną dodatkową robotę.

– *Mam tu punkt na ekranie! To kompletne wariactwo! Nic nie może lecieć tak szybko!*

Potem w słuchawkach usłyszeli przekazywany sygnał autonamiernika rakiety. Dźwięk sygnału podobny był do brzmienia pulsów radarowych, rozpoczynając się od niskiego tonu i w ciągu jednej dziesiątej sekundy, podnosząc się o trzy oktawy. W środkowym C -- środku zakresu dźwięków fortepianu -- następował chwilowy wzrost głośności. Potem w przekazywanym sygnale, ta głośniejsza chwila opadała o cztery tony. Cochrane spytał rzeczowym tonem:

– Jones, jaka to może być prędkość?

– Zaraz wezmę suwak, żeby to policzyć – odparł głos Jonesa, bardzo spokojnym tonem, – ale ona leci szybciej, niż cokolwiek, kiedykolwiek wcześniej.

Cochrane czekał na następne bipnięcie. Nie nadchodziło przez ponad dziesięć sekund. Spokojnie było to nawet piętnaście. Nawet on mógł się domyślić, co to oznaczało! Źródło sygnału, które rozciągało odcinek dziesięciu sekund u źródła do piętnastu w miejscu odbioru...

Głos z obserwatorium załkał:

– To szaleństwo! Ona nie może przecież tak lecieć!

Czekali dalej. Kolejnych piętnaście sekund. Szesnaście. Osiemnaście. Dwadzieścia. Zabrzmiało bipnięcie. Strumień dźwięku opadł o kolejną oktawę. Rakietka sygnałowa, normalnie lecąc, mogła rozwinąć maksymalną prędkość rzędu mniej więcej dwóch tysięcy stóp na sekundę. Teraz zaś poruszała się z szybkością stanowiącą znaczny ułamek prędkości światła. Co było absolutnie niemożliwe. Tyle że ewidentnie okazało się prawdziwe.

Usłyszeli sygnał jeszcze raz. Multireceptorowy odbiornik w obserwatorium zbliżał się do granicy maksymalnie możliwego wzmocnienia. Sygnał był rozróżnialny, ale naprawdę bardzo słaby. A rakietę leciała wtedy -- jak to później zostało wyliczone -- z szybkością siedmiu ósmych prędkości światła. Pomiędzy płaskim stożkiem na dziobie torpedy alarmowej i płaskim stożkiem znajdującym się na ziemi, utrzymywało się pole siły. Pole wytwarzało się nie na tylnej powierzchni stożka torpedy, ale przed jego powierzchnią czołową. Stamtąd rozciągało się w tył, do powierzchni Księżyca, tak że cała torpeda i jej silniki znajdowały się w kolumnie zmodyfikowanej przestrzeni. A moc ciągu rakietowego, która zanim skończy się paliwo, powinna przenieść czterostopową torpedę, na odległość może dwudziestu mil, w rzeczywistości wydłużyła jej lot do ponad trzech tysięcy siedmiuset mil, zanim czerwone iskierki stały się za bardzo rozproszone, aby można je dalej śledzić. Nadała przy tym torpedzie, do tego czasu, szybkość nieprawdopodobnie bliską prędkości światła.

W pewnym sensie, pole Dabneya, miało skutek podobny do wynalezienia szyn i torów. Taka sama siła koni, mogła po torach poruszać dużo większy ładunek i dużo szybciej, niż byłyby one w stanie uciągnąć w koleinach piaszczystej drogi. Podobnie, taki sam ciąg rakiet, mógł poruszać większą wagę, szybciej, w polu Dabneya niż w normalnej przestrzeni. Istnieje pewne praktyczne ograniczenie prędkości, z jaką wóz może być ciągnięty po prymitywnej drodze. Prędkość światła była ograniczeniem szybkości materii w normalnej przestrzeni. Ale po torach, praktyczna szybkość z jaką może podróżować pojazd, wzrasta z trzech mil na godzinę, do stu dwudziestu. Jakie ograniczenie szybkości może obowiązywać w polu Dabneya, należało dopiero odkryć. Ale stare formuły związane z przyspieszeniem i zwiększaniem się masy wraz z rosnącą prędkością, nie miały w polu Dabneya zastosowania.

Jones wracał do Lunar City, razem z Cochranem, Holdenem i Babs. Jego twarz była martwą maską.

Babs próbowała wejść z powrotem w postawę i sposób bycia doskonałej sekretarki.

– Panie Cochranie – powiedziała profesjonalnym tonem, – czy będzie chciał pan przejrzeć komunikaty prasowe, które pan Bell napisał na podstawie tego, co powiedzieli mu pan West i pan Jamison?

– Nie wydaje mi się, żeby to miało specjalne znaczenie – odparł Cochran. – I tak reporterzy wyciągną wszystko bezpośrednio od Westa i Jamisona. Nic nie szkodzi. Prawdę mówiąc, to nawet lepiej, niż gdybyśmy wysłali nasze własne komunikaty. Będą częściowo niezgodne między sobą. Dzięki temu będą brzmiały bardziej autentycznie. Podniesiemy zapotrzebowanie klientów na informacje.

Mały łożyskowy księżycowy toczył się i łagodnie podskakiwał, zmierzając długą, niesamowitą drogą, z powrotem do Lunar City. Jego silnik pracował łagodnie, tak jak zawsze silniki parowe. Jako paliwo wykorzystywał siedemdziesięcioprocentowy nadtlenek wodoru, stosowany w przeszłości, w latach 40 dwudziestego wieku, do turbopomp silników rakiet V2, przy pomocy których Niemiec próbowały wygrać Drugą Wojnę Światową. Kiedy

nadtlenek wodoru wchodzi w kontakt z katalizatorem, takim jak nadmanganian potasu, rozpada się na tlen i wodę. Woda jednak znajduje się w postaci wysokociśnieniowej pary, która wykorzystywana jest w silnikach. Paliwo łazika dostarczało mu więc pary napędowej, a spalinami jakie pozostawały, były woda do picia i tlen do oddychania. Wszystkie pojazdy silnikowe na Księżycu napędzane były za pomocą pary.

– O czym myślisz, Jones? – spytał go nagle Cochrane.

Jones odparł medytacyjnym tonem:

– Zastanawiam się, jak wielką siłę pola, może dać mi system magazynowania pojemności. Tym razem zwiększyłem intensywność pola. Wyniki były całkiem niezłe. Myślę więc nad czymś takim... przypuśćmy, że utworzę pole przy pomocy pakietu zasilającego opartego na lampie stroboskopowej -- albo może urządzeniu do spawania punktowego. Nawet przenośne lampy stroboskopowe dają parę milionów watów, przez czterdzieści tysięczne sekundy. Przypuśćmy, że ulepszę pakiet pojemnościowy, aby dawał mi pole, przy użyciu kilku miliardów watów? To mogłoby wyglądać praktycznie niemal jak transmisja materii, chociaż tak w rzeczywistości byłaby to tylko bardzo szybka podróż. Myślę, że dobrze by było trochę popracować nad tym całym pomysłem...

Cochrane trawił w ciszy otrzymane informacje.

– Daleki byłbym od tego – powiedział po kilku chwilach, – aby zniechęcać kogoś od rozważań na tak wysokim poziomie. Bill, a co tobie siedzi w głowie?

Holden markotnie oznajmił.

– Jestem przekonany, że to wszystko działa. Ale, Jed! Mówisz tak, jakbyś nie miał żadnych innych zmartwień! Nawet jeżeli ty i Jones znajdziecie sposób na przyspieszenie lotu statku do prędkości większej od światła, nie macie przecież statku, ani kapitału potrzebnego do...

– Mam coś, co wygląda jak statek – odparł mu łagodnie Cochrane. – Możesz uważać tę część za załatwioną.

– Ale są jeszcze zapasy. Powietrze... woda... żywność... załoga... Nie jesteśmy w stanie zapłacić za tego typu rzeczy! Tutaj, na Księżycu, koszty wszystkiego są niedorzecznie wielkie! Jak możesz próbować uruchamiać taki pomysł, nie mając więcej kapitału, niż prawdopodobnie uda ci się zdobyć?

– Mam zamiar naśladować mojego starego przyjaciela, Krzysztofa Kolumba – powiedział Cochrane. – Mam zamiar dać klientom to, czego chcą. Kolumb nie próbował nikomu sprzedawać udziałów na nowych lądach. Kogo obchodzą nowe lądy? Kto chciałby przenosić się na nową planetę? Kto teraz w ogóle potrzebuje tych nowych planet? Każdy chętnie by zobaczył, jak wynoszą się jego sąsiedzi i zostawiają więcej miejsca dla niego, ale nikt nie chce przenosić się samemu. Kolumb sprzedawał obietnicę czegoś, co już wcześniej miało dobrze ugruntowaną wartość, co mogło być sprzedawane w każdej wiosce, miasteczku -- coś do czego system handlowy był już przygotowany! Ja również mam zamiar oferować podobne łatwo zbywalne dobro. W ciągu dwudziestu czterech godzin będę miał, wyładowane do pełna rakiety towarowe, lecące tutaj na Księżyc. A ich ładunek oraz koszty przewozu, będą opłacone co do grosza!

Zwrócił się do Babs. Wyglądał bardziej cynicznie i sardonicznie, niż kiedykolwiek przedtem.

– Babs, byłaś właśnie świadkiem jednej z tych chwil, które wkrótce powinny znaleźć się we wszystkich podręcznikach historii dla szkół podstawowych, razem z Benem Franklinem puszczającym latawca. Jakież to wzniosłe uczucia goszczą w twojej głowie?

Zawahała się, a potem zarumieniła. Łazik głośno pobrzękiwał i chrupał, jadąc prowadzącym na dół szlakiem. Na zewnątrz, oczywiście, nie było dźwięku. Nie było powietrza. Ale hałas wewnątrz pojazdu księżycowego, był wyraźnie zauważalny. Silnik parowy, w szczególności, czynił wysoce specyficzny hurgot.

– Wolałabym... raczej tego nie mówić – niezdarnie wymówiła się Babs.
– A jakie jest pańskie główne uczucie, panie Cochrane?

– Moje? – uśmiechnął się Cochrane. – Myślę, jaki ten świat jest cholernie zabawny, jeżeli to ludzie tacy jak Dabney, Bill, Jones i ja, muszą rozpoczynać operację kosmos!

IV

Cochrane powiedział uprzejmym tonem do mikrofonu, przekazującego dźwięk dla kierunkowej transmisji wizyjnej na Ziemię:

– Proszę o usunięcie sekcji C, paragraf dziewięć. Następnie sekcja b(1) poczynawszy od paragrafu jedenaście. Wtedy, jeżeli jeszcze usuniecie całą ostatnią sekcję -- czternaście -- możemy podpisać tę umowę.

Nastąpiła czterosekundowa przerwa. Mniej więcej dwie sekundy potrzebowały jego słowa, aby dotrzeć na Ziemię. Około kolejnych dwóch sekund, aby dotarł do niego początek odpowiedzi. Znajdujący się na drugim końcu człowiek, gwałtownie protestował.

– Dzieli nas duża odległość – nadal uprzejmie stwierdził Cochrane, – a nasze słowa wędrują tylko z prędkością światła. Nie komunikuje się pan z jednego kontynentu na drugi. Proszę więc oszczędzać na kosztach. Tak, czy nie?

Kolejna czterosekundowa przerwa. Człowiek na Ziemi dusząc przekleństwo w gardle, zgodził się. Cochrane podpisał leżący przed nim kontrakt. Jego rozmówca również podpisał. Nie tylko dokumenty, ale cała wymiana zdań były nagrywane. Byli również podłączeni świadkowie. Kontrakt był wiążący.

Cochrane odchylił się do tyłu, na swoim krześle. Zamrugał oczami ze zmęczenia. Spędził kilka godzin nad przetransmitowanym faksem kontraktem z Joint Networks i odsiał łącznie sześć wręcz zabawnych warunków umowy. Był bardzo zmęczony. Ziewnął szeroko.

– Możesz powiedzieć Jonesowi, Babs – powiedział, – że cała najważniejsza robota nad finansami skończona. Może zacząć wydawać pieniądze. I możesz przesłać moją rezygnację do Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe. A ponieważ ta cała operacja jest dosyć ryzykowna, lepiej będzie jak wyślesz również służbową wiadomość, z zapytaniem, co masz zrobić ze sobą. Obawiam się, że prawdopodobnie każą ci złapać następną rakietę powrotną, i zgłosić się do dyspozycji zespołu sekretarek. Podobny los najprawdopodobniej czeka również Westa, Jamisona i Bella.

Babs odparła z winą w głosie:

– Panie Cochrane... był pan taki zajęty, że musiałam podjąć decyzję na podstawie mojego osądu. Nie chciałam panu przerywać...

– Co znowu? – dopytywał się Cochrane.

– Rozgłos testu torpedy – wyjaśniła z poczuciem winy Babs, – był tak duży, że firma zamartwia się ze strachu, co jeszcze moglibyśmy zrobić dla jej klienta -- co w zasadzie robimy. Tak więc wszyscy zostaliśmy wysłani na płatny wyjazd służbowy, z pokryciem pełnych wydatków. Oficjalnie jesteśmy chorzy i firma opłaca całość naszych wydatków, dopóki nie wrócimy do zdrowia.

– Miło z ich strony – stwierdził Cochrane. – A gdzie tkwi haczyk?
– Przysyłają nam tu do podpisania, kontrakty dla talentów – wyznała Babs. – Kiedy wrócimy do domu, będziemy mogli zażądać najlepszych cen za wywiady z nami. Firma, oczywiście, będzie chciała to kontrolować.

Cochrane uniósł brwi.

– Rozumiem! Ale, tak prawdę mówiąc, na razie będziecie utrzymywani poza anteną, a więc Dabney będzie mógł brylować i rozbić za ulubionego jasnowłosego chłoptasia stacji telewizyjnych. Założę się, że będzie nawet w show Marilyn Winter, ponieważ ma ono największą widownię na planecie. Urządzi Malej Afrodycie wykład na temat stałych przestrzeni, a ona będzie trzepotała na niego rzęsami, wystawiała w jego stronę swoje umiejscowione na klatce piersiowej atuty i wzdychała, jak wspaniale jest być człowiekiem nauki!

– Jak pan się dowiedział? – zaczęła dopytywać się zaskoczona Babs.

Cochrane skrzywił się.

– Jak Bóg mi świadkiem, Babs, nie wiedziałem. Próbowałem wymyślić coś zbyt niemożliwego, nawet dla biznesu reklamowego! Jak widać, nie udało mi się! Nie udało mi się! A więc, ty i moja oficjalna banda, zostajecie tu z błogosławieństwem firmy, bez żadnych poleceń i zobowiązań, ale otrzymując płace i pokrycie wydatków?

– Tak – potwierdziła Babs. – Pan, również.

– Ja wychodzę z tego! – twardo oznajmił Cochrane. – Prześlij moją rezygnację. To kwestia czystej próżności. A swoją drogą Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe, zawsze potrafią w jakiś tajemniczy sposób wykonać odpowiednie ruchy, aby nałożyć kagańce ostrym gościom! No dobrze, idę złapać trochę snu. Czy jest może jeszcze coś, do czego musiałś użyć swojego własnego osądu?

– Kontrakty na retransmisje próby z torpedą. Oryginalny przekaz uzyskał oceny widowni na poziomie siedemdziesiąt jeden!

– Takie – stwierdził filozoficznie Cochrane, – są pożytki ze sławy. Ile mamy kasy?

Pokazała mu starannie sporządzone sprawozdanie. Za oryginalną serię emisji filmu z nagraniem testu torpedy, tyle i tyle. Miało to być ponownie nadawane, z popularyzacją szczegółów technicznych przez Westa i sensacyjnymi ekstrapolacjami, nadchodzących wydarzeń, autorstwa Jamisona. Sponsorzy, którzy zdobyli czas reklamowy w tej rozbudowanej i przyprawionej wersji, oczekiwali -- i dostali -- oceny widowni, nie mające precedensu w historii. Dabney również miał swoje wyjście na scenę w retransmisji -- jako bardzo dostojny i powściągliwy naukowiec. Były jeszcze inne wywiady. Znowu Dabney, ze scenariuszem napisanym przez Bella. I Jones. Jonesowi nie podobał się pomysł udzielania wywiadu, ale stanął w świetle kamer i odpowiedział na idiotyczne pytania, a potem gniewnie wrócił do swojej roboty.

Spaceways, Inc. miała na koncie bankowym kwotę, która już obecnie wynosiła więcej niż dwudziestoletnie zarobki Cochrane'a, z najlepszych lat. Firma sprzedawała rozgłos sponsorom, którzy zawieszali na nim swoje reklamy, co było dokładnym ekwiwalentem sprzedaży przyszłych transportów przypraw, przez Krzysztofa Kolumba. Tyle że Cochrane

sprzedawał za gotówkę. Rakiety towarowe znajdowały się już w drodze na Księżyc, a ich ładunek stanowiły zapasy na podróż kosmiczną. Cochrane akceptował umowy jedynie wtedy, kiedy za prawo do chwalenia się dostawą, płacono była suta prowizja. Takiej-to-a-takiej marki tlen, stanowił opłatę za przywilej dostarczenia zapasów powietrza. Odwodnione warzywa o takiej-to-a-takiej nazwie, zostały zaakceptowane na podobnych warunkach, podobnie jak czyjaś-tam kawa rozpuszczalna i czyjeś-inne zupki w torebkach, z makaronem.

– Gdybyśmy – powiedział ze zmęczeniem Cochrane, unosząc wzrok znad sprawozdania, – chcieli polecieć nawet całą flotą, a nie wyłącznie jednym statkiem, to starczyłoby nam nie tylko na jej wyposażenie, ale przed startem stalibyśmy się tak bogaci, że wolelibyśmy zostać w domu i cieszyć się naszymi pieniędzmi! – Ziewnął potężnie. – Idę złapać trochę snu. Nie pozwól mi spać za długo!

Poszedł do swojego pokoju hotelowego, i zanim głowa osunęła się mu na poduszkę, opanował go całkowity spokój. Ale nie był z siebie zadowolony. Drażniło go, że jego bunt przeciwko statusowi szeregowego pracownika, który może zostać zastąpiony przez innych, przyjął formę działania w stylu jednego z jego byłych szefów, w bezwzględnych wykorzystywaniu innych ludzi, ich mózgów -- w przypadku Jonesa -- i neurotycznych dziwactw -- w przypadku Dabneya. Gest, w wyniku którego stał się niezależny, nie do końca był tak wspaniały i pogardliwy, jakby tego chciał. Fakt, że tego rodzaju gest mógł zrobić, w przeciwieństwie do czegoś innego, wcale nie powodował poprawy jego samopoczucia.

Jednak usnął.

Śnił o tym, że wrócił do zajmowania się swoimi normalnymi sprawami, związanymi z produkowaniem show telewizyjnych. Nikogo poza nim nie obchodziło, czy show wyszło, czy nie. Faktycznym celem większości jego podwładnych, zdawało się być poderżnięcie tak wielu gardła, spośród pracujących razem z nimi kolegów, ile tylko się dało -- oczywiście w sensie biznesowym -- tak by dzięki własnemu przetrwaniu, mogli dostać lepszą pracę i więcej zarabiać. To właśnie nazywano zdrowym duchem zespołowej pracy, przy pomocy którego rzeczy kręciły się dalej, zarówno w prywatnych jak i w publicznych przedsiębiorstwach.

Był to bardzo realistyczny sen, ale nie był on specjalnie uspokajający.

Kiedy Cochrane spał, życie toczyło się dalej, a kosmos podążał swoim normalnym biegiem. Dwa księżyce Ziemi -- jeden naturalny i jeden sztuczny -- zataczały wokół niej olbrzymie koła. Czerwona plama na Jowiszu i pasy na tym gazowym gigancie, poruszały się w uporządkowany sposób po jego obwodzie. Wieki świetlne stąd, gigantyczne cefeidy monstrualnie się rozszerzały, i ponownie kurczyły, nieco szybciej niż mogłyby to wyjaśniać ich pola grawitacyjne. Podwójne gwiazdy, spokojnie wirowały wokół siebie. Komety osiągały najdalsze punkty swojej orbity, i jako zwykłe zlepkie złodowaciałych postrzępionych kamieni i metalu, przygotowywały się do kolejnego zanurzenia się w światło, ciepło i gorąco.

A na Lunie, miały miejsce różne bardziej prozaiczne działania.

Kiedy Cochrane obudził się i wrócił do pokoju hotelowego, wykorzystywanego przez niego jako biuro, znalazł w nim Babs, rozmawiającą konfidencko z kobietą -- czy też raczej dziewczyną -- którą Cochrane mgliscie sobie przypominał. Ponownie na nią spojrzał. Pamiętał ją. Trzy, czy cztery lata temu, była ona wybitną osobistością telewizyjną roku. Była ładna, ale nie tak bardzo ładna, że zapominało się przy niej, że jest żyjącą osobą. Była tym wszystkim, czym nie była Marilyn Winters -- i była nazwiskiem numer dwa w telewizji.

Cochrane przywitał się z nią zaskoczony:

– Czy pani nazywa się Alicia Keith?

Dziewczyna lekko się uśmiechnęła. Nie była już tak ładna, jak kiedyś. Wyglądała na cierpliwą. A wyraz cierpliwości na twarzy kobiety, na pewno nie jest czymś nieprzyjemnym. Ale nie jest również czymś urzekającym.

– Nazywałam się – odparła. – Wyszłam za Johnnny’ego Simmsa.

Cochrane popatrzył na Babs.

– Oni mieszkają tu, na górze – wyjaśniła Babs. – Pokazywałam go panu na basenie, pierwszego dnia, kiedy tutaj przylecieliśmy.

– To cudownie – stwierdził Cochrane. – Jak...

– Johnnny – powiedziała Alicia, – wkupił się w waszą korporację, Spaceways. Upił jednego z waszych ludzi, Westa, i kupił jego udziały w akcjach Spaceways.

Cochrane usiadł z wrażenia -- nie mocno, ponieważ na Księżycu nie za bardzo można mocno usiąść. Ale usiadł tak mocno, jak to tylko było możliwe.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Dowiedział się, że macie ten stary statek, zbudowany dla kolonii marsjańskiej. Rozumie, że wybieracie się w podróż do gwiazd. Chce lecieć razem z wami. On jest bardzo podobny do małego chłopca. Nienawidzi tego wszystkiego tutaj.

– A więc, dlaczego mieszka... – Cochrane zdusił pytanie, ale nie do końca na czas.

– Nie może wrócić na Ziemię – spokojnie wyjaśniła Alicia. – Jest osobowością psychopatyczną. Jest zdrowy psychicznie i całkiem inteligentny, a na swój sposób dosyć uroczy, ale po prostu nie jest w stanie zapamiętać, co jest dobre, a co złe. A już szczególnie, kiedy się podekscytuje. Kiedy ustanawiano Lunar City, jako międzynarodową kolonię, przez czyste przeoczenie, zapomniano uregulować sprawy ekstradycyjne. Tak więc Johnnny może tutaj żyć. Nie mógłby żyć nigdzie indziej... a przynajmniej nie za długo.

Cochrane nic jej nie odpowiedział.

– Chce z wami lecieć – łagodnie powiedziała Alicia. – Jest cały rozemocjonowany. Prawnik, którego jego rodzina trzyma tutaj, aby go pilnował, również jest rozemocjonowany. Chce wracać do domu i porozmawiać z jego rodziną. A jako udziałowiec, Johnnny może zabronić wam zabrania statku, czy innej własności korporacyjnej, poza zasięg jurysdykcji sądów. Ale raczej, pewnie poleci z wami. Oczywiście, ja również muszę lecieć.

– To jest szantaż – stwierdził Cochrane, ale bez specjalnego ognia w głosie. – Zresztą przykład całkiem niezłej roboty nad jego przygotowaniem. Babs, zobaczysz co powie Holden, kiedy się o tym dowie. Jako psychiatra. – Zwrócił się do Alicii. – A dlaczego pani chce lecieć? Nie wiem, czy czasami nie będzie to niebezpieczne.

– Wyszłam za Johny’ego – odparła Alicia. Jej uśmiech był opanowany.
– Myślałam, że cudownie byłoby móc zaufać komuś, komu nie może zaufać nikt inny. – Po chwili dodała: – Byłoby, gdyby było można.

Kilka chwil później poszła sobie, bardzo grzecznie i bardzo spokojnie. Jej mąż nie miał poczucia dobrego i złego, a w każdym razie nie w swoich czynach. Próbowwała powstrzymać go przed szerzeniem zbyt wielkich szkód, używając przykładów z wiedzy jaką miała, o tym co było fair, a co nie. Cochrane skrzywił się i powiedział Babs, aby zanotowała sobie, że chce porozmawiać z Holdenem. Były jednak jeszcze inne sprawy do załatwienia. Trzeba było zająć się pewnymi dokumentami, które musiał podpisać każdy kto odlatywał z Luny. Potem Cochrane stwierdził z zamyśleniem:

– Alicja Keith byłaby dobrym nazwiskiem na taśmie filmowej...

Zanurzył się w wirze papierowej roboty i targów, które musi wykonać każdy, zanim będzie mógł korzystać ze swoich osiągnięć. Pionierskie czyny, w szczególności, wymagają tego samego rodzaju pracy nad oczyszczaniem gruntu, co osiedlenie się na pogranicznej farmie. Zamiast z drzewami, które trzeba ściąć i korzeniami, które trzeba wykarczować, ma się do czynienia z bezinteresownymi obstrukcjonistami, których trzeba ściąć przy samej ziemi, w sensie biznesowym, oczywiście, i ludźmi wykazującymi nieskończoną pomysłowość w próbach urwania dla siebie choćby skrawka -- jakiegokolwiek -- z tego co robi ktoś inny. No i oczywiście są jeszcze szakale żerujące na rozgłosie. Ponieważ Spaceways, została sfinansowana ze sprzedaży rozgłosu, który mógł zostać przelany na ten czy tamten produkt, szakale próbowały wgryźć się w jej zyski i kapitał.

Na Ziemi, pewien szalony wynalazca znalazł prawnika, który pracowicie robił sobie darmową reklamę, za pomocą konferencji prasowych na temat szkody poniesionej przez jego klienta, z powodu Spaceways, Inc., która to firma podobno ukradła jego wynalazek, pozwalający na podróż przez kosmos, z szybkością większą od prędkości światła. Ktoś inny w Senacie, wykonał przemówienie, oskarżające że projekt Spaceways jest politycznym ruchem, wykonanym przez partię rządzącą, dla jakiegoś strasznego i ostatecznego celu.

W końcu szalony wynalazca dostał się na antenę i tryumfalnie zaanonsował, że jedynie część jego wynalazku została skradziona, ponieważ był na tyle mądry, aby nie zapisywać go w całości, ani nie mówić o nim nikomu. I nikomu nie poda -- nawet żadnemu sądowi -- pełnych szczegółów swojego wynalazku, chyba że z góry otrzyma zapłatę w wysokości dwudziestu pięciu milionów w gotówce, a potem wszystkie honoraria. Projekt dochodzenia w Kongresie, dotyczącego Spaceways, miał umrzeć śmiercią naturalną, w jednej z komisji.

Pojawiały się również inne problemy. Kadłub bezużytecznie stojącego statku kosmicznego, musiał zostać opróżniony ze zmagazynowanych w nim narzędzi górniczych. Zostało to zrobione przez ludzi pracujących w skafandrach kosmicznych. Reguły zawodowe wymagały od nich, aby włożyć w to nie więcej niż jedną czwartą wysiłków, które by włożyli, gdyby pracowali dla samych siebie. Kiedy statek został opróżniony i napełniono go powietrzem, zamarzło ono momentalnie, zamieniając się w tlenowy śnieg. Musiano więc zainstalować promienniki nagrzewające, oraz podłączyć ich zasilanie, aby rozgrzać kadłub do temperatury, w której mogłaby istnieć w nim atmosfera. Generatory statku trzeba było rozmrozić ze stanu zlodowaciałego, kruchego jak szkło metalu, a następnie ogrzać do poziomu, w którym mogłyby już pracować, nie rozpadając się na drobne kawałki.

Mieli jednak także i pozytywne przełomy. Wkrótce dawny pilot księżycowy -- który osiadł na Lunie i zajmował się pracą administracyjną -- w swoim wolnym czasie sprawdził dokładnie cały statek. Załatwił to Jones. Urządzenia napędowe z silnikami rakietowymi z adamitu -- materiału odkrytego czystym przypadkiem w stalowniach na Ziemi -- były sprawne. Projekt pomp paliwowych został przejęty w pełni, z pomp gaśniczych na ziemi. Były w porządku. System regeneracji powietrza zbudowany został na podstawie rozwiniętych koncepcji zbiorników z natleniającymi kulturami biologicznymi, w których na Ziemi hodowano antybiotyki. Wymagał jedynie powtórnego obsadzenia algami -- mikroskopijnymi roślinami, które w ultrafioletowym świetle rozkładały w szybkim tempie dwutlenek węgla i produkowały z niego tlen. Statek był dosyć złożoną kombinacją, generalnie prostych urządzeń. Praktycznie bez większych kłopotów, mógł zostać doprowadzony do takiego stanu używalności, jaki niegdyś posiadał.

I został.

Jones przeprowadził się do niego, z masą różnych urządzeń przeniesionych z laboratorium w Apeninach Księżycowych. Pracował z oddaniem, fanatycznie. Tak jak w przypadku wielu najbardziej spektakularnych odkryć, pole Dabneya było zasadniczo proste. Było niemal idiotycznie nieskomplikowane. W teorii było ono stanem przestrzeni tuż poza jedną z powierzchni arkusza metalu. Można by je porównać do warstwy przewodzącej w kablach, ciągnących się nad polami linii energetycznych, w których elektryczność transmitowana jest w formie wysokoczęstotliwościowych zmian napięcia i przenosi się po powierzchni wielu metalowych włókien, ponieważ prądy wysokiej częstotliwości po prostu nie płyną wewnątrz przewodnika, ale tylko w jego warstwie powierzchniowej. Tak samo pole Dabneya formowało się na powierzchni -- albo w nieskończenie małej odległości ponad nią -- metalowego arkusza, w którym wzbudzone zostały wirujące prądy, zmieniające się w taki to a taki sposób. To było wszystko na ten temat.

Tak więc Jones zmienił zewnętrzną powierzchnię, czoła porzuconego marsjańskiego statku kosmicznego, w generator pola Dabneya. Było to nie tylko proste, ale wręcz za proste! Po zrobieniu z dziobu statku płyty generatora pola Dabneya, natychmiast zajął się przygotowaniami do

zmiany rufy statku, a drugą płytę pola Dabneya. Te dwie płyty, skierowane do siebie nawzajem, dawały efekt, na który niektórzy mogliby spoglądać z zaskoczeniem i obawą, ale Jones planował przynajmniej wystartować, w sposób dokładnie taki sam jak podczas próby torpedy alarmowej. Dalsza praca nad budową pojazdu do lotu nadświatelnego, nie była już trudniejsza niż budowa szalasu, dla kogoś kto wie jak to zrobić.

Przyleciały dwie rakiety towarowe, przechwycone przez radar i skierowane na lądowisko przy pomocy zdalnego sterowania. Odbiornik kierunkowy Lunar City odebrał kolejną porcję muzyki, przesłaną do niego z Ziemi, i tak jak zwykle przekazał ją do stert pyłu, które tworzyły budynki miasta. Koloniści i obecni na Księżycu turyści, mogli dzięki temu zaznajomić się z czterdziestoma dwoma nowymi nagraniami, dotyczącymi przyszłej podróży do gwiazd. Jedno z tych genialnych dzieł łączyło operację na Księżycu ze świeżo wypuszczonym dramatem filmowym, zatytułowanym „Dziecię nienawiści”, i oczarowani widzowie mogli zobaczyć i usłyszeć najnowszego młodocianego tenora, błagającego łagodnym głosem: „Dziecię nienawiści, podążaj do gwiazd i do miłości”. Dział reklamowy firmy odpowiedzialnej za to arcydzieło, uważał się również za niezbyt odległy od geniuszu.

Trzykrotnie pojawiło się pewne zamieszanie, a czwarty i piąty raz dosyć poważne. Raz Cochrane wdał się we wściekłą dyskusję z Holdenem, czy lepiej jest mieć na pokładzie psychopatyczną osobowość, czy też mieć batalię prawną w sądach. Cochrane wygrał. Innym razem przyszedł do niego Jones, w wojowniczym nastroju, aby stoczyć z nim bitwę o pewne urządzenia techniczne, które miały kosztować dużo pieniędzy.

– Posłuchaj! – oznajmił znękany tonem Cochrane. – Ja nie próbuję ci szefować! Nie przychodź do mnie, jako do władzy! Jeżeli uda ci się doprowadzić ten statek do takiego stanu, że oderwie się od powierzchni, to ja będę razem z tobą w środku, i moja głowa znajdzie się w takim samym niebezpieczeństwie jak twoja. Kupuj wszystko, co zapewni jak największe bezpieczeństwo obu naszym głowom. Ja jestem zajęty zbieraniem pieniędzy, walką z szaleńcami, unikaniem procesów i zdobywaniem zapasów! W każdym razie, zajmuję się robotą, która wymaga trzech ludzi. Wszystko na co mam nadzieję, to że będziesz gotowy do startu, zanim dla zdobycia kolejnych paru groszy, będę musiał zacząć wycinać papierowe laleczki. Kiedy możemy wyruszyć?

– My? – podejrziwie dopytywał się Jones. – Lecisz?

– Jeżeli myślisz, że zostanę w domu i będę musiał stawić czoła temu co się będzie działo, kiedy ten interes zrobi klapę – powiedział mu Cochrane, – to chyba zwariowałeś! Na Ziemi już teraz jest za dużo ludzi. Nie ma miejsca dla ludzi, którzy próbowali dokonać czegoś wielkiego i zawiedli! Jeżeli to ma zrobić klapę, to wolę być już raczej zimnym trupem, ze szczęśliwym uśmiechem na twarzy -- jak rozumiem w przestrzeni kosmicznej każdy trup jest zimny -- niż człowiekiem żyjącym na Ziemi, ale z opieki społecznej.

– Och – stwierdził Jones, wyraźnie mięknąc. – Ilu ludzi ma lecieć?

– Spytaj Billa Holdena – odparł mu Cochrane. – Pamiętaj, jeżeli czegoś potrzebujesz, kupuj to. Ja spróbuję jakoś za to zapłacić. Jeżeli wrócimy do

domu z filmami z kosmosu -- nawet jeśli tylko okrążymy Marsa! -- to będziemy mieli wystarczająco dużo forsy, żeby zapłacić za wszystko, za co tylko będziemy chcieli!

Jones obrzucił Cochrane'a niemal ciepłym spojrzeniem.

– Podoba mi się taki sposób prowadzenia interesów – oznajmił.

– To nie są interesy! – zaprotestował Cochrane. – Tu chodzi o zrobienie czegoś ważnego! Przy okazji. Czy wybrałeś dla nas już jakiś miejsce docelowe, w które powinniśmy mierzyć? – Kiedy Jones pokręcił przecząco głową, Cochrane stwierdził zafrasowanym tonem: – Lepiej mieć coś wybranego. Ale kiedy będziemy wypełniać nasze dokumenty wylotowe, i tak jako miejsce przeznaczenia podamy: „Do gwiazd”. Niezły kawałek dla stacji informacyjnych. O, tak. Powiedz Billowi Holdenowi, żeby spróbował znaleźć nam kapitana. Astrogatora. Kogoś, kto będzie umiał powiedzieć nam jak mamy wrócić, jeżeli dostaniemy się w jakieś miejsce, z którego będziemy musieli wracać. Znasz może taką osobę?

– Znam kogoś – odparł Jones. – Sprawdzał dla mnie statek. Dawny pilot rakiety księżycowej. Jest tutaj, w Lunar City. Dzięki!

Uścisnęli sobie z Cochranem dłonie, zanim wyszedł. Co, jak na Jonesa, było wyrazem przepełniających go prawdziwych emocji. Cochrane wrócił do swojego biurka.

– Zobaczmy... Przygotowanie wzoru pieczętek na znaczki i koperty, które weźmiemy ze sobą i będziemy stemplować: „Kosmos”. Dodać klauzule umowy, dla przypadku gdybyśmy wylądowali na jakichś planetach, i wymyślić dla nich znaczki pocztowe...

Kontynuował pracę, kiedy przyszła Babs z notatnikiem. Po chwili zaczął jej dyktować. Kiedy mówił do niej, marszcząc czoło, machinalnie wyjął z kieszeni wieczne pióro i z roztargnieniem zaczął bawić się przyciskiem do jego napełniania. Po jego naciśnięciu, ze stalówki zaczął wypływać atrament. Napięcie powierzchniowe kropli atramentu na Księżycu jest dokładnie takie samo jak na Ziemi, ale siła przyciągania jest o pięć szóstych mniejsza. Tak więc kropla atramentu, jaką da się uformować na stalówce, zanim słaba grawitacja Księżyca spowoduje jej skapnięcie, może mieć naprawdę imponujące rozmiary.

Bawiąc się w ten sposób piórem, podczas dyktowania, Cochrane otrzymał gruszkowatą kroplę atramentu, w pełni dorównującą rozmiarami dużemu winogronu, zanim spadła ona do stojącej obok biurka śmietniczki. To była największa, jaką udało mu się wytworzyć, przynajmniej jak do tej pory. Leciała -- w zwolnionym tempie i rozprysła się -- gwałtownie -- jak zauważył z pustą satysfakcją.

Czas mijał. Z Ziemi przyleciała rakietą księżycowa. Pod tysięczstopową plastikową kopułą, pojawili się nowi turyści. Koło dawnego statku marsjańskiego, Jones wykonywał eksperymenty z małymi plastikowymi balonami, pokrytymi warstewką przewodzącą. W próżni, powietrze zajmujące pod ziemskim ciśnieniem, centymetr sześcienny, rozpręża się do wielu stóp sześciennych niemal-próżni. Jeżeli balon może utrzymać ciśnienie wewnętrzne jednej uncji na stopę kwadratową, naparstek powietrza, do chwili wyrównania się tego ciśnienia, potrafi napompować sporą kulę. Jones przygotował małe automatyczne generatory pola

Dabneya, z małymi bateriami atomowymi, które je zasilają. Każdy z takich generatorów, dryfując w przestrzeni, mógł stanowić „płytę” pola Dabneya, a ich małe baterie mogły podtrzymywać działanie pola przez dwadzieścia lat albo i więcej.

Z Ziemi dotarł ładunek dla Johnnny’ego Simmsa. Składał się głównie ze strzelb na słońce i amunicji do nich. Johnnny, jako dziedzic niezliczonych milionów, na Ziemi, pędził do tej pory szczęśliwe życie, ale takie, które nie dało mu specjalnie praktycznego spojrzenia na większość spraw. Dla niego podróż do gwiazd oznaczała lądowanie na takich egzotycznych planetach, o jakich od stu lat, lub coś koło tego, pisali powieściopisarze. Tak naprawdę widział wyprawę w kosmos, jako połączenie wielkiej ekspedycji myśliwskiej, z możliwością ucieczki z Lunar City. Ponadto, oczekiwał od przyszłości, uwolnienia się od przedstawiciela prawnego swojej rodziny i nieustannego przypominania mu wartości etycznych i moralnych, które Johnnny ze szczęściem wołał ignorować.

Dotarła na górę również taśma filmowa i kamery. Pod adres Spaceways, Inc. przesyłany był każdy możliwy do wyobrażenia element wyposażenia, który był potrzebny, albo nawet mógł być potrzebny, ekspedycji w kosmosie. Wytwórcy wręcz ustawiali się w kolejkę, aby ich produkty zostały użyte w powiązaniu z najgorętszą wiadomością telewizyjną ostatnich dekad. Utworzył się niemal stały strumyczek łaźników księżycowych, ciągnących od śluz powietrznych Lunar City do statku.

Nadszedł czas księżycowego zachodu słońca -- godzina 503:30, wpół do pięćset czwartej. Czas był mierzony od północy do północy, na podstawie pomiarów astronomicznych. Wielkie, rozplomienione słońce, którego nawet wyrzucane strumienie materii, były za jasne, aby można było spoglądać na nie gołym okiem -- to słońce schodziło coraz niżej i w końcu osiągnęło linię horyzontu. Na usianym gwiazdami niebie nie wywołało to żadnych zmian. Nie było widać barwnych oznak zachodu. Gorejący blask gór, w najmniejszym stopniu nie ulegał osłabieniu. Wydłużyły się tylko głębokie, czarne cienie, rzucane przez górskie szczyty i skały.

Słońce, świecące przez cały czas oślepiającym światłem, zaczęło zachodzić. Jego ruch wydawał się niemal nieskończenie powolny. Rozpiętość tarczy słonecznej wynosiła niemal pół stopnia łukowego, i całkowite skrycie się za horyzontem, zajęło jej pół godziny. Nawet wtedy, początkowo wszystko dookoła wyglądało bez zmian, poza tym, że Mare Imbrium -- zestalone, pustynne Morze Deszczów -- zrobiło się równie ciemne jak cienie w górach.

Same góry nadal jednak jasno błyszczą. Na ich zboczach, jeszcze bardzo długo jaśniało ognisto-białe światło słońca. Jasny blask unosił się coraz wyżej i wyżej, a jego śladem postępowała czerń. Po dłuższym czasie, w końcu tylko najwyższe wierzchołki Apeninów płonęły widmowym blaskiem, na tle gwiazd, których blask w porównaniu z nimi, wydawał się słaby i ulotny.

Wtedy naprawdę zapadła noc. Ale nad głowami świeciła Ziemia, półkula mórz, chmur i kontynentów, wisiała na niebie potężna i nostalgiczna. Teraz na Księżycu padało światło Ziemi. Było wielokrotnie

jaśniejsze, niż światło Księżyca, padające na Ziemię. Nawet w tej chwili, tuż po księżycowym zachodzie Słońca, ziemskie światło było szesnastokrotnie jaśniejsze. O północy, kiedy Ziemia znajdzie się w pełni, będzie wystarczająco jasno do prowadzenia wszelkiej działalności. Prawdę mówiąc, istoty ludzkie na Księżycu, przyjęły raczej nocny styl życia, ponieważ po zmrożonym gruncie łatwiej prowadziło się łaziki, i łatwiej było ogrzewać ludzi i maszyny do temperatury umożliwiającej im funkcjonowanie, niż chronić ich przed bardziej niż palącym gorącym księżycowym dnem.

Tak więc, krzątania wokół ocalonego statku kosmicznego, jeszcze się nasiliła. W półmroku zapłonęły wokół niego latarnie elektryczne, wskazujące drogę pojazdom transportowym i ich ładunkom. Łaziki z turystami podjeżdżały i wracały, podjeżdżały i wracały. Nowy transport przybysz z Ziemi, chciał obejrzeć pojazd kosmiczny, o którym mówił cały świat.

Nawet Cochrane po pewnym czasie zrobił się ciekaw. W końcu nadeszła taka chwila, kiedy udało mu się skończyć całą papierkową robotę, związaną z projektem, podpisać wszystkie dodatkowe kontrakty, i przygotować wszystko co tylko mogło zostać wcześniej zaplanowane. Był czas na to, żeby zrobić coś innego.

Cochrane niepewnie spytał:

– Babs, czy widziałas już statek?

Pokręciła przecząco głową.

– Myślę, że dobrze by było wybrać się tam i spojrzeć na niego – zaproponował Cochrane. – Wiesz, ostatnio musiałem działać jak jakiś cholerny biznesmen! Tylko trzy razy byłem poza Lunar City. Raz pojechałem do laboratorium, żeby porozmawiać, drugi raz, na próbę lotu rakiety sygnałowej przez krater, i trzeci raz, kiedy wypuściliśmy torpedę alarmową. Nie widziałem nawet tego klubu nocnego, tu, w Lunar City!

– Powinien pan – odparła rzeczowo Babs. – Wybrałam się tam kiedyś, z doktorem Holdenem. Wspaniale się tańczyło.

– Bill Holden, co? – zauważył Cochrane. Stwierdził, że ta wiadomość jakoś go rozdrażniła. – Wziął cię do nocnego lokalu, ale statku już nie pokazał!

– Na statek jest dalej – wyjaśniła Babs. – Gdyby mnie pan potrzebował, w klubie zawsze można by mnie było znaleźć. Poszłam, kiedy pan spał.

– Do diabła! – zawołał Cochrane. – Hmm... Powinnaś dostać jakąś premię. Co byś wolała dostać, Babs, premię w gotówce, czy akcje Spaceways?

– Mam już trochę akcji – przyznała Babs. – Pan Bell... ten pisarz, pan wie... grał kiedyś w pokera. Spłukał się kompletnie. Tak więc, dałam mu wszystkie pieniądze, jakie miałam... jak mi się zdaje, mówiłam panu, że wybrałam wszystko z mojego konta oszczędnościowego, kiedy lecieliśmy na górę... za połowę jego udziałów.

– Albo zostałam paskudnie nabita w butelkę – cynicznie powiedział jej Cochrane, – albo staniesz się tak bogata, że w ogóle nie będziesz chciała ze mną rozmawiać.

– Och, nie – ciepło zapewniła Babs. – Nigdy!

Cochrane ziewnął.

– No to chodźmy na zewnątrz i rzućmy sobie okiem na statek. Może mógłbym pomagać w rozładunku zapasów, albo coś innego, teraz kiedy nie mamy już papierowej roboty.

Babs odparła, z dziwnym spokojem.

– Pan Jones chciał się z panem dzisiaj tam zobaczyć -- za godzinę, jak mówił. Obiecałam, że pan przyjdzie. Miałam powiedzieć o tym, we właściwym czasie.

Cochrane nie zauważył tonu jej głosu. Był śmiertelnie zmęczony, tak jak zmęczony może być tylko człowiek, który z największym wysiłkiem, przez wiele dni, od rana do wieczora, zajmował się interesami. Interesy są stymulujące jedynie w swoich najważniejszych aspektach. Większość szczegółów jest męczących, nudnych, rutynowych i nużących -- i bardzo często pełnych niebezpiecznych pułapek. Cochrane wykonał, wyłącznie przy pomocy Babs, taką ilość pracy mentalnej, jaka w biurach Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe byłaby rozdzielona na dwóch wiceprezesów, sześciu prawników i co najmniej dwunastu menedżerów w księgowości. Tak właściwie, oznaczało to również, że do tej pracy, musiałoby zostać przyporządkowanych co najmniej dwadzieścia sekretarek. Ale Babs i Cochrane, zrobili wszystko sami.

W łaziku księżycowym, kiedy jechali na statek, czuł ciężkie, wyczerpane uczucie odprężenia, które wcale nie było przyjemne. Trochę go zdenerwowała również Babs. Spóźniła się z przyjściem do służby, i kiedy tam w końcu dotarła, nie mogła nawet złapać tchu.

Łazik chrupał, pobrzękiwał i huczał, tocząc się łagodnie wielkimi kołami po lekko pofalowanym morzu zastygłej lawy. Babs łapczywie pochłaniała krajobraz za oknami. Oczywiście, widok był zupełnie niesamowity. W stosunkowo przyćmionym świetle Ziemi, krajobraz księżycowy nieco łagodniał, ale pomimo wszystko, niesamowicie postrzępione góry, strome zbocza skalnych ścian, rozcięte jakby gigantyczną brzytwą przejścia przez monstrualne skały -- te rzeczy nadal pozostawały porażające. Podróż wydawała się zbliżona do jazdy we śnie, gdzie wszystko w pobliżu wyglądało na wspaniałe i czarodziejskie, ale tło było śmiertelnie ciche, nieruchome i złowieszcze.

W łaziku, pełno było zwykłych odgłosów. Powietrze miało lekko metaliczny posmak. Można było wyczuć zapach oleju, ozonu, farby i plastikowej tapicerki. Słyszać było chrupiące odgłosy kół, toczących się po kamieniach. Z powodu niskiej grawitacji, czuło się paradoksalną łagodność wszystkich ruchów łazika. Cochrane zauważył nawet niezwykle uczucie unoszenia się w fotelu, przy sile przyciągania wynoszącej tylko jedną szóstą tego co na Ziemi. Wszystkie odczucia wydawały się jakby ze snu, ale czuł jednak również ćmiące w głowie uczucie wyczerpania, które następuje po zakończeniu zbyt długiego okresu przepracowywania się.

– Spróbuję – powiedział zmęczonym głosem, – dopilnować, żebyś przed swoim powrotem, miała trochę rozrywki, Babs. Wrócisz na Ziemię zaraz jak tylko wyruszymy tam, dokądkolwiek byśmy nie mieli wyruszyć.

W każdym razie powinnaś jednak zaliczyć trochę tych turystycznych atrakcji.

Babs nic nie odpowiedziała. Znacząco.

Łazik pobrażkiwał i z warkotem toczył się dalej. Wyraźnie słyszalny stał się syk pary. Pojazd objechał dookoła kamienną iglicę, i Cochrane zobaczył statek.

W bladym świetle Ziemi, wyglądał osobliwie pięknie. Został zaprojektowany w taki sposób, aby skusić sponsorów, w teraz już dawno przebrzmiałej promocji. Miał opływowe kształty, był gigantyczny i błyszczał srebrzystym kolorem. Stał pionowo na płetwach ogonowych, włązy miał oświetlone, a wszędzie wokół niego, płonęły lampy elektryczne. Ale u podstawy statku stał tylko jeden łazik księżycowy. Jakaś postać w skafandrze kosmicznym podeszła do wiszącego podnośnika i usiadła w nim. Powoli ruszyła do góry, w kierunku otwartego wjazdu śluzy powietrznej, a łazik którym przyjechała potoczył się bezgłośnie z powrotem w stronę Lunar City.

Wokół statku nie było żadnego bałaganu. Nie było ładunków, które należało załadować. Cochrane widział tylko wielką metalową płytę, położoną na ziemi, z przymocowanym do niej kablami dużym pudłem. To były chyba generatory i płyta pola Dabneya. Ewidentnie miała zostać na Księżycu. Nie była zamontowana pod statkiem. Cochrane zastanawiał się nad tym przez chwilę, ze zmęczeniem. Potem zrozumiał. Statek miał wystartować na rakietach, unosząc się nad płytą -- która miała generować połowę wspomagającego go pola -- a dopiero potem Jones włączy aparat na samym statku. Zakończony szpiczastą igłą dziób rakiety, stanie się drugim generatorem pola Dabneya, od przodu. Bezwładność pojazdu w tym polu, zostanie efektywnie zredukowana do niewielkiego ułamka jej poprzedniej wartości. Silniki rakietowe, które wszędzie poza polem Dabneya mogą nadać mu przyspieszenie kilkuset stóp na sekundę, natychmiast przyspieszą statek i jego całą zawartość do prędkości niemożliwej do uzyskania w innym przypadku. Podróżujący rakieta utracą swoją względną inercję w takim samym stopniu jak i statek. Nie powinni czuć większego przeciążenia, niż przy identycznym ciągu rakiet w normalnej przestrzeni. Ale powinni lecieć...

Cochrane czuł jakieś fałszywy ton w działaniu pola Dabneya, przynajmniej tak, jak on je rozumiał. Jeżeli w polu Dabneya bezwładność była mniejsza, to przecież rakiet nie powinna być w nim tak mocno odpychana, ponieważ mniejsza była również inercja gazów rakietowych, które dawały ciąg silnikom. Ale Cochrane był za bardzo zmęczony, aby zajmować się swoimi teoretycznymi obiekcjami, w stosunku do kogoś, kto znał się na swojej robocie. Niemal drzemał, kiedy Babs dotknęła jego ramienia.

– Panie Cochrane, skafandry kosmiczne.

Ze zmęczeniem wcisnął się, w niewygodny strój. Znowu zobaczył jak na twarzy Babs pojawia ten jasnooki wygląd entuzjastycznej przygody, który widział jak przybierała już wcześniej.

Wyszli z łazika jedno za drugim. Po błyszczącej burcie statku zjechał na dół podnośnik. Usiedli w nim razem. Ruszyli w górę.

Ogromny, gładki kadłub statku kosmicznego, prześlizgiwał się tuż obok, zaledwie w odległości kilku stóp od nich. Powierzchnia gruntu zniknęła. Bardziej mieli wrażenie, że sami unoszą się ku gwiazdom, niż że są przez coś podnoszeni. Podczas tego powolnego wjazdu, kompletnie nierealnego wznoszenia się, Cochrane nagle wstał. Poczuł duszący dyskomfort, spowodowany wysokością. Spoglądał na dół, na Ziemię, z wysokości czterech tysięcy mil, nie czując żadnych zawrotów głowy. Spoglądał na Ziemię z odległości jednej czwartej miliona mil, nie uświadamiając sobie odległości od niej. Ale tutaj, zaledwie pięćdziesiąt stóp ponad powierzchnią Księżyca, poczuł się jak ktoś kołyszący się w oknie drapacza chmur.

Potem obok nich pojawił się otwór wjazdu śluzy i pomost wjechał do środka. Byli już w śluzie powietrznej i Cochrane stwierdził, że odciąga Babs od pozbawionego poręczy wejścia. Poczuł prawdziwą ulgę, kiedy wjazd śluzy zamknął się za nimi.

Wewnątrz statku, jak się przekonali po zdjęciu skafandrów, panowała jasność, ciepło i była znakomita, w gruncie rzeczy, atmosfera. Statek został zbudowany aby sprzedać akcje dla przedsięwzięcia kolonizacyjnego na Marsie. Przyszłym inwestorom, pokazywano go na zachętę. Był więc budowany, jako całkiem przekonujący kosmiczny liniowiec pasażerski.

I takim był. Cochrane znalazł się w sytuacji kiedy nikt w żadnej sprawie go nie potrzebował. Jones coś robił, Bill Holden był także mocno zajęty. Sobaczył Alicię Keith -- tylko że jej nazwisko obecnie brzmiało Simms. Uśmiechnęła się do niego, ale to Babs wzięła pod rękę. Gdzieś sobie razem poszły.

Cochrane czekał na kogoś, kto powie mu, co można obejrzeć i co podziwiać. Spotkał Jamisona i Bella, a potem zobaczył jeszcze jakiegoś człowieka, którego nigdy wcześniej nie widział. Usadził się w głębokim fotelu z wygodnymi oparciami na ręce. Czuł się zaniedbywany. Wszyscy byli czymś zajęci. Przede wszystkim jednak czuł się zmęczony.

Zasnął.

Następne co zobaczył, to Babs potrząsająca go za ramię, z rozjaśnionymi oczyma.

– Panie Cochrane! – zawołała ponaglająco. – Penie Cochrane! Proszę się obudzić! Proszę wstać i pójść ze mną do sterówki! Zaraz startujemy!

Zamrugnął w jej stronę oczyma.

– My! – Potem zerwał się na nogi i w efekcie swojego gwałtownego oraz nieskalkulowanego ruchu, poleciał pięć stóp w górę. – My? Ty nie! Ty jedziesz z powrotem do Lunar City, gdzie będziesz bezpieczna!

Wtedy do jego uszu doleciał charakterystyczny dudniący i huczący odgłos. Już go kiedyś słyszał. W rakiecie na Księżyc. To był dźwięk testowanych rakiet; odpalonych; rakiet w ostatnich sekundach przygotowań przed startem do gwiazd.

Nie opadł z powrotem na podłogę, obok zajmowanego wcześniej fotela. To podłoga zaczęła się unosić na spotkanie z jego nogami.

– Zabrałam nasze bagaże na pokład – oznajmiła Babs szczęśliwym głosem. – Ja także lecę, ponieważ jestem udziałowcem! Proszę się czegoś

przytrzymać i wdrapać się na te schody, jeżeli chce pan zobaczyć jak
lecimy do góry! Ja będę bardzo zajęta!

V

Fizyczne odczucia, związane z wdrapywaniem się do sterówki statku, były dziwne, aż do ekstremum. Cochrane właśnie ocknął się ze spowodowanego wyczerpaniem snu, a po obudzeniu się na Księżycu, ludzi zawsze zaskakiwało uczucie, że ważą jedną szóstą tego co normalnie. Kilka sekund zajmowało im przypomnienie sobie, w jaki sposób należy się tu poruszać. A podczas wchodzenia po schodkach, Cochrane'a dodatkowo dezorientowało, że statek zataczał się to w jedną stronę, to w drugą. Przesuwał się nad powierzchnią Księżyca, aby znaleźć się nad rozłożoną płasko na ziemi, sto jardów od jego wyjściowej pozycji, płytą pola Dabneya.

Pole Dabneya, oczywiście, na razie jeszcze nie działało. Statek unosił się tylko na swoich rakietach. Zostały one jednak zaprojektowane do wyniesienia go z powierzchni Ziemi -- co zresztą kiedyś zrobiły -- przy sześciokrotnie większej efektywnej grawitacji od tutejszej, i ze znacznie większym przyśpieszeniem w szczycie. Tak więc statek unióś się lekko, niemal jak zabawka. Kiedy żyroskopy zakreśliły się, by wymusić jego ruch w bok -- jak łopaty helikoptera w ziemskiej atmosferze -- łatwo przesunął się na nową pozycję. Ktoś kierował nim to w jedną stronę, to w drugą.

Cochrane dostał się do sterówki, trzymając się obydwojma rękoma poręczy. Był zły i wystraszony.

Pomieszczenie sterówki miało kształt półkuli, z pionowymi ekranami wizyjnymi, pokazującymi niebo nad statkiem. Jones stał w jakiejś dziwnej uprzęży, obok zestawu przełączników i kontrolek, które wyraźnie nie pasowały do starannie zaprojektowanych innych urządzeń sterujących statkiem. Wyglądał na zewnątrz przez plastikową bańkę, przez którą mógł zobaczyć wszystko co było dookoła i pod statkiem. Pośpiesznie sygnalizował coś człowiekowi, którego Cochrane nigdy wcześniej nie widział, siedzącemu w fotelu z plecionych pasów, przed kolejnym zestawem wielu innych skomplikowanych kontrolek, po których jego dłonie biegały w tę i z powrotem. Z głośnika dobiegały jakieś słowa. Był to głos Dabneya, bardzo poruszony i zdenerwowany:

- ... moja praca nad rozwojem nauki, została zastosowana w praktyce przez inne umysły. Muszę w tym miejscu wyraźnie powiedzieć, że jeżeli rozpoczynający się właśnie eksperyment nie zakończy się sukcesem, to w najmniejszym stopniu nie unieważnia mojego odkrycia, które zostało obszernie zweryfikowane przy pomocy innych środków. Może tak być, rzeczywiście, że moje odkrycie tak dalece wyprzedza stan obecnej wiedzy technicznej...

– Słuchajcie – zaczął wściekać się Cochrane. – Nie możecie wystartować, mając Babs na pokładzie! To jest niebezpieczne!

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Jones szaleńczo wymachiwał rękami, wskazując na konieczność wykonania jakichś najdelikatniejszych możliwych korekt. Człowiek siedzący w fotelu z pasów, wykonywał jego instrukcje z wyteżoną uwagą. Jones nagle nacisnął przełącznik. Coś gdzieś rozbłysło. Rozległ się króciutki huczący odgłos, który nie do końca był odgłosem.

– Zabieraj go – oznajmił stanowczym głosem Jones.

Człowiek w plecionym fotelu nacisnął mocno na stery. Cochrane desperacko popatrzył przez jeden z portów na burcie. Zobaczył księżycowy krajobraz -- morze zastygłej lawy, pokryte warstwą białawo-brązowego pyłu. Zobaczył także ogromne skupisko wielu łazików księżycowych, zebranych w pobliżu, tak jakby większość ludności Lunar City zgromadziła się, aby oglądać to wydarzenie. Zobaczył niesamowitą bliskość księżycowego horyzontu.

Ale to był tylko najbardziej przelotny widok z możliwych. Kiedy już otwierał usta, aby zaryczeć w proteście, poczuł narastające, dziwnie uspokajające pchnięcie przyspieszenia, osiągające wartość pełnego ziemskiego g.

Krajobraz księżycowy, został wyrwany spod statku. Nie odleciał do tyłu. Statek wcale nie wydawał się wznosić. To sam Księżyc zmniejszył się i zniknął jak przekłuta bańka. Szybkość jego zniknięcia nie była -- szczególnie nie była -- dopasowana do wznoszenia z jednym przyspieszeniem ziemskim, zastosowanego w jednej szóstej grawitacji Księżyca.

Głośnik zakrztusił się i umilkł. Cochrane wydał z siebie ryk, który rozpoczął, zanim rozpoczęło się zwiększone przyspieszenie. Było to już jednak bezcelowe. Przez port na burcie, widział gwiazdy. Nie były one już nieruchome, niezmiennie i mrugające, takie jak wydawały się z Księżyca. Te gwiazdy zdawały się niespokojnie poruszać, przez cały czas w szybkim tempie, przesuwając się lekko między sobą, jak różnokolorowe jasne plamki, unoszące się na wietrze.

Jones powiedział zaangażowanym tonem:

– A teraz spróbujemy dopalacza.

Przerzucił inny przełącznik. I znów usłyszeli trwający mgnienie oka huczący odgłos, który nie do końca był odgłosem. Było to w zasadzie przelotne wrażenie, które wydawało się przebiegać przez całe ciało. Trwało tylko niewielki ułamek sekundy, ale w trakcie gdy trwało, gwiazdy widoczne za portami na burtach, przestały być gwiazdami. Zmieniły się w cienkie linie światła, przez cały czas przesuwające się w kierunku rufy statku, ale z różną prędkością. Niektóre z nich zostały z tyłu, wychodząc z zasięgu wzroku. Niektóre z nich poruszyły się tylko troszeczkę. Ale wszystkie się przesunęły.

Potem stały się ponownie małymi punkcikami światła, niezliczonych barw i kolorów, wszystkich możliwych do rozróżnienia poziomów jasności, poruszającymi się i przesuwającymi przez cały czas względem siebie.

– Niech to diabli! – zawołał Cochrane, wściekłym tonem.

Jones odwrócił się w jego stronę. Ale w tym momencie Jones nie miał już pokerowej twarzy. W najmniejszym stopniu. Wyglądał nawet na zadowolonego. Potem na jego twarz z powrotem nasunęła się maska opanowania.

– To działa – stwierdził łagodnie.

– Wiem, że to działa! – wyrzucił z siebie Cochrane. – Ale... gdzie my jesteśmy? Jak daleko zalecieliśmy?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odparł Jones, równie łagodnym tonem, jak poprzednio. – Czy to istotne?

Cochrane popatrzył na niego gniewnym wzrokiem. Potem zrozumiał, jak beznadziejnie za późno jest już, aby przeciwko cemukolwiek protestować.

Człowiek, który jak widział wcześniej, zajęty był obsługą sterów, teraz zdjął już ręce z pulpitu. Rakiety umilkły. Zapanowała ogromna cisza i zupełna nieważkość. Cochrane nie ważył nic. Znowu lecieli lotem swobodnym -- tak jak praktycznie przez niemal całe dziewięćdziesiąt parę godzin, podczas lotu z platformy kosmicznej na Księżyc. Pilot zostawił stery i w do świadczonym okiem wyglądał przez port po przeciwnej stronie pomieszczenia. Popatrzył na zewnątrz, potem obejrzał się do tyłu i stwierdził z tonem zaskoczonych satysfakcji w głosie:

– Dobrze wieści!... Jest gwiazda!

– Jak daleko? – spytał go natychmiast Jones.

– Jest piątej wielkości – odparł pilot szczęśliwym głosem. – Naprawdę, wygraliśmy los na loterii!

Jones momentalnie znowu zaczął wyglądać na zadowolonego. Cochrane spytał tonem, który nawet jemu samemu wydał się urażony.

– O co wam chodzi z tą gwiazdą piątej wielkości, którą tam widzicie? Co u diabła się stało?

– Dopalacz – powiedział Jones niemal z entuzjazmem. – Kiedy pole służyło tylko do przyspieszania promieniowania, wykorzystywałem czterdzieści miliamperów na każdy centymetr kwadratowy płyty pola. To była siła pola, przy której wysłałem rakietę sygnałową przez krater. Podczas testu torpedy alarmowej, podniosłem siłę pola o stopień w górę. Użyłem jednej dziesiątej ampera na centymetr kwadratowy. Mówiłem ci przecież! Nie pamiętasz tego, jak zastanawiałem się, co się stanie jeżeli użyję systemu pojemnościowego kumulowania ładunku?

Cochrane przytrzymał się mocno uchwytu.

– Im więcej energii wlejesz do tego swojego piekielnego pola – domyślał się, – tym większą szybkość uzyskasz?

Jones odparł z zadowoleniem:

– Są pewne ograniczenia. Zależą one od temperatury znajdujących się w polu obiektów. Ale wzmocniłem pole mniej więcej w taki sposób, jak urządzenie do spawania punktowego. Albo lampę stroboskopową. Wystartowaliśmy na lekkim polu. Działa ono do tej chwili. Zostawiliśmy je włączone. Ale zdobyłem parę ładnych kondensatorów o dużej pojemności. Połączyłem je równolegle, tak by uzyskać chwilowy skok prądu o wysokim amperażu, kiedy zwarłem je przez cewki wytwarzające pole. Nie mogłem utrzymać w ten sposób stałego natężenia przez dłuższy czas. Wszystko by

wybuchło! Ale uzyskałem na chwilę skok o wysokości prawdopodobnie około sześciu amperów, na każdy centymetr kwadratowy.

Cochrane przełknął ślinę.

– Pole było sześćdziesiąt razy silniejsze, niż to użyte podczas próby torpedy alarmowej? Lecieliśmy -- lecimy -- sześćdziesiąt razy szybciej?

– Nabraliśmy jeszcze większej szybkości! – Ale wtedy entuzjazm Jonesa nieco opadł. – Nie miałem czasu, aby to sprawdzić – oznajmił nieszczęśliwym tonem. – To jest jedna z rzeczy, które chcę bezzwłocznie ustalić. Ale teoretycznie pole powinno modyfikować efekt bezwładności w czwartej potęgze swojej siły. Sześćdziesiąt do potęgi czwartej wynosi...

– Jak daleko – dopytywał się Cochrane, – położona jest Proxima Centauri? To najbliższa gwiazda od Ziemi. Jak dużą część tej odległości udało nam się pokonać?

Pilot po drugiej stronie sterówki, powiedział ze śladem nieco mniejszego entuzjazmu niż poprzednio.

– To tam w górze, wygląda jak Syriusz...

– Nie lecieliśmy w stronę Proximy Centauri – łagodnie stwierdził Jones. – Jest za blisko! No i musieliśmy utrzymywać płytę pola zostawioną na Księżycu w jednej linii z nami, przynajmniej w przybliżeniu, tak więc skierowaliśmy się mniej więcej w kierunku osi Księżyca. W stronę wskazywaną przez jej północny biegun.

– W którą stronę więc zmierzamy? Gdzie my właściwie lecimy?

– Tak na razie, to nie lecimy jeszcze nigdzie – odparł Jones obojętnym tonem. – Musimy się dowiedzieć gdzie jesteśmy, a potem...

Cochrane przeczesał ręką przez włosy.

– Posłuchaj! – zaprotestował. – Kto kieruje tym show? Nie powiedziałeś mi nawet, że masz zamiar wystartować! Nie podałeś żadnego miejsca docelowego! Nie...

Jones wyjaśnił z dużą cierpliwością:

– Musimy wypróbować statek. Musimy wiedzieć jak szybko leci, przy danej sile pola, i danej mocy ciągu rakiet. Musimy się dowiedzieć jak daleko zalecieliśmy, i czy poruszaliśmy się po linii prostej. Musimy nawet opracować jakiś sposób na lądowanie! Ten statek, to zupełnie nowe urządzenie. Nie możemy przy jego pomocy czegoś osiągnąć, nie wiedząc co on jest w stanie zrobić.

Cochrane przez chwilę gapił się na niego. Potem przełknął ślinę.

– Rozumiem – powiedział w końcu. – Dział finansowo-biznesowy Spaceways, Inc. na razie zrobił już co do niego należało?

Jones skinął głową.

– Teraz pałeczkę przejmuje zespół techniczny?

Jones ponownie przytaknął.

– Ciągłe jednak wydaje mi się – stwierdził Cochrane, – że moglibyśmy wprowadzić nieco więcej współpracy międzywydziałowej. Jak długo potrwa, zanim zorientujesz się, co się tu dzieje?

Jones pokręcił przecząco głową.

– Nie ośmielam się nawet przypuszczać. Poproś Babs, żeby przyszła tutaj, do nas, dobrze?

Cochrane uniósł ręce do góry. Ruszył w stronę spiralnych schodków z poręczami, prowadzących na dół. Zszedł do głównego salonu. Po drugiej stronie pomieszczenia, migotało przyćmione zielone światło. Przy małym pulpicie, siedziała tam Babs. Z tego co Cochrane widział, z profesjonalną sprawnością naciskała przyciski jakiegoś urządzenia. W znajdującym się przed nim fotelu z plecionych pasów siedział Holden, a na jego twarzy bez trudu można było dostrzec zielonkawy odcień.

– Wystartowaliśmy? – spytał Holden z wyraźnym napięciem w głosie.

– Zgadza się – odparł Cochrane. – A z miejsca do którego dotarliśmy, Słońce jest gwiazdą piątej wielkości... przy czym nie jest to żadne szczególne miejsce. Ponadto właśnie się dowiedziałem, że wystartowaliśmy na chybił trafił, a Jones i pilot, którego zabrał, ze szczęściem w duszy mają zamiar oddać się teraz badaniom naukowym.

Holden zamknął oczy.

– Jeżeli chcesz mnie pocieszyć – oznajmił słabo, – to powiedz mi, że właśnie za chwilę mamy się o coś roztrzaskać i ten straszny lot wkrótce się skończy.

Cochrane gorzko wyrzekął:

– Startować bez określonego celu! Pozwolić Babs, żeby leciała z nami! Oni nawet nie wiedzą, jak daleko polecimy, ani gdzie zalecimy! To piekielnie głupi sposób prowadzenia biznesu!

– A kto tu mówi o biznesie? – spytał Holden, równie słabo jak poprzednio. – To wszystko rozpoczęło się jako kuracja psychiatryczna!

Z boku salonu, gdzie za ekranem wizyjnym i mikrofonem siedziała Babs, doleciał jej głos. Mówiła profesjonalnym tonem:

– Zapewniam pana, że to prawda. Jesteśmy z panem połączeni przez pole Dabneya, w którym promieniowanie porusza się dużo szybciej niż światło. Czy kiedy był pan małym chłopcem, nie rozciągał pan sznurka między dwiema puszkami, aby potem po nim rozmawiać?

Cochrane stanął obok, groźnie na nią spoglądając. Uniosła na niego wzrok.

– To ludzie z agencji prasowej na Lunie, panie Cochrane. Widzieli nas, jak startowaliśmy, a następnie radar zweryfikował, że przelecieliśmy jakieś sto tysięcy mil, aby później po prostu zniknąć! Nie rozumieją w jaki sposób mogą z nami rozmawiać bez żadnego opóźnienia czasowego, nawet tak niewielkiego jak między Ziemią i Lunar City. Właśnie im to wyjaśniałam.

– Zajmę się tym – powiedział Cochrane. – Jones chce, żebyś przyszła do sterówki. Aparaty fotograficzne i kamery? Kto zajmuje się robieniem zdjęć?

– Pan Bell – szybko odparła Babs. – To jest jego hobby, obok gry w pokera i dzieci.

– Powiedz mu, żeby zrobił kilka ujęć tych pól gwiazdnych wokół nas – polecił jej Cochrane, a potem możesz zobaczyć, czego chce Jones. Ja zajmę się interesami!

Usiadł w fotelu, który zwolniła Babs. Znalazł się twarzą w twarz z dwoma reporterami z agencji prasowej, widocznymi na ekranie. Widzieli start statku. Został potwierdzony ponad wszelkie wątpliwości.

Kierunkowy przekaźnik mikrofalowy na Ziemię, pracował na pełnej mocy, transmitując sprawozdania z Laboratorium Księżycowego, które z niepokojem potwierdzało, że uratowany przez Spaceways, Inc. statek wystartował z trudnym do uwierzenia przyspieszeniem. Ale astronomowie twardo obstawali, że statek i jego zawartość musieli w nieunikniony sposób ulec zniszczeniu, na skutek wstrząsu wywołanego startem. Przeciężenie musiało być tak wielkie, jak przy wstrząsie meteoru uderzającego w Księżyc.

– Jeżeli panowie macie ochotę, możecie sobie uważać mnie za anioła – powiedział im Cochrane. – A co z oświadczeniami Dabneya?

Człowiekowi z agencji prasowej, znajdującemu się na Księżycu, wyrwało się z ust pierwsze przekleństwo, jakie kiedykolwiek poruszało się z prędkością większą od światła.

– Wszystko, co on potrafi powiedzieć – dziko wywarczał, – to tylko jakim cudownym jest człowiekiem! Zgadza się z Obserwatorium, że wszyscy musieli zginąć. Dokładnie tak powiedział. Czy możecie dać nam jakiś dowód, że żyjecie i że jesteście kosmosie? Jakiś wizualny, możliwy do przetransmitowania?

W tym momencie cała konstrukcja statku kosmicznego lekko drgnęła. Nie było żadnego odgłosu pracy rakiet. Statek zdawał się lekko skręcać, ale to wszystko. Nie było grawitacji. Nie było przyspieszenia. Było to osobiście nieprzyjemne odczucie, nakładające się na dyskomfort nieważkości.

Cochrane odparł sardonicznie:

– Jeżeli nie wystarczą panom moje słowa, że ciągle jestem przy życiu, to spróbuję dostarczyć wam pewnych dowodów! Hmm. Wyślę panom nieco obrazów otaczających nas pól gwiazdnych. Prześlijcie je panowie do obserwatoriów na Ziemi, i niech oni sami wyliczą gdzie jesteśmy! Przemieszczenia względnych pozycji gwiazd, powinny pozwolić im określić takie rzeczy!

Wstał i odszedł od pulpitu komunikacyjnego. Siedzący w swoim fotelu z plecionych pasów Holden nadal wyglądał na zielonkawego. Poza nimi, w głównym salonie nikogo nie było. Cochrane ostrożnie pokonał drogę do schodków prowadzących na dół. Zrobił krok w powietrze i zaczął schodzić, przeciągając się za poręcz.

To był salon-jadalnia. Ponieważ statek był budowany w celu zrobienia wrażenia na inwestorach, został bogato wyposażony w różnego rodzaju dekoracje i bajery. Ale jako że miał jednak wystartować z Ziemi na Księżyc i musiał wytrzymać przyspieszenie naprawdę wielu g, trzeba było zbudować go w rozsądnie solidny sposób. Stanowił on, w gruncie rzeczy, przykład dobrej roboty stoczniowej, wykonanej w celu lipnej promocji. Było jednak parę różnych bajerów, które można było sobie darować. Wychodzące na próżnię porty widokowe, raczej nie były praktycznym rozwiązaniem. Tym niemniej obecnie wszyscy, poza Holdenem i dwoma ludźmi w sterówce zebrali się przy tych portach, wyglądając na zewnątrz i patrząc na gwiazdy. Byli tutaj Jamison, pisarz Bell, oraz Johnny Simms wraz z żoną. Babs również tu była, ale przed chwilą gdzieś odeszła.

Bell zajmował się obsługą aparatu. Kiedy Cochrane podszedł do niego, aby mu powiedzieć, że będzie potrzebował zdjęć gwiazd, aby udowodnić czekającej planecie, że ciągle pozostają przy życiu, Johnny Simms odwrócił się i go zauważył. Wyraz jego twarzy był przyjazny i pozbawiony cienia niepokoju.

– Cześć – przywitał się radośnie Johnny Simms.

Cochrane szorstko skinął głową.

– Kupiłem udziały Westa w Spaceways – z rozbawieniem oświadczył Johnny Simms, – ponieważ chcę lecieć z wami. W porządku?

– Tak też słyszałem – odparł Cochrane, równie szorstko jak wcześniej.

– West mówił – radośnie kontynuował Johnny Simms, – że leci na Ziemię i walnie Kurstena, Kastena, Hopkinsa i Fallowe, każdego po kolei, w jego paskudny nos, a potem pojedzie do Południowej Karoliny i do końca życia zajmować się będzie połowem jadalnych małży.

– Zrozumiała ambicja – stwierdził Cochrane. Zmarszczył brwi, czekając aż będzie mógł porozmawiać z Bellem, który przez piekielnie długie chwile, zajęty był ustawianiem ostrości aparatu, na obraz poza portem.

– Najlepsze będzie kiedy spróbuje zrealizować mój czek – z zachwytem oznajmił Johnny Simms. – Wstrzymałem jego płatność, ponieważ nie chciał zapłacić rachunku za parę drinków, na które go zaprosiłem!

Cochrane zmusił swoją twarz do zachowania niewzruszonego wyrazu. Johnny Simms już taki był, rozumiał to. Charakteryzował się przecież psychopatyczną osobowością. Był zupełnie nieczuły na kwestie etyczne. Idee dobra i zła były dla niego tak kompletnie nieznaczące, jak wysokość tonu dla człowieka o dębowym uchu, czy też odcienie pastelów dla daltonisty. Po prostu ich nie rozróżniał. Jego umysł był zupełnie normalny, i mógł być czarującym towarzyszem. Był w stanie doświadczać najlepszych emocji i odczuwać najbardziej szlachetne impulsy, które wprowadzał w życie. Miał jednak również zupełnie normalne ludzkie impulsy do mniej chwalebnych zachowań, i po prostu nie potrafił zrozumieć, że była jakaś różnica między nimi. Tak więc wprowadzał w życie również i te niezbyt miłe. Przebywał na Księżycu, żeby uniknąć ekstradycji, z powodu pewnych swoich impulsów z przeszłości, które społeczeństwo określało jako mordercze. Na tym statku, jeszcze nie doświadczonego tego, co był w stanie zrobić – ale ponieważ technicznie był człowiekiem normalnym, jego prawnicy mogliby przeciągać moment startu, chyba że poleciałby razem z nimi. Cochrane, w chwili obecnej, czuł impuls do wyrzucenia go przez śluzę, jako możliwe niebezpieczeństwo. Cochrane nie był jednak psychopatyczną osobowością.

Przerwał Bellowi jego sesję fotograficzną i obejrzał pierwsze zdjęcia. Były doskonałe. Wrócił więc do zestawu wizyjnego, aby przetransmitować je z powrotem na Księżyc. Wysłał je. Miały zostać przekazane obserwatoriom na Ziemi i tam dokładnie sprawdzone. Dosłownie mówiąc, nie mogły one zostać sfalszowane. Na każdym zdjęciu znajdowały się tysiące gwiazd – w niektórych przypadkach z Drogą Mleczną, w tle – i każda z tych tysięcy gwiazd mogła zostać zidentyfikowana, każda z nich zmieniała swoją względną pozycję, w odniesieniu do wszystkich pozostałych gwiazd, w stosunku do tej widocznej z Ziemi. Astronomowie mogli określić

miejsce, z którego zostały zrobione zdjęcia. Ale sfalszowanie ich, tak by przesunięcia gwiazd, odpowiadały dokładnie jednemu punktowi w przestrzeni, wymagałoby całych lat obliczeń i niemal z pewnością zakończyłoby się powstaniem w niektórych miejscach błędów. Te zdjęcia stanowiły niepodważalny dowód, że ekspedycja dotarła do takiego miejsca w kosmosie, o którym wcześniej ludzkość nie mogła nawet marzyć.

Potem Cochrane nie miał już nic więcej do roboty. Był nadmiarowym członkiem załogi. Pilot i Jones odpowiadali za statek. Jamison zajmował się kuchnią, kiedy nadchodziła pora posiłku. Prawdopodobnie Alicia Kemp... nie, Alicia Simms... mu pomagała. Nic innego nie wymagało jakiejś specjalnej uwagi. Rakiety albo działały, albo nie. Aparatura do uzdatniania powietrza, nie potrzebowała nadzoru. Cochrane znalazł się bez żadnej funkcji.

Nie mogąc znaleźć sobie żadnego miejsca, poszedł z powrotem do sterówki. Zobaczył, że Babs stoi z bezradną miną, a Jones wpatruje się pustym wzrokiem w trzymany w rękach skrawek papieru. Pilot znajdował się ciągle przy bańkowatym porcie, wpatrując się w gwiazdy przez jeden z tych krótkich, grubych teleskopów, wykorzystywanych na Księżycu do obserwacji planet.

– Jak idą badania? – spytał ich Cochrane.

– Mamy problem – zbolalym głosem oznajmił Jones. – Czegoś zapomniałem.

– Czego?

– Zawsze kiedy czegoś potrzebowałem – odparł Jones, – zapisywałem to sobie i wysyłałem notatkę Babs. Ona się tym zajmowała.

– Mój system, dokładnie – przyznał Cochrane.

– Napisałem dla niej notatkę – nieszczęśliwym głosem kontynuował Jones, – prosząc o mapy gwiazd, oraz aby znalazła kogoś kto przygotuje system astrogacji poza Układem Słonecznym. Wcześniej nikt sobie tym nie zwracał głowy. Nikt przecież nigdy nie doleciał nawet do Marsa! Ale zdawałem sobie sprawę, że będziemy tego potrzebować.

Cochrane czekał. Jones pokazał mu pognieciony skrawek papieru, cały zapisany drobnym maczkiem.

– Napisałem notatkę i wsadziłem ją do kieszeni – powiedział Jones. – A potem zapomniałem dać ją Babs. A więc, nie możemy prowadzić astrogacji. Nie wiemy jak. Nie mamy ani żadnych map gwiazd, ani instrukcji. Zgubiliśmy się.

Cochrane czekał dalej.

– Najwidoczniej Al mylił się, co do gwiazdy, którą brał za nasze Słońce – dodał Jones. Mówił o pilocie, którego Cochrane nigdy wcześniej nie widział. – I tak zresztą nie możemy jej znaleźć. Obróciliśmy statek, aby przyrzeć się kilku kolejnym gwiazdom, i nie możemy jej z powrotem odszukać.

Cochrane stwierdził:

– Oczywiście, będziecie szukać dalej?

– Po co? – spytał go Jones.

Machnął ręką, wskazując gestem poza cztery równo rozmieszczone plastikowe bańki portów widokowych. Z miejsca w którym stał, nawet

przez te cztery małe otwory, Cochrane widział tysiące tysięcy gwiazd. Miały one wszystkie możliwe do wyobrażenia kolory i stopnie jasności. Droga Mleczna wyglądała jak błyszcząca diamentowa wstęga.

– Wiemy, że nasze Słońce, to żółta gwiazda – stwierdził Jones, – ale nie wiemy jaką powinno mieć jasność, z miejsca w którym się znajdujemy, ani jak powinno wyglądać niebo za nim.

– Gwiazdozbiory? – spytał Cochrane.

– Znajdź je, proszę! – zawołał rozdrażniony Jones.

Cochrane nawet nie próbował. Jeżeli pilot raket księżycowych nie potrafił dostrzec znajomych grup gwiazd, to doprawdy mało prawdopodobne, aby znalazł je producent telewizyjny. A kiedy już się o tym pomyślało, to stawało się oczywiste, że najjaśniejsze gwiazdy widoczne z Ziemi, w większości przypadków były tymi najbliższymi. Jeżeli Jones nie mylił się co do swoich domysłów, i dopalacz zwiększył szybkość statku o sześćdziesiąt do potęgi czwartej razy, to przez krótki czas lecieli ładnych parę milionów razy szybciej od torpedy alarmowej (tak właściwie współczynnik ten wynosił ponad dziewiętnaście milionów razy). A przecież akurat tak się stało, że nikt nie był w stanie zmierzyć szybkości tego obiektu testowego.

Cochrane nie był matematykiem, ale widział że nie mieli danych niezbędnych do obliczeń. Po określeniu jak dużą prędkość może nadać statkowi przyspieszenie o wartości jednego ziemskiego g , w polu Dabneya o takiej to a takiej sile, będzie można przeprowadzać coś w rodzaju wyliczeń z góry. Ale jedyne, co wiedzieli teraz, to tylko to, że pokonali bardzo daleką drogę.

Przypomniawszy sobie jedno z wyprodukowanych przez siebie show telewizyjnych umiejscowione w kosmosie, podczas wyimaginowanej podróży. Scenarzysta kazał powiedzieć jednej z postaci, że w odległości stu lat świetlnych od Układu Słonecznego, nie będzie widać żadnej z konstelacji. Byłoby to podobne do próby znalezienia przez kanarka okna z którego uciekł, bez żadnych wspomnień dotyczących lotu z niego.

Cochrane nagle stwierdził, zadowolonym tonem:

– To całkiem niezły numer -- jeżeli uda nam się utrzymać ten pomysł w tajemnicy przed innymi, na Ziemi. Będziemy mieli zupełnie nowy program, nadający się przynajmniej na trzynastotygodniowy serial, tylko na ten temat!

Babs wpatrywała się w niego ze zdziwieniem.

– Główne miejsce akcji, to ta sterownia – kontynuował entuzjastycznie Cochrane. – Na Ziemi załatwimy jakiegoś naukowca o długiej brodzie, z panelem ekspertów. Będziemy tam dyskutować nasze problemy! Będziemy latać coraz dalej od domu, analizując całe to przedsięwzięcie na antenie! Uzyskamy rekordową identyfikację widowni z nami! Wszyscy na Ziemi będą się czuli, jakby byli tutaj razem z nami, dzieląc nasze problemy!

Jones zawołał wyraźnie zirytowany:

– Człowieku, czy ty nie rozumiesz, co ci powiedziałem? Zgubiliśmy się! Nie możemy wyznaczyć naszej szybkości, nie wiedząc gdzie jesteśmy i jak

długą drogę pokonaliśmy! Nie możemy określić co statek ma zrobić, dopóki nie określimy, co zrobił wcześniej! Czy tego nie rozumiesz?

Cochrane odparł cierpliwie:

– Wiem! Ale jesteście w kontakcie z Księżycem, przez pole Dabneya, które nas tutaj przyniosło! Transmitowaliśmy już przecież wcześniej promieniowanie, z prędkością większą od szybkości światła. Teraz transmitujemy głos i obraz. Tak więc możemy zorganizować show telewizyjne, które opłaci naszą astrogację, i pozwoli światu uczestniczyć w przyjemniejszych aspektach naszych podróży. Hmm... Ile czasu zajmie ci, zanim znajdziesz jakąś planetę, na której będziemy mogli wylądować, po tym jak otrzymasz wszelkie wskazówki nawigacyjne od -- powiedzmy -- czterech najlepszych obserwatorów astronomicznych na Ziemi? Zaraz zorganizuję jakiegoś sponsora...

Cały szczęśliwy, ruszył schodami na dół. Schodki były spiralne i kiedy schodził na niższy pokład, z energią kręcił się na kolejnych zakrętach. Po zejściu na dół, zawołał do Babs:

– Babs! Znajdź mi Bella i Alicję Keith! Ty sama też przyjdź z nimi, będziesz zapisywać! Będę potrzebował paru świadków, do największego interesu w historii reklamy, robionego z prędkością kilkakrotnie większą od szybkości światła!

I ochoczo podszedł do komunikatora, aby wszystko zaaranżować.

Mijał czas. Z Ziemi dotarły dane, które od ręki rozwiązały problem Jonesa i pilota, odnośnie tego gdzie się znajdowali i jak daleko dolecieli -- było to, dokładniej mówiąc, 178.3 roku świetlnego -- i obaj spędzili kolejną godzinę na wykonywaniu pewnych testów dotyczących następnych spraw, które musieli ustalić. Potem zaś podjęli decyzję odnośnie miejsca docelowego.

Zatrzymali się w kosmosie, aby wyrzucić przez śluzę powietrzną mały pakunek, który rozszerzył się do wielkości czterdziestostopowego plastikowego balonu, z przymocowaną do niego miniaturową baterią atomową. Tworzywo balonu było przewodnikiem elektrycznym. Stanowiło ono płytę pola Dabneya. Przejęło ono strumień pola prowadzący z Ziemi i utrzymywało je. Tworzyło przy tym drugie pole, które utrzymywać miał statek. Tak więc statek, w dalszej drodze od balonu, mógł odlecieć pod dowolnym kątem od poprzedniego kierunku. Pole Dabneya ciągnęło się przez próżnię, od Księżyca na odległość 178.3 roku świetlnego do balonu, a następnie w dowolną pożądaną stronę do statku.

Rakiety statku ponownie go pchnęły -- i do gry wkroczył obwód dopalacza. Na miejscu trzeba było wykonać parę manewrów. W kosmosie umieszczony został drugi balon.

O godzinie 8:30 Czasu Środkowych Stanów Zjednoczonych w okresie oddanym przez innych reklamodawców -- a właściwie wykupionym od nich -- na antenie pojawił się nowy program. Było to półgodzinne show, sponsorowane przez Intercity Credit Corporation -- „Kupuj na Kredyt Gwarantowany” -- z dziesięcioma minutami reklam, podzielonymi na cztery części. Było to najdrożej wycenione dla reklamodawców show, jakie kiedykolwiek zostało wyemitowane w eter. Pokazywało ono wnętrze pomieszczeń sterowniczych statku, ze sporadycznymi krótkimi

przełączeniami na różne ważne osoby na Ziemi, komentujące to, co zostało przekazane z odległych regionów niebios.

Pierwsza transmisja zapewniła sukces programu, ponad wszelkie możliwe wątpliwości. Rozpoczęło się od zwięzłej rozmowy między Jonesem i pilotem, Alem -- Jones brał w tym udział z wyraźnym wstrętem, ale okazało się, że Ałowi bardzo się to spodobało -- na temat problemów zbliżania się do nowego układu gwiazdnego. Cięcie i trochę obliczeń, z Ziemi. Powrót do sterówki statku międzygwiazdnego. Obrazy miejscowego słońca, komentarze o jego odmienności, od gwiazdy, która żywiła ludzką rasę od samego początku jej dziejów.

Potem kamery -- zajmował się nim Bell -- wyrzały przez bańki portów, pod spód statku. Na dole była planeta. Statek schodził w jej kierunku. W miarę jak zbliżali się do niej, planeta wyraźnie się rozrastała. Cochrane trzymał się z tyłu kamery i działał jako reżyser oraz producent całego dzieła. Wykorzystał nawet Johnny'ego Simmsa, jako głos spoza kadru, powtarzający władczy tonem słowa komend. Wszystko to było oklepane. Nie było co do tego najmniejszej wątpliwości. Miało to w sobie dużą zawartość szpanu.

Tym razem jednak, było to absolutnie autentyczne. Statek naprawdę dotarł do innej planety, z potężnymi czapami lodowymi i, jak się wydawało, pasem równikowym o szerokości nie więcej niż dwudziestu stopni, w którym nie panowało całkowite zlodowacenie. Rakiety ryczały i huczały, w miarę jak statek przebijał się przez warstwy chmur.

Widownia telewizyjna, znajdująca się na dalekiej Ziemi, oglądała nową planetę niemal w tej samej chwili, co załoga statku. Opóźnienie czasowe przekazywanego obrazu, wynosiło zaledwie około trzech sekund, na dystansie 203.7 roku świetlnego.

Powierzchnia planety wyglądała na dziką i wręcz niemal nie do uwierzenia dramatyczną. Można było na niej znaleźć doliny, gdzie rosła bujna roślinność. Gdzie indziej widać było łańcuchy pokrytych czapami śniegu gór, wdzierających się w pas równikowy. Z ich zboczy spływały masy bieli, w których, w miarę jak statek obniżał swój lot, można było rozpoznać lodowce, pełzające w dół, w stronę roślinności.

Kiedy jednak statek opadał coraz to niżej i niżej -- a odgłos pracy jego silników rakietowych stawał się coraz potężniejszy, z powodu gęstniejącej atmosfery -- główne miejsce w charakterystyce opisującej istotę badanej planety, zajęła zupełnie nowa cecha.

Planeta miała charakter wulkaniczny. Niemal wszędzie widać było dymiące stożki -- pośrodku śnieżnych pól, pomiędzy czapami lodu, nawet na tych skłębionych obszarach, na których zieleń dowodziła, że panowały tam warunki, być może niebezpieczne, ale gdzie możliwy był bujny rozwój życia.

Statek kontynuował schodzenie, zmierzając w kierunku zielonego lasu, w pobliżu moreny czołowej lodowca.

VI

Kiedy statek schodził coraz niżej, Jamison wygłaszał do założonego na gardło mikrofonu przygotowany na poczekaniu tekst. Robił to ze swadą i energią, podobnie jak Bell filmujący wszystko kamerą. Audycja naprawdę robiła wrażenie. Silniki rakietowe ryczały. W miarę jak powietrze wokół statku gęstniało, trudno było wręcz, odgłos ich pracy określić jako zwykły huk. Generowały zgiełk tak wielki, że brzmiał on jak ryk gromu, jak gdyby znajdowali się w środku gigantycznej burzy z piorunami. Hałas był niemal paraliżujący. Jamison jednak mówił z profesjonalną gładkością.

– Ta planeta – perorował, komentując obraz z kamery Bella, idący prosto do znajdującego się na dole statku nadajnika, – ta planeta, to pierwszy glob poza Ziemią, na którym ma wylądować ludzki statek. To paradoksalne, że zanim ludzie stanęli na czerwonych od tlenku żelaza równinach Marsa, i odetchnęli jego rzadkim i zimnym powietrzem, albo stoczyli walkę o życie w formaldehydowych wichurach Wenus, ich wzrok spocznie na powierzchni planety, która wita ich z nieskończonej ogromnej odległości. Tutaj lądujemy, a cała ludzkość może oglądać to lądowanie, na globie posiadającym zieloną roślinność; którego lodowce dowodzą, że jest na nim mnóstwo wody i powietrza; którego intensywnie dymiące wulkany upewniają nas, że jest on blisko spokrewniony z Ziemią!

Uniósł mikrofon z gardła i uformował wargami słowa: „*Czy jestem nadal na antenie?*”. Cochrane skinął głową. Cochrane miał na głowie słuchawki, w których słyszał wszystko co szło przez komunikator, w miarę przesyłania transmisji, przez ustawiony w łamaną system przekazywania pola Dabneya, prowadzący z powrotem do Lunar City, a następnie na Ziemię. Przystawił wargi do ucha Jamisona.

– Mów dalej! Kiedy twój głos urwie się na zakończenie, będzie to najlepszy możliwy koniec wejścia. Niepewność. Dobra telewizja!

Jamison puścił mikrofon, pozwalając mu opaść z powrotem na skórę szyi. Ryk rakiet przeszkadzałby mu tylko wtedy, gdyby gardło również zaczęło mu wibrować od ich hałasu. Nawet wtedy i tak jego głos powinien się zarejestrować.

– Widzę – mówił Jamison przez grzmot rakiet, – lasy pełne gigantycznych drzew, podobnych do sekwoi z Matki Ziemi. Widzę rwące rzeki, pieniące się w skalistych korytach mające swoje źródło w lodowcach. Jesteśmy ciągle za wysoko, aby szukać żywych stworzeń, ale szybko schodzimy coraz niżej. Obecnie znajdujemy się na wysokości najwyższych łańcuchów górskich. Schodzimy już poniżej ich dymiących wierzchołków. Pod nami rozciąga się ogromna dolina, szeroka na wiele mil, długa na kilkanaście kilometrów. Tutaj mogłoby zostać zbudowane miasto. Ponad doliną wyłaniają się gigantyczne iglice gór, jest ona cała

pokryta zielenią. Można by pomyśleć, że gdzieś tutaj muszą znajdować się warowne zamki.

Uniósł brwi w stronę Cochrane'a. W tej chwili znajdowali się już daleko w atmosferze, a dobrze znany był pewien oczywisty feler -- warunek konieczny -- pola Dabneya, polegający na tym, że obie jego płyty powinny znajdować się w próżni. Jedna z nich z pewnością znajdowała się teraz w powietrzu. Cochrane jednak tylko wykonał gest, który w praktyce produkcji telewizyjnej, wykorzystywany był do informowania aktorów, że czas do cięcia mierzony jest w dziesiątkach sekund, oraz uniósł do góry dwa palce. Dwadzieścia sekund.

– My to widzimy i państwo widzą to razem z nami – mówił dalej Jamison. – Spoglądacie państwo na planetę, którą przyszłe pokolenia ludzi będą znały jako dom -- miejsce pierwszej ludzkiej kolonii pośród gwiazd!

Cochrane zaczął wystukiwać czas. Dziesięć, dziewięć, osiem...

– Zaraz będziemy podchodzili do lądowania – wydekłamał Jamison.
– Nie wiemy, co tutaj znajdziemy... A co to jest? – Zrobił dramatyczną pauzę. – Żywe stworzenie?... Czyżbym dostrzegał tam pod nami żywe stworzenie? Teraz już kończymy nasze wejście... z gwiazd!

Zakończenie było doskonale zharmonizowane w czasie. Biorąc pod uwagę trzysekundowy przedział czasu, niezbędny do osiągnięcia przez transmisję Księżyca, oraz mniej więcej kolejne dwie sekundy, na przekazanie jej na powierzchnię Ziemi, jego ostatnie słowo: „gwiazd!”, zostało wypowiedziane dokładnie w takim momencie, aby można było puścić czterominutową reklamę Intercity Credit w Stanach Zjednoczonych, Citroena w Europie, Fabricanos Unidos w Ameryce Południowej i Środkowej, oraz Near East Oil, na obszarze Śródziemnomorskim. Na koniec, po tych czterech minutach, zanim na antenie pojawią się kolejne programy, będzie jeszcze trochę czasu na wyświetlenie planszy identyfikacyjnej stacji, sygnału czasu i różnych ośmiosekundowych zapowiedzi.

Rakiety ryczały i grzmiały. Statek schodził coraz niżej. Jamison spytał go:

– Myślałem, że kiedy wejdziemy w atmosferę, to nas odetnie?

– Tak samo myślał również i Jones – zapewnił go Cochrane.

Zaryczał z całej siły, przekrzykując dochodzący z zewnątrz zgiełk:

– Bell! Widzisz tam na dole coś żywego?

Bell pokręcił przecząco głową. Nadal stał przy kamerze, wycelowanej na zewnątrz przez bańkę portu widokowego, chowając taśmę filmową do dalszego użytku. W międzyczasie pojawiło się już poczucie grawitacji. Tak właściwie, można było również wyczuć, że statek szybko zwolnił tempo swojego schodzenia.

Cochrane podszedł do portu. Statek nadal jednak kontynuował lot w dół.

– Żywe stworzenie? Gdzie?

Jamison wzruszył ramionami. Wykorzystał to tylko jako dobre zakończenie wejścia. Po prostu ekstrapolacja wynikająca z faktu, że tam na dole znajdowała się roślinność. Wyglądał przez port, lekko zniesmaczony, na szybko rozrastającą się pod nimi zieloną plamę. Był

typowym mieszczuchem. Dosłownie, nigdy wcześniej nie widział nadającego się do zamieszkania terenu, o tak olbrzymich rozmiarach, na którym nie byłoby żadnych domów. W dolinie, która spokojnie miała dziesięć mil długości i dwie mile szerokości, nie było widać nawet cała kwadratowego betonu, czy też szkła. Jak okiem sięgnąć nie było w ogóle żadnego obiektu stworzonego przez człowieka. Niebo było niebieskie i od czasu do czasu pojawiały się na nim chmury, ale dla Jamisona widok roślinności, podświadomie oznaczał kryjące się w niej wierzchołki dachów. Powinno być widać gzymsy, w miejscu gdzie dachy się kończyły, aby pozwolić światłu na dostęp do znajdujących się poniżej okien i ulic. Nigdy nie widział trawy, poza obszarami rekreacyjnymi, ani krzewów, nie zaaranżowanych tak, aby tworzyć odpowiedni krajobraz, a już z pewnością nie widział drzew, poza udomowionymi gatunkami, które mogły rosnąć na dachach budynków. Dla Jamisona było to dzikie pustkowienie. Na Księżycu brak budynków, był zupełnie zrozumiały. Nie było tam przecież powietrza. Ale w takim miejscu, po prostu powinno znajdować się miasto!

Statek lekko się kołysał, w miarę jak rakiety zmieniały nieznacznie kierunek wyrzucanych gazów, żeby zachować równowagę opadającej masy. Dawny statek marsjański zwalniał i zwalniał, aż w końcu zawisł nieruchomo... nagle wszędzie dookoła buchnęły straszliwe chmury dymu i strugi płomieni... a potem rozległ się odgłos odmienny od poprzednich, chrupiący dźwięk osiadającego metalu. Rakiety ciągle jeszcze płonęły, ale ich gwałtowność była już dużo mniejsza. Jeszcze bardziej osłabła. I jeszcze raz. Odgłosy ich pracy zmniejszyły się do zaledwie słabego pomruku.

Wszystkie rzeczy stały się niesamowicie nieruchawe. Był to wynik działania grawitacji. Siły ciężkości takiej jak na Ziemi, albo bardzo bliskiej tej wartości. Ludzie odbierali nowe dziwne wrażenie naporu stóp na podłogę i ogólne uczucie ciężkości ciała człowieka, tak bardzo odmienne od tego co pamiętali z Lunar City i jeszcze bardziej odmienne od warunków panujących podczas swobodnego lotu w próżni.

Za portami nic nie było widać, poza wirującymi kłębam dymu. Lądowali gdzieś w lesie, czy w jakimś podobnym miejscu, i płomienie odrzutu rakiety wypaliły wszystko co było pod statkiem, aż do litej skały. W promieniu czterdziestu jardów wokół statku, ziemia zmieniła się w masę dymiących i parujących popiołów. Ponad tym wszystkim strzelały żarłoczne języki ognia, tworząc jeszcze bardziej gęsty opar. Nawet w nieco większej odległości wszystko pokrywały zwijające się smugi dymu.

W słuchawkach Cochrane'a rozległ się głos Babs, niemal z łkaniem:

– *Panie Cochrane! Musieliśmy wylądować! Chciałabym to zobaczyć!*

Cochrane nacisnął przycisk ręcznego mikrofonu.

– Czy nadal jesteśmy połączeni z Lunar City? – dopytywał się. – Nie powinniśmy być, ale jesteśmy?

– *Jesteśmy* – głos Babs zabrzmiał buntowniczo. – *Transmisja poszła w najlepszym porządku. Chcą z panem rozmawiać. Wszyscy chcą z panem rozmawiać!*

– Powiedz im, żeby skontaktowali się później – polecił Cochrane. – Potem zostaw promień włączony -- niezależnie od tego jakim cudem on

działa! -- i możesz wejść na górę, jeżeli masz ochotę. Powiedz operatorowi na Księżycu, że nie będzie cię przez jakieś dziesięć minut.

Zajął się dalszym wyglądaniami przez okno. Al, pilot, siedział ciągle w swoim wyściełanym fotelu przez zestawem urządzeń sterujących silnikami rakietowymi. Rakiety ledwie się paliły. Statek stał tak jak wylądował, pionowo na swoich potrójnych płetwach ogonowych. W końcu powiedział do Jonesa:

– Wydaje się, że stoimy stabilnie. Nie przewrócimy się!

Jones skinął potwierdzająco głową. Odgłos pracy rakiet urwał się całkowicie. Nie działało się nic niepokojącego.

– Zdaje się, że mogliśmy oszczędzić paliwa przy tym lądowaniu – oznajmił Jones. Potem dodał, zadowolony: – Jak miło! Pole Dabneya ciągle działa! Musi być uruchamiane w próżni, ale wygląda, że kiedy jest już utworzone, to utrzymuje powietrze z dala od siebie. Naprawdę miło!

Babs przybiegła po schodkach na górę. Przez chwilę wyglądała z niecierpliwością przez port widokowy. Potem stwierdziła rozczarowanym głosem:

– To wygląda jak...

– To wygląda jak piekło – wszedł jej w słowo Cochrane. – Tylko dym, para i popiół. Miejmy nadzieję, że nie wzniciłszy pożaru w całym lesie, a tylko wypaliliśmy miejsce lądowania.

Wyglądali razem na zewnątrz. Potem przeszli do innego portu i wyglądali przez niego. Dym był irytujący, ale przecież można było się tego spodziewać. Rakieta księżycowa, lądująca w porcie kosmicznym na Ziemi, rozgrzewała w trakcie przyziemienia asfalt do czerwoności. Pojazdy załadunkowe musiały czekać aż ostygnie, zanim mogły do niej podejść. Tutaj, statek wylądował w terenie porośniętym drzewami. To naturalne, że podczas podejścia płomień odrzutu jego rakiet, wypaliły całe to miejsce. A dookoła pełno było łatwopalnych materiałów, które spowodowały pożar. Statek znalazł się więc w sytuacji feniksa, z konieczności gnieźdzącego się w płomieniach. Gdziekolwiek by nie wylądował, miałaby miejsce taka sama sytuacja, chyba że spróbowaliby lądować na lodowcu. Wtedy jednak usiedliby w jeziorze wrzącej wody, pośród kłębow pary, a po ostygnięciu lądowiska, należałoby oczekiwać, że wszystko dookoła zamarznie.

Teraz nic już zresztą nie mogli zrobić. Trzeba było poczekać. W pewnej chwili cały statek leciutko drgnął, tak jakby ziemia pod nim nieznacznie zadrżała. Nie było to jednak nic alarmującego.

Mogli już zobaczyć, że ten określony las złożony był głównie z dwóch rodzajów drzew, które płonęły w odmienny sposób. Jedne z nich miały centralny pień, palący się gwałtownym żywicznym płomieniem, dającym intensywny czarny i szaro-czarny dym. Drugi rodzaj, były to bardzo ciekawe rośliny -- miały solidny, masywny pień, który w ogóle nie dotykał ziemi, ale utrzymywany był w górze przez rosnące w powietrzu korzenie, które podpirały go od dołu, jak szeroko rozstawiony zestaw cienkich kołków. Być może cięższa część formowała się na ziemi i była unoszona w miarę rozrastania się nadziemnych korzeni.

A jednak było to w najwyższym stopniu irytujące, że ze statku nic nie mogli zobaczyć, dopóki na zewnątrz płonął ogień. Kłęby dymu unosiły się

przez długi czas. Po trzech godzinach nie było już widać żadnych gwałtownie płonących miejsc, ale popioły ciągle się tliły, a dym nadal unosił się w niebo. Po trzech i pół godziny miejscowe słońce zaczęło zachodzić. Na niebie pojawiły się kolorowe zorze, bez najmniejszych wątpliwości, wspaniałe. Co było zresztą dosyć logiczne. Kiedy Krakatau, na Ziemi, rozsadził się na kawałki, w dziewiętnastym wieku, wysłał w powietrze takie ilości pyłów, że jeszcze przez trzy lata po tym wydarzeniu, zachody słońca na całym globie były znacząco bardziej imponujące. Na tej planecie dymiące stożki, widać było niemal wszędzie. A więc pył wulkaniczny, uczynił nadejście nocy piękniejszym, nie do opisania. Widać było nie tylko złote i purpurowe cienie na zachodzie. Nawet sam zenit jarzył się na karminowo i żółto, a ci spośród obecnych na statku kosmicznym, którzy popatrzyli do góry, widzieli niebo jakiego nikt sobie nawet wcześniej nie wyobrażał.

Kolory zmieniały się bez końca, od żółci do złota, wszędzie na całym sklepieniu, i wspaniałe widowisko trwało nieprzerwanie. Wkrótce pojawiły się na nim głębokie, bardzo głębokie czerwienie, głębsze ponad wszelkie wyobrażenie, a nieco później niebo usiały niebieskawe malutkie gwiazdy. Wszyscy przyglądali się im, podziwiając nowe, obce gwiazdozbiory. Niektóre z nich były naprawdę jasne. A wokół statku rozciągała się ława białego popiołu, z błyszczącymi w niej ognikami żaru, zaś cienka warstwa białego dymu, ulatywała coraz dalej w głąb doliny.

Było już długo po zachodzie słońca, kiedy Cochrane wstał od komunikatora. Komunikacja z Ziemią w końcu uległa przerwaniu. Gdzieś w kosmosie znajdował się balon, z baterią atomową utrzymującą na jego powierzchni płytę pola Dabneya. Statek utrzymywał pole pomiędzy sobą, a tą płytą. Z kolei balon utrzymywał pole między nim, a kolejnym balonem, położonym w odległości tylko 178.3 lat świetlnych od Układu Słonecznego. Jednak substancja tej planety oddziaływała na pole pomiędzy statkiem i bliższym z balonów. Jones wykonał pewne testy i oznajmił, że pole ciągle istnieje, ale zostało niejaki „zatkane” przez materię planety, na której właśnie wylądowali. Jutrzejszego dnia, kiedy na drodze promieniowania nie będą stały solidne, skalne bariery, będą mogli znowu bez problemów komunikować się z Ziemią.

Cochrane jednak był zmęczony, a teraz również nieco zniechęcony. Dopóki rozmowa z Ziemią była możliwa, był nią bardzo zajęty. Było mnóstwo spraw do omówienia. Całkiem spora część z tych rozmów, była ekstremalnie niezadowolająca.

Znalazł Billa Holdena, jedzącego kolację z Babs, na poziomie poniżej komunikatora. Duża część ostatniej rozmowy, ciągle jeszcze dźwięczała w głowie Cochrane’a. Czuł się upokorzony oburzeniem naukowców, którzy nie chcieli powiedzieć mu tego co żądał, bez uprzedniej informacji, której nie potrafił im udzielić.

Kiedy podchodził do stołu, czuł że wręcz skrzypi ze zmęczenia i przygnębienia. Babs popatrzyła na niego z zatroskaniem, a następnie skoczyła aby przynieść mu coś do jedzenia. Wszyscy pozostali znowu wyglądali przez porty, na nową, obcą planetę, której widzieli jak na razie tyle co nic.

– Bill – oznajmił Cochrane płaczliwym tonem, – właśnie odarto moje życie z całego smaku! Ty możesz się spodziewać, że jutro rano wyjdiesz sobie przez służbę, i pójdziesz na spacer. Ale ja będę musiał rozmawiać z Ziemią. Zostałem ogłoszony diabłem, za wylądowanie na obcej planecie, nie mając ze sobą bakteriologa, specjalisty od chemii organicznej, ekologa, epidemiologa, oraz kompletnego laboratorium do testowania wszystkiego co się da, zanim ośmielimy się wręcz odetchnąć powietrzem z zewnątrz. Ostrzeżono mnie surowo, abym nawet nie próbował otworzyć wjazdu!

Holden stwierdził w odpowiedzi:

– Mówisz tak, jakbyś rozmawiał z jakimś biologiem o uznanej reputacji. Powinieneś wiedzieć, że lepiej tego nie robić!

Cochrane zaprotestował:

– Chciałem tylko porozmawiać z kimś, kto wie więcej niż ja! Co mogłem zrobić zamiast poszukać człowieka o uznanej reputacji?

Holden pokręcił przecząco głową:

– My, psychiatrzy – zauważył, – włączymy wszędzie gdzie się da, zaglądając w najgłębsze zakamarki tego, co ludzie próbują ukryć przed samymi sobą. Mamy więc spojrzenie na ludzkość z żabiej perspektywy. Wiemy dobrze, że nie należy zrzucać trudnych problemów na ludzi o ustalonym nazwisku. Neurotycznie boją się oni utraty reputacji. Tak samo jak Dabney, wpadają w panikę na samą myśl o tym, że ktoś mógłby złapać ich na błędzie. Żadne wielkie nazwisko w medycynie albo w biologii, nie ośmieli się ci powiedzieć, że nie ma żadnego problemu, abyśmy sobie zrobili spacer, w tym raczej sympatycznym krajobrazie, jaki mamy na zewnątrz.

– A więc, co zrobimy? – dopytywał się Cochrane.

– Wykonamy wszystkie testy, jakie się da – pocieszająco odparł Holden, – a potem sami zdecydujemy. Możemy podjąć ryzyko. Stawiamy na szali wyłącznie własne życia!

Babs przyniosła Cochrane'owi talerz z jedzeniem. Włożył kęs do ust, przeżuł go i przełknął.

– Powiedzieli mi, że w ogóle nie możemy oddychać miejscowym powietrzem, dopóki nie poznamy jego bakteriologii. Nie możemy niczego dotykać, dopóki nie przebadamy tego pod kątem możliwych alergenów. Nie możemy.

Holden chrząknął.

– A co te twoje autorytety powiedziałyby twojemu przyjacielowi, Kolumbowi? Na obcym kontynencie, mógł mieć absolutną pewność, że spotka obce rośliny i obce zwierzęta. Że spotka obce rasy ludzi, tak więc powinien również spotkać obce choroby. Ostrzegaliby go, żeby w ogóle tego nie ryzykował. *Oni* by nie zaryzykowali!

Cochrane zjadł z czymś w rodzaju rozgniewanej energii. Potem warknął ostro:

– Jeżeli już chcesz wiedzieć, to musieliśmy wylądować! Pójdziemy na dno również, jeżeli nie wyjdziemy na zewnątrz i nie rozejrzemy się po okolicy! Popsulibyśmy naszą historię. To największy serial przygodowy w historii telewizji, jaki ktokolwiek na Ziemi włączył, żeby sobie obejrzieć.

Gdybyśmy zrezygnowali z eksploracji, to nasza widownia będzie rozczarowana i poczuje niechęć, a to odbiłoby się na naszych sponsorach!

Babs stwierdziła delikatnie, mówiąc do Holdenów:

– Oto mój szef!

Cochrane spojrział na nią gniewnym wzrokiem. Nie wiedział, jak rozumieć ten komentarz. Powiedział Holdenowi:

– Jutro spróbujemy wymyślić jakiegoś rodzaju testy, a potem sprawdzimy to powietrze. Wyjdę na zewnątrz w skafandrze kosmicznym i podniosę płytę czołową hełmu! Zawsze zdążę zamknąć ją z powrotem, zanim odczuję jakieś śmiertelne efekty. Ale nie ma sensu wychodzić na to pogorzelisko, dzisiejszej nocy. Muszę poczekać do jutrzejszego poranka.

Holden uśmiechnął się do niego. Babs obrzuciła go uważnym, enigmatycznym spojrzeniem.

Żadne z nich, nic więcej już nie powiedziało. Cochrane dokończył posiłek. Potem nie miał już żadnego zajęcia. Siła ciężkości na tej planecie, była niemal taka sama jak na Ziemi. Wydawała mu się, oczywiście, znacznie większa, ponieważ wszyscy oni pozostawali niemal przez trzy tygodnie, pod działaniem słabej grawitacji Księżyca. Jones i pilot, przebywali w warunkach sześciokrotnie mniejszej siły ciężkości, przez znacznie dłuższy czas. A brak pełnej grawitacji spowodował utratę przez ich mięśnie pełnej sprawności, mniej więcej w takim samym stopniu, jak gdyby spędzili ten sam okres w szpitalnym łóżku. Czuli się zupełnie wyczerpani fizycznie.

To było jednak zdrowe zmęczenie, a ich mięśnie miały wrócić do pełnej sprawności, równie szybko jak podczas odzyskiwania sił po chorobie -- a tak faktycznie, to nawet znacznie szybciej. Dzisiejszej nocy, na statku nie było jednak życia nocnego. Johnny Simms gdzieś zniknął, okazując przedtem symptomy drażliwego zachowania, podobne do prezentowanych przez strasznie zmęczonych małych chłopców. Jamison poddał się szybko, podobnie Bell. All, pilot zasnął, kiedy Jones próbował dyskutować z nim jakieś kwestie techniczne. Sam Jones również ziewał i ziewał, i kiedy Al zaczął chrapać w jego obecności, sam też zrezygnował z dalszej walki ze snem. Obaj powlekli się do swoich koi.

Nie było sensu, aby ktoś trzymał straż na statku. Jeżeli skorupa gorących popiołów nie wystarczy do powstrzymania niebezpieczeństwa, było mało prawdopodobne, że jeden człowiek, siedzący i wyglądający na zewnątrz przez porty, wiele tutaj pomoże. Od czasu do czasu, przez statek przechodziły ekstremalnie małe, praktycznie niezauważalne wibracje. To mogły być wstrząsy wulkaniczne -- tego należało oczekiwać. Z pewnością nie były one specjalnie alarmujące, a otaczający ich las gwarantował raczej, że nie należy się spodziewać, jakichś niesamowicie gwałtownych wydarzeń. Drzewa stały mocne i wysokie. Nie było żadnych problemów związanych ze statkiem. Doskonale praktycznym, a nawet niezbędnym rozwiązaniem, było więc po prostu wyłączyć wszystkie światła i pójść spać.

Cochrane jakoś jednak nie mógł się odprężyć. Przeszkadzały mu bolące mięśnie. Był też nieco podirytowany przekazaniem mu z Ziemi obrazem ekspedycji, jako grupy bezmyślnych ignorantów, którzy wystartowali bez map gwiazd, czy też wyposażenia bakteriologicznego --

nawet bez żadnych urządzeń do analizy powietrza na planetach, na których mogli wylądować! -- i których teraz trzeba surowo napominać i ostrzegać, aby nie wykorzystywali do niczego swoich osiągnięć. Cochrane nie czuł się specjalnie przytłoczony samym osiągnięciem jako takim, chociaż nie minęło jeszcze nawet osiemnaście godzin, od chwili gdy statek i całe obecne na nim towarzystwo, znajdowali się na powierzchni Luny, a teraz wylądowali na nowej planecie położonej od Ziemi dwa razy dalej niż Gwiazda Polarna.

Możliwe, że brak obaw u Cochrane'a spowodowany był punktem widzenia jaki mimowolnie przyjął, to jest producenta telewizyjnego. Traktował całą tę sprawę, jak wielkie widowisko. Zaabsorbowany był całkowicie szczegółami technicznymi przeprowadzenia jego produkcji. Patrzył więc na wszystko ze swojego, bardzo wąskiego zawodowego punktu widzenia. Nie przeszkadzało mu na przykład, że otoczony był przez dziką naturę. Traktował to dzikie pustkowienie jako miejsce akcji, plan filmowy, na którym rozgrywała się jego produkcja, chociaż był równie strasznym mieszcuchem, jak wszyscy pozostali. Poszedł z powrotem do sterówki. Kiedy statek stał na swoich płetwach ogonowych, było to najwyżej położone miejsce na pokładzie, a ponieważ dym przerzedził się, można było popatrzeć sobie stamtąd, na rozciągającą się na dworze noc.

Wyglądał przez port na rozmyte, niewyraźne cienie drzew, stojących poza wypalonym obszarem, oraz na ciemne kształty potężnych gór, zasłaniających gwiazdy. Oceniał je, zupełnie nieświadomie, pod kątem tego, jak będą wyglądały na ekranie telewizorów. Nie zwracał uwagi, kiedy od czasu do czasu lżejsze przedmioty w sterówce cicho grzechotały. Jego studio do prób i przesłuchań, na Ziemi, miało słabą izolację dźwiękową.

Babs również zdawała się nie spać. W pomieszczeniu, w którym był Cochrane, nie paliło się światło -- rozświeślał je tylko blask ekranów monitorów, które zapewniały, że pole Dabneya ciągle istnieje, chociaż możliwość jego użycia zablokowana jest przez masę planety. Babs weszła do niemal zupełnie ciemnej sterówki, zaledwie parę minut po Cochrane'ie. Przechodził niespokojnie od jednego portu do drugiego, wyglądając na zewnątrz.

- Pomyślałam sobie, że panu powiem - zaoferowała się Babs, - o doktorze Holdenie. Wziął trochę alg ze zbiorników regeneracji powietrza, zostawił je śluzie wejściowej, a potem otworzył jej zewnętrzny właz.

- Po co? - spytał ją Cochrane.

- Algi są roślinami z Ziemi - wyjaśniła Babs. - Jeżeli powietrze jest trujące, to jutro rano będą martwe. Możemy wtedy zamknąć zewnętrzny właz, wypompować na zewnątrz powietrze z tej planety, a potem napuścić powietrza ze statku. Potem będziemy mogli sprawdzić, co się stało.

- Och - stwierdził Cochrane.

- A potem nie mogłam usnąć - przebiegle powiedziała Babs. - Czy ma pan coś przeciwko, żebym tutaj została? Wszyscy pozostali poszli do łóżek.

- Och, nie - odparł Cochrane. - Zostań, jeśli masz ochotę.

Spoglądał w panującą na zewnątrz ciemność. Później przeszedł do innego portu. Po chwili wskazał ręką:

– Tam na niebie jest jakaś łuna – powiedział krótko.

Również wyrzała. W pewnej odległości widać było ciemny zakrzywiony kształt, zasłaniający gwiazdy. Za nim rozciągała się czerwona poświata, jakby płonęło tam coś ogromnego. Jej kolor jednak nie pasował do ognia. A przynajmniej nie do końca.

– Miasto? – spytała Babs, wstrzymując oddech.

– Wulkan – nie zgodził się z nią Cochrane. – Produkowałem kiedyś serię show, które miały niby pokazywać istoty myślące na innych planetach -- to zabawne, jak tam na Ziemi, marzyliśmy o takich rzeczach -- ale napotkanie ich raczej nie jest zbyt prawdopodobne. Nie, odkąd rzeczywiście sięgnęliśmy do gwiazd.

– Dlaczego?

– Ponieważ – na wpół ironicznie stwierdził Cochrane, – człowiekowi dano władzę nad wszystkimi stworzeniami. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli jakichś rywali do tej władzy. Nie mogę sobie za bardzo wyobrazić, że znajdziemy w kosmosie jakąś inną rasę stworzeń, które mogłyby być... osobami. Niebo mi świadkiem, że sami nawzajem próbujemy obrabować się z godności, ale nie wydaje mi się, aby istniała jakaś inna rasa, która, kiedy ją napotkamy, byłaby w stanie nas upokorzyć!

Po chwili dodał jeszcze:

– Największy idiotyzm to ta smutna prawda, że jesteśmy tutaj tylko dzięki tym wszystkim dezodorantom, kosmetykom, puszkom dla psów, i innym tego rodzaju rzeczom, które ludzie chcą reklamować innym ludziom! Nie byłoby nas tutaj, gdyby nie one, oraz gdyby nie to, że niektórzy z ludzi są neurotykami, inni nie lubią swoich szefów, a jeszcze inni są na swój własny sposób szaleni.

– Odrobina szaleństwa nie jest niczym złym – sprzeciwiła się Babs.

– Zarabiam na życie dzięki takim ludziom – kwaśno zgodził się Cochrane. – Ale nie lubię ich. Mam poczucie, że potrafiłbym to wszystko lepiej zorganizować. Wiem, że nie dałbym rady, ale chętnie bym spróbował. Właściwie, to na mój własny, malutki sposób, nawet próbuję to robić.

Babs zachichotała.

– To dlatego, że jest pan mężczyzną. Kobiety nie są aż tak głupie. My jesteśmy realistkami. Podoba nam się tworzenie -- nawet mężczyzn -- w sposób w jaki da się to zrobić.

– Ja nie lubię – z irytacją stwierdził Cochrane. – Dokonaliśmy czegoś wspaniałego, a ja nie mam z tego zupełnie nic! Głowa mi puchnie od jakichś problemów biznesowych, którymi muszę jutro się zająć. A powinienem być wynoszony pod niebiosa! Powinienem napawać się chwałą! Powinienem być szczęśliwy! Ale nie, ja muszę zamartwiać się jakąś straszną perspektywą, że ta piekielna planeta rozczaruje naszą widownię!

Babs ponownie zachichotała. Potem podeszła do schodków, prowadzących do przedziału poniżej.

– Co się stało? – dopytywał się Cochrane.

– Pomimo wszystko, jednak zostawię pana samego – wesoło oznajmiła Babs. – Zawsze pan tak bardzo uważa, żeby nie rozmawiać ze mną na

tematy pozazawodowe. Wydaje mi się, że boi się pan, że mogłabym powiedzieć panu coś, co by panu pomogło. I gdybym tu została, to pewnie bym to zrobiła. Dobranoc panu!

Ruszyła po schodkach na dół. Cochrane powiedział za nią, zirytowanym tonem:

– Poczekaj! Do licha, nie wiedziałem, że tak łatwo mnie przejrzeć! Bardzo mi przykro, Babs. Posłuchaj! Powiedz mi coś, co by mi pomogło!

Babs zawahała się, a potem powiedziała ciągle bardzo radośnie:

– Widzi pan sprawy tylko w sposób, w jaki widzi je mężczyzna. To show, ta podróż... te wszystkie sprawy nie pasjonują pana, ponieważ nie widzi pan ich w sposób, w jaki patrzyłaby na nie kobieta.

– To znaczy jak? Co widzi kobieta, czego ja nie widzę?

– Kobieta – wyjaśniła Babs, – widzi tę planetę jako miejsce, do którego przybędą mężczyźni i kobiety, żeby żyć. Żeby żyć! Pan tego nie widzi. Umknęły panu wszystkie naprawdę istotne konsekwencje, tego że ludzie rzeczywiście będą tutaj żyli. A to są tego rodzaju sprawy, które kobieta widzi przede wszystkim.

Cochrane zmarszczył brwi.

– Nie jestem na tyle zadufany w siebie, żebym nie potrafił posłuchać kogoś innego. Jeżeli masz jakiś pomysł...

– Nie, nie pomysł – odparła Babs. – Tylko reakcję. Nie da się objaśnić reakcji komuś, kto jej nie podziela. Dobranoc!

Zniknęła schodząc po schodkach. Nieco później, Cochrane usłyszał leciuteńki dźwięk zamykających się drzwi od kabiny, trzy pokłady niżej, w głębi statku.

Wrócił do swojej niespokojnej inspekcji nocy na zewnątrz. Próbował uchwycić sens tego, co powiedziała mu Babs. Zawiódł na całej linii. W końcu usiadł w jednym z przesadnie wyściełanych foteli, które miały czynić ten statek atrakcyjnym dla robionych w konia inwestorów. Zamierzał dalej rozmyślać nad tym, o co mogło chodzić Babs. Dziewczyna była przecież, pomimo wszystko, najbardziej kompetentną sekretarką, jaką kiedykolwiek miał, i kwaśno uświadamiał sobie, jak bardzo bezradny byłby bez jej pomocy. Teraz więc próbował sumiennie wyobrazić sobie, jakie zmiany w obrazie sytuacji, mogłoby wywołać uwzględnienie kobiet między pionierami. Wypracował sobie jakieś pozornie poprawne stanowiska. Ale to nie była przyjemna praca dla jego umysłu.

Zasnął, nadal tego nie rozumiejąc i obudziły go dopiero rozlegające się wokół niego hałasy. Było już rano i Johnny Simms krzyczał z chłopięcym entuzjazmem na coś, co widział na zewnątrz.

– Biegnij w jego stronę, stary – krzyczał entuzjastycznie. – Łap go! To jest sposób...

Cochrane otworzył oczy. Johnny Simms wyglądał na dół przez bańkę portu widokowego, wymachując na wszystkie strony rękoma. Jego żona, Alicia, wyglądała przez ten sam port, ale nie wydawała się podzielać jego podekscytowanej aprobaty. Bell przeciągnął kamerę przez całą sterówkę i właśnie dostrajał ostrość obrazu, kierując obiektyw w to samo okno.

– Co się stało? – dopytywał się Cochrane.

Wygramolił się z trudem ze swojego fotela. Radość Johnny'ego Simmsa, właśnie gwałtownie wyparowała. Zaklął paskudnie, ze złościwością, na coś, co znajdowało się poza statkiem. Żona dotknęła jego ramienia i powiedziała mu coś przyciszonym głosem. Wyładował się z wściekłością na niej, plugawym językiem.

Cochrane błyskawicznie znalazł się obok niego. Wyraz twarzy Johnny'ego Simmsa natychmiast się wygładził i zniknęła z niej furia. Wyglądał uprzejmie i przyjaźnie.

– Walka ustała – wyjaśnił od ręki. – To była naprawdę dobra bijatyka. Ale jedno z tych stworzeń nie było w stanie stawić czoła temu drugiemu, i uznało się za pokonane.

Alicia wyjaśniła spokojnym tonem:

– Były tam jakieś zwierzęta. Wyglądały podobnie do niedźwiedzi, tylko miały ogromne uszy.

Cochrane popatrzył na Johnny'ego Simmsa, rozgniewanym wzrokiem. Takie rycerskie zachowanie, było może niezbyt racjonalne, ale był naprawdę rozwścieczony. Po chwili odwrócił się od niego i podszedł do portu. Na wypalonym obszarze, pozostały tylko popioły. Na jego brzegu widać było resztki zwęglonego drewna. Ale teraz można było dostrzec zarośla i drzewa rosnące poza nim. Drzewa nie wydawały mu się jakieś dziwaczne, ponieważ żadne drzewa nie stanowiłyby dla niego znajomego widoku. Krzewy również nie wywarły na nim egzotycznego wrażenia, ponieważ jego doświadczenie z rzeczywistymi roślinami ograniczało się do sztucznych roślin na planach telewizyjnych, i sztucznie hodowanych roślin na dachach domów. W ogóle ledwie rzucił okiem na otaczającą ich roślinność. Usiłował wychwycić jakiś ruch. Zobaczył poruszające się futrzaste zady co najmniej kilku różnych nieznanym mu stworzeń, które zanurkowały w gąszcz, tak jakby coś je wystraszyło. Popatrzył prosto w dół, spoglądając na kadłub statku i dwie z trzech płetw ogonowych, na których spoczywał.

Właz śluzy powietrznej, właśnie się otwierał. Otworzył się na całą szerokość. Następnie jego pokrywa została zamknięta, przywierając do kadłuba.

– Holden robi pewnego rodzaju testy powietrza – powiedział krótko Cochrane. – Zwierzęta wystraszyły się, kiedy został otworzony zewnętrzny właz. Zobaczę, czego się dowiedział.

Pośpieszył na dół. Znalazł Babs, stojącą koło wewnętrznych wrót śluzy powietrznej. Wyglądała na lekko bladą. Na podłodze koło jej stóp, stały dwa spodki z zielonkawą, podobną do zupy, zawartością. To musiały być, oczywiście, algi, ze zbiorników systemu regeneracji powietrza na statku.

– Algi były żywe – wyjaśniła Babs. – Doktor Holden wszedł więc do śluzy, żeby samemu wypróbować powietrze. Powiedział, że będzie bardzo ostrożny.

Dla jakichś niejasnych powodów, Cochrane poczuł się zawstydzony. Było to długie, desperacko długie oczekiwanie. Potem rozległ się odgłos pracy maszyn. Zewnętrzne wrota śluzy zamknęły się. Usłyszeli lekki świst – sprężone powietrze.

Otworzyły się wewnętrzne wrota. Ze śluzy wyszedł Bill Holden, z wyrazem entuzjastycznego zaskoczenia na twarzy.

– Cześć, Jed! Wypróbowałem powietrze. Jest w zupełnym porządku! Wydaje mi się, że ma nieco zbyt dużą zawartość tlenu. Ale za to, jak cudownie dobrze się nim oddycha! Mogę również powiedzieć, że te drzewa są rzeczywiście z drewna, zieleń to chlorofil, a planeta zdecydowanie jest typu ziemskiego. Ten lekki zapach dymu dookoła, oczywiście jest absolutnie normalny... i przyjmuję to wszystko za wystarczającą analizę. Mam zamiar pójść na spacer.

Cochrane stwierdził, że obserwuje bacznie twarz Babs. Wyglądała na całkowicie uspokojoną, ale nawet Cochrane -- który, zupełnie sobie tego nie uświadamiając, szukał czegoś w tym rodzaju -- nie był w stanie odczytać w wyrazie jej twarzy niczego poza ulgą. Nie było w nim widać, na przykład, ani śladu podziwu.

– Pożyczę od Johnny'ego Simmsa jedną z jego strzelb – mówił dalej Holden, – i rozejrzę się trochę dookoła. Albo to będzie całkowicie bezpieczne, albo i tak wszyscy już jesteśmy martwi. Szczerze mówiąc, myślę, że będzie bezpiecznie. Muszę ci powiedzieć, Jed, że na zewnątrz człowiek dobrze się czuje. Daję ci słowo, naprawdę czuje się dobrze!

– Pójdę z tobą – powiedział Cochrane. – Jones i pilot są niezbędni do tego, żeby statek mógł bezpiecznie wrócić na Ziemię. Ale nas można poświęcić.

Wrócił do sterówki. Johnny Simms z ochotą zgodził się wyposażyć ich w broń. Nie zaproponował, że będzie im towarzyszył. W ciągu mniej więcej dwudziestu minut, Cochrane i Holden znaleźli się w śluzy powietrznej, i wrota zamknęły się za nimi. Światło w środku włączyło się automatycznie, dokładnie tak samo, jak światło w lodówce elektrycznej. Kiedy ta analogia przyszła mu na myśl, Cochrane stwierdził, że wargi lekko mu się wykrzywiły. Kilka sekund później otworzył się zewnętrzny właz, i zaczęli wpatrywać się na dół, pomiędzy gałęzie wysokich drzew. Cochrane skrzywił się. Nie było żadnej barierki i wysokość dawała mu się we znaki. Holden jednak wysunął podnośnik. On i Cochrane, zwisając z niego, zjechali na ziemię wzdłuż pięćdziesięciu stóp gładkiego, świecącego, metalowego kadłuba.

Ziemia pod nogami była ciągle gorąca. Holden zszedł z podnośnika i z niezbyt szacowną szybkością ruszył w stronę chłodniejszego terenu. Cochrane podążał za nim.

Zapachy były absolutnie zwyczajne. Spalone drewno. Dym. Do ich uszu dolatywały również rozmaite odgłosy. Sporadyczne trzaski od strony nadpalonych pni drzew, nie do końca zjedzonych przez ogień. Wysokie, ostre tony muzycznych treli. A spośród tych wszystkich atakujących ich wrażeń zmysłowych, dominowała zadziwiająca świeżość, jaką czuło się w powietrzu. Cochrane specjalnie zwrócił na nią uwagę, ponieważ na Ziemi mieszkał w mieście, potem spędził cztery dni w rakiecie na Księżyc, przez kolejnych osiemnaście dni oddychał powietrzem Lunar City, a właśnie przed chwilą wyszedł ze statku kosmicznego, na którym powietrze należało wyraźnie do gatunku tych z puszki.

Nie zwrócił uwagi na rozlegający się za nimi hałas ponownie uruchomionego podnośnika. Wyteżał oczy i uszy, boleśnie świadom zupełnie obcego otoczenia. Tym bardziej zdawał sobie sprawę z jego generalnej obcości, ponieważ był tak bez reszty produktem zurbanizowanego społeczeństwa. Pomimo wszystko jednak, zarówno on jak i Holden, byli dużo mniej świadomi rzeczywistej odmienności środowiska wokół nich, niż byłoby to w przypadku ludzi z poprzednich generacji. Nie widzieli nic dziwnego w rechotliwych odgłosach, podobnych do żabich, tyle że dobiegających z wierzchołków drzew. Kiedy znaleźli sobie przejście, pomiędzy nachylonymi opalonymi kołkami i doszli do zielonego podłoża pod nogami, oraz lekko tylko przypieczonej roślinności dookoła, Cochrane usłyszał słodki, wysoki trzel, dobiegający z półcalowej dziury w ziemi. Jednak to nie miejsce, z którego dolatywał śpiew go zadziwiało. Był zadziwiony samym dźwiękiem, jako takim.

Za nimi rozległ się krzyk:

– Panie Cochrane! Doktorze Holden!

Odwrócili się do tyłu. Na ziemi stała Babs, wyswobadzając się z upręży podnośnika. Poszła za nimi na zewnątrz, odczekawszy trochę aż wyjdą ze służby i nie będą mogli zaprotestować.

Cochrane zaklął pod nosem. Ale kiedy Babs przyłączyła się do nich, mocno zdyszana, biegiem i podskokami nad gorącym podłożem, powiedział jedynie:

– Jak fantastycznie, spotkać cię tutaj!

– ... *Nie mogłam się temu oprzeć* – wykrztusiła Babs zasapane przeprosiny. – Macie przecież panowie broń. Jest więc dosyć bezpiecznie... och, proszę popatrzeć!

Wpatrywała się w krzak, który cały był pokryty blado-purpurowymi kwiatami. W powietrzu wokół niego, unosiły się jakieś małe stworzenia. Podeszła bliżej i aż ponownie wykrzyknęła, czując jak słodki zapach miały kwiaty na krzewie. Cochrane i Holden przyłączyli się do niej w tym podziwie.

W pewnym sensie, zachowywali się głupio nieostrożnie. To była kompletnie obca ziemia. Mogło na niej spotkać ich cokolwiek. Wcześniejsi odkrywcy, z ostrożnością podchodziliby do każdego krzaczka, z najwyższą podejrzliwością pokonywaliby każdy pagórek, przewidując, że mogą za nim czekać na nich śmiertelnie niebezpieczne stworzenia, niesamowite potwory, i egzotyczne oraz dziwne okoliczności, wręcz stworzone do schwytania w pułapkę nieprzygotowanych podróżników. Wcześniejsi odkrywcy, oczywiście, prawdopodobnie uzyskaliby porady od sławnych ludzi, mające przygotować ich na wszelkie możliwe niebezpieczeństwa.

Znajdowali się w dolinie między pokrytymi śniegiem górami. Przez całą jej długość płynęła rzeka, zasilana w wodę przez lodowce. Klimat był umiarkowany. Otaczały ich albo iglaste drzewa, albo coś łudzaco do nich podobnego. Wszystkie rośliny rosły dobrze, ale bez tej szaleńczej gwałtowności, charakterystycznej dla regionów tropikalnych. Tu i ówdzie, widać było owoce. Później, tak dla informacji, miały one okazać się w większości przeraźliwie kwaśne i niesmaczne. Wokół rościło również wiele niskich roślin o szerokich liściach, które po zbadaniu okazało się, że mają

miękkie, mięsiste korzenie, niemal bez żadnych wątpliwości bezużyteczne dla celów ludzi. W okolicy było nawet trochę roślin obsypanych sterczącymi cierniami i kolcami. Nie napotkali jednak żadnego poważniejszego zagrożenia.

Ogólnie mówiąc, dzikie zwierzęta, zawsze i wszędzie, zachowują się agresywnie tylko wtedy, kiedy są zdesperowane. Żadne naturalne środowisko nie może permanentnie znajdować się w stanie tak śmiertelnego zagrożenia, że istoty ludzkie zostaną w nim zaatakowane, zaraz jak tylko się w nim pojawiają. Obszar, na którym niebezpieczeństwo przyjmowałoby taki ciągły charakter, byłby tak zabójczy, że wkrótce zabrakłoby zasobów żywności, aby utrzymać żerujące na nim drapieżniki. Podsumowując, po prostu muszą istnieć oczywiste ograniczenia na to, jak niebezpieczne może być jakieś miejsce. Groźne zwierzęta muszą być stosunkowo rzadkie, i muszą mieć dostatecznie dużo jedzenia.

Tak więc, trójka odkrywców poruszała się dosyć bezpiecznie, chociaż ich śmiałość wynikała głównie z ignorancji. Wędrowali pod gigantycznymi drzewami, równie wysokimi jak stojący na ogonie statek kosmiczny. Spostrzegli małego, porośniętego futrem dwunoga, o wysokości jakichś dwunastu cali, który człapał w szaleńczym żółtym tempie, dokładnie w kierunku w którym szli również i oni, nie mając żadnych oczywistych nadziei, aby ich zostawić z tyłu. Napotkali także delikatne, zwiewne stworzenie z niewiarygodnie wrzecionowatymi nogami. Przelatywało ono od jednego pnia drzewa, do drugiego, przy każdym zwrocie, przywierając mocno do szorstkiej kory. Następnie natknęli się małe zwierzę, które spojrzało na nich rozpaczliwie olbrzymimi, pełnymi przerażenia, niebieskimi oczyma, a potem uciekło zakosami, na nóżkach tak krótkich, że wyglądały niemal jak płetwy. Zwierzak zanurkował do jakiejś dziury i zniknął.

Potem wyszli na otwartą przestrzeń. Widzieli tutaj na odległość wielu, wielu mil. Była to lekko pagórkowata sawanna, stopniowo opadająca w stronę bystro płynącej rzeki. Trawa -- jeżeli to rzeczywiście była trawa -- była zupełnie zielona, ale na końcu środkowej żyłki każdego liścia, wyrastało z niej wiele małych, różowych kwiatuszków. Z bliska patrząc, sawanna zdawała się mieć kolor ziemskiej trawy, ale wraz z odległością, przechodził on niepostrzeżenie we wspaniałą barwę starych róż. Ściany górskie po obu stronach doliny, były wysokie, urwiste i najeżone skałami. Z jednej strony wystawała wielka kamienna ostroga, sięgająca daleko w głąb niziny i górująca ponad nią. Na jej wierzchołku widać było las, u stóp którego przez dwa tysiące stóp w dół, opadała pionowa ściana z nagiego brązowego kamienia. W górze doliny, w miejscu gdzie wyraźnie się ona zwężała, ze skalnej ściany wylatywał wodospad, opadający z wysokości setek stóp wielkim łukiem czystej bieli, dopóki nie zniknął za wierzchołkami drzew.

Oglądali ten widok, wpatrywali się w niego. Cochrane był producentem telewizyjnym, Holden psychiatrą, a Babs bardzo sprawną sekretarką. Nie prowadzili więc obserwacji naukowych. System ekologiczny doliny, kompletnie uszedł ich uwagi. Nie mieli wystarczających kwalifikacji do tego aby zauważyć, że fruwające wokół stworzenia, w większości zdawały

się mieć futro zamiast piór, a owadów było mało, były duże i delikatnie zbudowane. Nie zauważyli również, że większość roślin miała krótkotrwały okres wegetacji, co wskazywało na istnienie na planecie wyraźnych pór roku. Holden oznajmił:

– Na Grenlandii jest pewien szpital, na takim klifie jak ten. Ludzi z manią wielkości, czasami można wyleczyć, po prostu pokazując im coś znacznie większego i bardziej wspaniałego, niż oni sami. Chciałbym zobaczyć szpital stojący tam, na górze.

Babs rozmarzyła się, z błyszczącymi oczyma:

– W tej dolinie można by zbudować miasto. Nie wysokie miasto, z ciemnymi, szarymi ulicami i ogrodami na dachach. To mogłoby być miłe, małe miasteczko, jakie zwykle budowali sobie ludzie. Mnóstwo małych domków, oddzielnie stojących, wszędzie wokół pełno trawy i kwiatów, które ludzie mogliby zrywać, gdyby chcieli zabrać je do domu... Tutaj mogłyby powstać prawdziwe rodziny i domy... a nie tylko kwatery mieszkalne!

Cochrane nic nie powiedział. Zazdrościł pozostałym. Oni patrzyli i marzyli, każde zgodnie ze swoją naturą. Cochrane poczuł się jakoś wykluczony. Po pewnym czasie stwierdził melancholijnie:

– Wracajmy już na statek. Może trochę popracujesz z Bellem nad tym twoim kobiecym punktem widzenia, co Babs? On spróbuje to jakoś napisać, albo może jakoś dasz radę przekazać to Alicji, kiedy będziemy na antenie.

Babs nic nie odpowiedziała. Brak komentarza był niemal dobitnym komentarzem. Cochrane uświadomił sobie, że nie powinien mówić tego co powiedział, ale nie wiedział dlaczego.

Wrócili pod statek. Cochrane jako pierwszy wysłał Babs i Holdena podnośnikiem, sam czekając na dole. Stanie tam, było osobliwym przeżyciem. Był jedynym człowiekiem na planecie wielkości Ziemi, albo nawet większej, który stał na własnych nogach, u stóp metalowej ściany, tworzącej kadłub statku kosmicznego. Trzymał w ręku broń i powinien być w stanie obronić się przed każdym zagrożeniem. Ale czuł się bardzo samotnie.

Podnośnik zjechał po niego na dół. Kiedy nim wjeżdżał, czuł ból na duszy. Przepełniało go przytłaczające poczucie niekompetencji, chociaż nie potrafił określić żadnych szczególnych dla niego powodów. Lina wciągała go do góry, kołyszając się, na budzącą zawroty głowy wysokość, włazu śluzu powietrznej. Nie był w stanie poczuć uniesienia. Częściowo był odpowiedzialny, za największe osiągnięcie ludzkości, przynajmniej jak do tej pory. Ale nie potrafił spojrzeć na to wszystko z takiego punktu widzenia, który pozwoliłby mu cieszyć się kontemplacją tego sukcesu.

Kiedy jechał do góry, ziemia leciutko zadrżała. Trudno byłoby to nazwać trzęsieniem ziemi. Było to po prostu lekkie drżenie, którego należało się spodziewać, mając w zasięgu wzroku sześć stożków wulkanicznych. Bujna zielona roślinność wszędzie dookoła, stanowiła dowód, że można przejść nad nim do porządku dziennego.

VII

W Stanach Zjednoczonych, jakieś dwieście lat świetlnych, z haczykiem, od nich, akurat właśnie był wtorek. W ten wtorek, transmisja z gwiazd sponsorowana była przez Harvey's, sieć sklepów z ubraniami męskimi, o zasięgu krajowym. Dział reklamy Harveya preferował show o charakterze dyskusyjnym, ponieważ różnice w opiniach prezentowanych w trakcie audycji, prowadziły w odpowiedni sposób do linii ich haseł reklamowych. „Możesz nie zgodzić się ze wszystkim, poza jakością ubrań Harvey's. Ona jest Wyśmienita!”.

Dlatego więc następna audycja po wylądowaniu statku na wulkanicznej planecie, częściowo złożona była z reklam, częściowo ze zdjęć i raportów z ekspedycji Spaceways, oraz częściowo z pytań i komentarzy osób o wielkich nazwiskach na Ziemi. W nieunikniony sposób brał w niej udział również i Dabney. A Dabney był neurotykiem.

Zrobił wszystko co tylko się dało, aby narobić jak największego bałaganu.

Show rozpoczęło się dosyć szybko, po rozpoczęciu audycji. Na początku był tylko dwuminutowy film, w którym ubrane w menedżerskie garnitury marionetki, maszerowały rząd za rzędem, obrazując olbrzymią popularność garniturów Harvey's. Potem krótki minutowy kretyński filmik kukiełkowy o dwóch zwaśnionych upartych góralach, którzy doszli do wniosku, że nie mogą dalej kontynuować wojny między sobą, w sytuacji kiedy obydwaj zgadzają się co do jakości garniturów Harvey's. „Ona jest wyśmienita!”. Reklama kończyła się zbiorowym tańcem i śpiewem, szaleńczo rozentuzjasmowanych miniaturowych postaci, podrygujących i ochotczo wyśpiewujących ten sam temat muzyczny: „Tak, możesz się nie zgodzić, nie będę cię zwodzić, możesz się nie zgodzić, odnośnie wszystkiego, naprawdę odnośnie wszystkiego, drogi kolego. Ale nie możesz zaprzeczyć, ktokolwiek zapyta, Absolutnie wspaniałej, zupełnie doskonałej, Jakości garniturów Harvee-e-e-e! Ona jest wyśmienita!”

Po tym wszystkim, widownia telewizyjna kilku kontynentów, zobaczyła stylizowany zamglony obraz pierwszego statku międzygwiazdowego ludzkości, stojącego równo na swoich płetwach ogonowych, pomiędzy drzewami, nie mającymi sobie równych w przekazach telewizyjnych, w historii. Następnie kamera poprowadziła powoli w bok i pokazała krajobraz otwartych, nie zapełnionych budynkami, przestrzeni, jaki bardzo niewielu ludzi kiedykolwiek widziało. Potem góry, tak wspaniałe i wyniosłe, że większości ludzi trudno było wręcz w to uwierzyć.

Dalej nastąpiło cięcie, i akcja przeniosła się do sterówki statku. Pilot Al energicznie grał rolę dowódcy wyprawy eksploracyjnej, która właśnie wróciła z terenu -- chociaż tak naprawdę, to wcale nie ruszał się ze

statku. Wprowadził Jamisona, mającego na sobie zaimprovizowane legginsy i inne elementy wyposażenia, odpowiednie dla odkrywcy podróżującego po dzikich krainach. Jamison zaczął ekstrapolować, biorąc jako podstawę swoje obserwacje z portów widokowych w sterówce, dla dodania sobie autorytetu, posiłkując się klipami filmowymi.

Gładko i z hipnotyzującą płynnością, opisał widok doliny, w czasie kiedy statek pokonywał ostatnie parę tysięcy stóp, i opowiedział o ludzkiej kolonii, która zostanie założona na tym ogromnym i nadającym się do zamieszkania terenie, właśnie dopiero co przebadanym. Hotele w górach, dla międzygwiazdnych turystów, będą spoglądały na dół, z wysokości szczytów, na scenerię spokoju i przyjemnej przestrzenności. To byłaby pierwsza placówka ludzkości pośród gwiazd. W innych dolinach tej wspaniałej planety, będzie można umiejscowić tereny pasterskie, i ludzkość ponownie zaczęłaby traktować mięso jako normalną i pozbawioną ekstrawagancji część swojej diety -- a już na tej planecie, z całą pewnością! Ponad wszelką wątpliwość były tu surowce mineralne i zasoby energii wodnej. Zgodnie z szacunkami, do zajęcia przez ludzi, mógłby zostać udostępniony co najmniej ekwiwalent kontynentu azjatyckiego. I ten wspaniały dodatek do zasobów ludzkości...

Druga reklama przerwała Jamisonowi. Naturalnie. Sponsor zapłacił za swój czas. Tak więc Jamison został zastąpiony przez inną fikcyjną opowiastkę, o biednym młodym człowieku, który stał się obiektem zazdrości całego zarządu firmy, która go zatrudniała. Jego nieskazitelny ubiór spowodował, że natychmiast awansowano go na stanowisko wicedyrektora, bez żadnych pytań, czy jest on w stanie wypełniać te obowiązki, czy nie. Ponieważ, oczywiście, nosił garnitur Harveya.

Na ekranie pojawiła się później Alicia Keith i przedstawiła kobiecy punkt widzenia, tak jak został on napisany przez Bella. Opowiadała sympatycznie o tym, jak to miło jest chodzić po planecie, na której nigdy wcześniej nie stąpały istoty ludzkie. Przerwała jej pojawiająca się na ekranie, twarz pani redaktor programów kobiecych Joint Network, która słodko zapytała:

– Powiedz mi, Alicio, jak myślisz, czy dotarcie do gwiazd będzie oznaczało coś istotnego, dla przeciętnej amerykańskiej gospodyni domowej, w najbliższej przyszłości? Czy może od razu?

Potem nadeszła kolej na Dabneya. Jego wizerunek został wmontowany w sekwencję ujęć z Lunar City, tak by wykonywane przez niego nieskoordynowane gesty, nie wyglądały na bardziej ekstrawaganckie, niż gesty każdego człowieka, którego dłonie i ramiona ważą jedynie niewielką część tego, co normalnie na Ziemi.

– Chciałbym – oznajmił dobitnie Dabney, – pogratulować ludziom, którzy tak szybko zaadaptowali moje odkrycie podróży z prędkością większą od światła, do praktycznego wykorzystania. Jestem wręcz przytłoczony, że udało mi się osiągnąć tryumf naukowy, który z czasem może oznaczać, że dobrobyt ludzkości rozciągać się będzie w nieskończoną i wspaniałą przyszłość!

Rozległ się aplauz z puszek. Dabney uniósł ręce, prosząc o uwagę. Zaczął myśleć. Było to wręcz widać.

– Ale – dodał pośpiesznie, – przyznaję, że zaskoczył i zmartwił mnie pośpiech, widoczny w podjętych działaniach. Czuję się trochę, jak jakiś potężny dżin, rozdający prezenty, które ich odbiorcy mogą wykorzystać, bez należytego zastanowienia.

Kolejna porcja aplauzu z puszek, wstawionego dlatego, że wydał wcześniej instrukcje, aby używać go za każdym razem, kiedy przerwie. Operator komunikatora na Lunie z najwyższą przyjemnością, wykonał dokładnie jego instrukcje. Dabney ponownie uniósł rękę do góry. Znowu dokonał heroicznego aktu myślenia, na oczach wszystkich.

– W chwili obecnej – oznajmił z niepokojem, – jako autor tego naprawdę wspaniałego dokonania, muszę użyć tej samej dozy intelektu, dzięki której zostało ono osiągnięte, aby przebadać możliwości jego niewłaściwie zrozumianego użycia. Czy nasi odkrywcy -- którzy wystartowali bez wcześniejszego sprawdzenia przeze mnie ich planów i wprowadzenia odpowiednich środków ostrożności -- nie mogą jako nadmiernie gorączkowi użytkownicy mojego daru, wyrządzić szkód ludzkości? Czy nie mogą oni napotkać jakichś bakterii, którym ludzkie ciało nie będzie w stanie się oprzeć? Czy nie przywiozą ze sobą z powrotem zarazy i epidemii? Czy przygotowali się jakoś, do wykorzystania mojego odkrycia wyłącznie dla korzyści rasy ludzkiej? A może działali zbyt pośpiesznie? Będę musiał sam poświęcić się, szukaniu metod, przy pomocy których moje odkrycie -- dokonane w celu osiągnięcia przez Ludzkość takiego poziomu rozwoju, o jakim wcześniej nawet nie marzyła – – będę musiał wynaleźć środki przy pomocy których stanie się ono prawdziwym błogosławieństwem dla ludzkości!

Oczywiste było, że Dabney zasmakował światła sławy. Cały świat uważał go za najwybitniejszego naukowca w dziejach -- poza, oczywiście, ludźmi, którzy wiedzieli cokolwiek o nauce. Ale pierwsi rzeczywiści podróżnicy w kosmosie, natychmiast stali się znacznie większymi bohaterami, niż on sam. Dabney nie był w stanie znieść tego, że pozostało mu tylko granie ogonów, w programach, w których brali oni udział. A więc sam dla siebie napisał rolę gwiazdy.

Brodaty biolog, który występował po nim, wygłosił wykład na podstawie dostarczonych mu wcześniej zdjęć i raportów. Nie mógł jednak zignorować tak obiecującej ścieżki, do tego aby można pokazać, jak wiele wie. Zaczął więc autorytatywnie głosić o zagrożeniach, jakie mogą wytworzyć pozaziemskie organizmy chorobotwórcze, po zawleczeniu ich na Ziemię. Odmalował ponury obraz, cytując z historii epidemiologii czasów sprzed rozwoju warunków sanitarnych. Wywiódł z tego wszystkiego bardziej szczegółowe proroctwo na temat czegoś podobnego do Czarnej Śmierci z czasów średniowiecza, co czai się wśród gwiazd, aby zdziesiątkować ludzkość. Ewidentnie był ofiarą, dobrze znanego zachłyśnięcia się władzą, które dopada niektórych ludzi występujących w telewizji, kiedy pomyślą o obserwujących ich milionach widzów. W porywie szalu odchodzą od swoich scenariuszy, próbując powiedzieć coś na tyle przerażającego, aby ich słowa uzasadniały uwagę, którą przyciągnęli.

Audycja kończyła się sentymentalną miłosną reklamą, o oszałamiająco pięknej dziewczynie, wpadającej w ramiona wartościowego, młodego

człowieka, którym uprzednio wzgardziła. Nie była w stanie mu się oprzeć, kiedy zwróciła uwagę na to, że miał na sobie garnitur, w którym natychmiast rozpoznała jakość, jaka mogła pochodzić jedynie od Harveya.

Na planecie lodowców i wulkanów, Holden wręcz płonął.

– Niech to diabli! – żarliwie protestował. – Ono mówią o nas, jakbyśmy byli trędowaci! Jakbyśmy, kiedy już w końcu wrócimy do domu, stali się nosicielami jakichś monstrualnych chorób, które zetrą ludzką rasę z powierzchni ziemi! Tak prawdę mówiąc, złapanie przez nas jakiejś pozaziemskiej choroby jest mniej więcej tak samo prawdopodobne co złapanie skrętu kiszek od skręcania karku kurczakom!

– Tą audycją, absolutnie nie musimy się przejmować – powiedział Cochrane.

– Ależ musimy! – upierał się Holden. – Dabney i ten osioł biolog, przedstawili podróże kosmiczne, jako powód do panicznej obawy! Wystraszą na śmierć każdą istotę ludzką na Ziemi, wmawiając im, że po powrocie sprowadzimy ze sobą zarazki, i wszyscy na Ziemi umrą na jakąś cholerną ptasią grypę.

Cochrane wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dobry numer na rozgłos -- gdybyśmy kiedyś go potrzebowali! Właściwie, to dali jeszcze dodatkowego kopa naszemu show. Od tej chwili, każda nowa audycja posiada dramatyczny podtekst, którego wcześniej nie miała. Teraz wszyscy będą z niepewnością i napięciem, czekali na każde następne show. Czy Jamison złapał Purpurową Śmierć na Planecie Dymiących Gór? Czy urocza Alicia Keith nie pokryje się czasami zielonymi krostami, kiedy następnym razem będziemy ją oglądać na antenie? Czy Kapitan Al z wędrującego między gwiazdami statku kosmicznego, nie wciągnął do płuc zarodników Puchnącego Grzyba? Czy podróżnicy w kosmosie nie są skazani na śmierć! Włącz naszą następną audycję i obejrzyj! Mój drogi Billu, gdybyśmy nie byli z naszymi sponsorami umówieni z góry na wysokość opłat, to po tej sztuczce podniósłbym jeszcze nasze ceny!

Holden nie wyglądał na przekonanego. Cochrane stwierdził uprzejmym tonem:

– Nie przejmuj się tym! Mógłbym wygasić tę panikę już jutro -- a przynajmniej na takim poziomie, na jakim jest obecnie. Kursten, Kasten, Hopkins i Fallowe mieli propozycję, na wielki dodatkowy interes. Chcieli rozpisać ogromny konkurs na nazwę dla drugiej planety ludzkości. Mieli już poustawianych sponsorów regionalnych. To miało być na całym świecie! Reklamodawcy ślinili się wręcz na perspektywę ludzi proponujących nazwę dla tej planety, na odsyłanych elementach opakowania zakupionych produktów. Planowali jako nagrodę pięć milionów -- i kto by wtedy się nas obawiał? Ale musiałem to odrzucić, ponieważ nie mamy helikoptera. Nie dalibyśmy rady nagrać dostatecznie dużej liczby różnych show z tej planety, aby utrzymać to wszystko w ruchu przez minimum sześć tygodni, bo tyle musiałby trwać tego typu konkurs. Zamiast tego, startujemy za parę godzin. Jones zgadza się na to. Astronomowie na Ziemi wybrali inną gwiazdę typu słonecznego, która powinna mieć swoje planety. Mamy zamiar przelecieć na nią, i zobaczymy

jakie skarby uda nam się tam znaleźć. To nie jest tak daleko -- tylko dwadzieścia parę lat świetlnych!

Obrzucił Holdena żartobliwym spojrzeniem, żeby zobaczyć, jaką reakcję wywołały u niego ostatnie zdania. Holden nic nie zauważył.

– Konkurs... To jest kompletnie bez sensu!

– Wiem, że to nie ma sensu! – odparł Cochrane. – To są public relations! Zaczynam ponownie odzyskiwać szacunek do samego siebie. Widzę teraz, że zadanie eksploracji kosmosu, jest na tyle dobrze realizowane, na ile dobry jest facet zajmujący się jego public relations!

Ruszył ochoczo, żeby znaleźć Babs i kazać jej zostawić stanowisko przy komunikatorze, tak by kolejne pytania pozostawały bez odpowiedzi. Była to kwestia prostej polityki biznesowej.

Podnośnik, który wysuwał się ze śluzy powietrznej, obecnie był mocno eksploatowany. Wylądowali na tej planecie i teraz szykowali się do odlotu z niej, a mieli tylko niewielki faktyczny kontakt z jej powierzchnią. Tak więc Jamison wziął swoje legginsy -- zakładane początkowo na potrzeby show -- i on oraz Bell zajechali na dół aby przetrząsnąć okoliczne lasy. Jamison dźwigał jedną ze strzelb Johnny'ego Simmsa, na którą patrzył z największą podejrzliwością, zaś Bell dźwigał aparaty i kamery. Fotografowali drzewa i leśne poszycie, początkowo ogólne widoki, a potem z fanatyczną uwagą do najdrobniejszych listków, owoców i kwiatów. Bell zrobił zdjęcia jednemu z małych obrośniętych futrem dwunogów, które Cochrane i Bell wypatrzyli, kiedy była z nimi Babs. Następnie zrobił zdjęcie czegoś, co jak mu się wydawało, było pajęczyną -- była ona grubsza, cięższa i większa, niż jakakolwiek pajęcza sieć na Ziemi -- i ze sporą obawą rozglądał się za potworem, który mógł rozciągnąć trzydziestostopowe nici, o grubości żyłki wędkarskiej. Potem zorientował się, że to w ogóle nie miało służyć jako pułapka do łowienia zdobyczy. Była to konstrukcja, w środku której, jakieś nieodkryte jeszcze stworzenie umieściło gniazdo. Znajdowały się w nim jajka. Jakieś zwierzę zbudowało sobie trudno dostępny dom, w którym jego młode nie mogły zostać pożarte przez drapieżniki.

Al, pilot, wyłonił ze śluzy, zjechał na ziemię i podszedł zaledwie do granicy pierścienia popiołów. Nie wolno mu było jednak zrobić nawet kroku dalej. Krążył dookoła, cały nieszczęśliwy, udając że wcale nie chciał wejść do lasu. Próbował wyglądać na zupełnie zadowolonego, kiedy przyglądał się na wpół spalonym drzewom, jako swoim doświadczeniom z pierwszej pozaziemskiej planety, na której wylądowali ludzie. Kopnął kilka kamieni -- wygładzonych przez wodę -- okazało się, że jeden z nich miał plamki czegoś, co wyglądało jak zamknięte w środku złoto. Al obejrzał je z podnieceniem, ale po chwili przypomniał sobie o kosztach przewozu. Poszukał jednak kilku podobnych. Wkrótce miał pełne kieszenie małych kamyków, które powinny z zachwytem zostać przyjęte przez jego siostrzenice i siostrzeńców, ponieważ pochodziły z gwiazd. Właściwie, to były dosyć powszechnie spotykane minerały. Plamki, które wyglądały jak złoto, były tylko żelaznymi pirydami.

Jones w ogóle nie ruszał się ze statku. Odpoczywał, leniuchując. Również Alicia nigdzie nie wychodziła. Holden namawiał ją, aby poszła na spacer, ale odpowiedziała mu spokojnie:

– Johnny jest na dworze ze strzelbą. Poluje. Wolałabym nie być w towarzystwie Johnny’ego, w sytuacji kiedy może poczuć rozczarowanie.

Uśmiechnęła się i Holden poszedł sobie z kwaśną miną. Nie było żadnych szczególnych konsekwencji niezdolności Johnny’ego Simmsa, do zapamiętania co jest dobre, a co złe. Ale Holden w stosunku do mężczyzn, których żony wyglądają na cierpliwe, czuł to samo, co każdy normalny mężczyzna. Nawet psychiatrzy uważają, że złe traktowanie kobiety, która nie może oddać ciosów, jest w pewien sposób haniebne. Takie nastawienie ma niemal instynktowny charakter. To właśnie ono, określane jest jako wspaniała, głęboko zakorzeniona rycerskość, która stanowi jeden z najbardziej chwalebnych elementów współczesnej kultury.

Holden z ponurą miną usadził się przy komunikatorze, aby nawiązać połączenie wychodzące z Ziemią, podczas gdy w tym samym czasie było parę setek połączeń przychodzących, na które należało odpowiedzieć. Dzięki czystemu uporowi i złym manierom, udało mu się zrealizować swój cel. Połączył się ze szpitalem, w którym go znano i zaczął rozmawiać z pracującym w nim bakteriologiem. Bakteriolog był kompetentny, ale jeszcze nie był sławny. Korzystając z otrzymanych od Holdena solidnych przypuszczeń co do koloru światła słonecznego i prawdopodobnej zawartości w nim promieniowania ultrafioletowego, oraz ostrożnych oszacowań podobieństwa zapachu, płonącej tutejszej roślinności do roślin na Ziemi, doszli do nieprecyzyjnych, ale zgodnych ze zdrowym rozsądkiem konkluzji. Z setek tysięcy możliwych związków organicznych, jedynie tyle to a tyle, rzeczywiście bierze udział w procesach życiowych stworzeń zamieszkujących Ziemię. Jednak istniały setki tysięcy gatunków, gotowych do wykorzystania wszystkiego, co było zdatne do użycia. Jeżeli światło słoneczne i temperatura były podobne, to nieco bardziej niż prawdopodobne było to, że związki chemiczne wykorzystywane przez żywe organizmy, w obydwu przypadkach będą takie same. A więc, na nowej planecie powinny istnieć mikroorganizmy, które mogą być szkodliwe. Ale z drugiej strony, albo będą one produkowały zbliżone toksyny do ziemskich -- i ludzkie ciała mogłyby się im oprzeć -- albo będą to nowe związki, na które ludzie mogliby zareagować alergicznie. Generalnie, więc, jeżeli u kogoś rozwinie się jakiś odczyn alergiczny lub pojawią się objawy chorobowe, mieli powody do niepokoju. Dopóki jednak nikt z nich nie kichał, albo nie wyrzuciło mu żadnych krost, ich życie prawdopodobnie nie było zagrożone.

Ta pocieszająca konkluzja wymagała dłuższego czasu, żeby ją wypracować. W międzyczasie Babs i Cochrane zjechali na ziemię i wyruszyli na wędrowkę. Cochrane był uzbrojony, tak jak przedtem, chociaż nie miał specjalnego doświadczenia jako strzelec. W trakcie telewizyjnych show, reżyserował strzelaninę z broni palnej, przy użyciu ślepych naboí -- o minimalnej zawartości prochu, żeby nie ogłuszać mikrofonów. Wiedział więc co należy zrobić, żeby wystrzelić, ale nic więcej.

Nie wyruszyli w tym samym kierunku, co podczas pierwszej wycieczki. Statek miał wkrótce wystartować, zaraz jak tylko planeta obróci się na tyle, by dziób rakiety wycelował w pobliże ich następnego punktu docelowego. Mieli więc dwie godziny na swoją wyprawę.

Napotkali coś, co leżało nieruchomo w poprzek ścieżki, którą szli, jak wielki wąż. Cochrane popatrzył na niego z obawą. Potem zauważył, że zaokrąglony, błyszczący domniemany niby wąż, przymocowany jest do ziemi przez małe korzonki. Była to roślina, wyglądająca podobnie do pnącza, absorbująca pożywienie z ziemi przy pomocy rozległego systemu korzeniowego. Gdzieś, bez wątplenia, unosi się ona ku górze, i wypuszcza liście, aby korzystać ze światła słonecznego. Roślina wykorzystywała, przy okazji, zasadę działania studni bocznej, zbierającej w suchych klimatach wodę, której było za mało, aby wypełnić zwykłe pionowe otwory.

Szli i szli, jednocześnie podziwiając i zadziwieni. Wszędzie wokół siebie widzieli ciekawostki adaptacji, wybryki przystosowania ekologicznego, cudy symbiotycznej współpracy. Każdy botanik zemdlałby z radości, na widok otaczającego go dookoła materiału. Biolog bełkotałby wręcz ze szczęścia. Babs i Cochrane, nie mając ich wiedzy, tylko podziwiali. Spacerowali z zainteresowaniem, ale bez obawy, pośród niezrównanych cudów. W domu, na Ziemi, wiedzieli o naturze tyle, co większość ludzi – czyli praktycznie zupełnie nic. Babs nigdy wcześniej nie widziała nawet żadnej dzikiej rośliny. Była zafascynowana tym co zobaczyła tutaj, i wykrzykiwała na widok każdego niemal nowego dziwa. Ale nie uświadamiała sobie nawet ułamka cudów, na których spoczywał jej wzrok. Generalnie jednak, przeżywała je z zaangażowaniem.

– To naprawdę szkoda, że nie mamy helikoptera – stwierdził z żalem w głosie, Cochrane. – Gdybyśmy mogli przelatywać z miejsca na miejsce, i wysyłać do domu zdjęcia i filmy... Nie możemy tego robić przy pomocy statku... Spaliłby na to więcej paliwa, niż mamy do dyspozycji.

Babs zmarszczyła czoło.

– Doktor Holden był bardzo zasmucony, że nie możemy zrobić tak kuszących filmów, jakie by chciał.

Cochrane zatrzymał się, żeby przyjrzeć się czemuś podobnemu do płaskiego dysku z szaro-zielonego ciała, który powoli usuwał się im z drogi, niespokojnymi, wijącymi się ruchami. Zniknął w lesie, i Cochrane powiedział:

– Tak. Bill to dobry człowiek, nawet pomimo tego, że jest psychiatrą. Rozpaczliwie próbuje coś zrobić dla tych biedaków w domu, którzy są tak żałośnie sfrustrowani. Istnieją dziesiątki milionów ludzi, którzy nie marzą o niczym więcej, niż o zapewnieniu schronienia i zapasów żywności, sobie i swoim rodzinom. Nie są w stanie nawet mieć nadziei, że mogliby otrzymać od życia coś więcej. A tak niewielu jest na tyle rozgarniętych, żeby się koło tego choć trochę zakrzętnąć. Ale Bill chce im dać nadzieję. Wymyślił sobie, że bez tej nadziei, świat w ciągu kolejnego pokolenia, zmieni się w dom wariatów. I pewnie tak by się faktycznie stało.

– Próbuje pan coś z tym zrobić! – szybko wtrąciła Babs. – Czy nie myśli pan o daniu nadziei wszystkim ludziom mieszkającym na Ziemi?

– Nie! – warknął Cochrane. – Nie próbuję zrobić niczego tak abstrakcyjnego, jak dostarczenie nadziei sfrustrowanej ludzkości! Nikt nie może dostarczyć abstrakcji. Nikt nie jest w stanie zrealizować abstrakcji. Wszystko co kiedykolwiek zostało naprawdę zrobione, to rzeczy konkretne i rzeczywiste! Być może uda się znaleźć w tym jakieś abstrakcyjne jakości, ale potem, kiedy praca zostanie już zakończona, ale ja jestem praktycznym mężczyzną! Nie próbuję wytworzyć poprawy klimatu psychologicznego, odpowiedniego dla zdebiłałych psycholi. Ja próbuję tylko dokończyć naszą robotę!

– Tak się zastanawiałam – przyznała Babs, – na czym polega ta nasza robota.

Cochrane wykrzywił twarz.

– Nie uwierzyłybyś w to, Babs.

Poczuli dziwne drżenie pod stopami. Zatrzęsły się drzewa. Nie było żadnych niebezpiecznych następstw wstrząsu. Nigdzie. Nic się nie przewróciło. Nie stoczyły się żadne skały. W dolinie położonej pośród wulkanów, gdzie w każdej chwili widać było dym unoszący się z nie mniej niż sześciu kraterów, wstrząsy nie mogły powodować zniszczeń. Wszelkie zniszczenia, jakie mogły spowodować łagodne trzęsienia ziemi, zostały już dokonane setki lat temu.

Babs wyznała z niepokojem:

– To było... dziwne, co nie?

Cochrane skinął głową. Ale dokładnie tak samo, jak on i Babs nie byli uwarunkowani, aby bać się zwierząt, dzięki podróżom lotniczym na Ziemi i lotom kosmicznym, wszelkie nagłe ruchy w ich otoczeniu, natychmiast powodowały u nich stan alarmu. Wstrząsy w tym miejscu, były ewidentnie częstą sprawą. Aby im przeciwdziałać, drzewa były mocno zakotwiczone w ziemi, tak jak przeciwko porywistym wiatrom w otwartych miejscach. Nie pozostało wystarczająco dużo materiału dla spadających lawin. Naprawdę niestabilne zbocza, mające tendencję do osuwania się, zostały strząśnięte już dawno temu.

– Naprawdę szkoda, że nie mamy helikoptera – powtórzył Cochrane. – Widok na góry, kiedy schodziliśmy w dół, z tymi lodowcami pomiędzy dymiącymi stożkami wulkanów -- to był naprawdę dobry materiał na show! Moglibyśmy utrzymać zainteresowanie tym miejscem, przez czas, podczas którego zajmowalibyśmy się konkursem na nazwę. Dałoby nam to dodatkowy kapitał, do wykorzystania w dalszych działaniach. A w tej sytuacji, musimy przenieść się dalej, pomimo tego, że praktycznie niczego nie osiągnęliśmy. Problem polega na tym, że nie wydaje mi się, abyśmy mogli odnieść w nowym miejscu, taki sukces jak tutaj! Boże, gdybym tylko mógł mieć helikopter!

Pomógł jej wejść na niewielkie, strome wzniesienie, na stoku którego spod ziemi wystawała skała.

Ziemia ponownie zadrżała. Nie zatrważająco, ale uchwyt Babs na jego ręce lekko się zacieśnił. Kontynuowali swoją wspinaczkę. Weszli na wierzchołek małego, nagiego wzniesienia, które wyrastało ponad las. Oglądali widok roztaczający się ponad koronami drzew, i była to naprawdę rozległa panorama. Wszelkie otaczające ich góry, były wyraźnie

widoczne. Niektóre z nich znajdowały się dziesięć, a wręcz dwadzieścia mil od nich. Jeszcze inne, położone nawet dalej, dostrzec można było tylko z trudem, rozmyte mgiełką odległości. Nad jedną z tych najdalszych, unosił się gruby słup gęstego dymu. Przyjmował wyraźny kształt grzyba. Były czasy w historii ludzkiej, kiedy kojarzyłby się on z typową chmurą wulkaniczną. Dla Babs i Cochrane'a, nieodparcie przypominał typową chmurę wybuchu atomowego.

Ziemia pod nogami zatrzęsa się mocno. Babs zatoczyła się.

Z okolicznych lasów wzbily się roje latających stworzeń. Unosiły się ponad wierzchołkami drzew, rzucając się na wszystkie strony i trzepocząc skrzydłami. Wcześniejsze lekkie drgania nie wzbudzały alarmu wśród zamieszkujących dolinę stworzeń. Ale tak silne wstrząsy podłoża, jak ten ostatni, były zupełnie inną sprawą.

Jedno z wielkich drzew, wznoszących się ponad korony swoich towarzyszy, powoli się przewróciło. Z potężnym chrupotem i trzaskiem, przechyliło się majestatycznie w kierunku odległej dymiącej góry. Upadło z hukiem na mniejsze drzewa. Zaczęły również rozlegać się kolejne trzeszczące odgłosy. Latające stworzenia wzniosły się wyżej, wyraźnie wyglądały na poruszone. W uszach stojącej na wzgórzu dwójki ludzi, dźwięczały echa tych wydarzeń.

Kolejny ostry wstrząs. Babs wyrwał się cichy, nieartykułowany krzyk. W oddali widać było coraz więcej dymu. Ponad odległym stożkiem wulkanicznym, który był już niewidoczny w kłębach wysyłanego w powietrze dymu -- ponad krawędzią dalekich gór, pojawiła się poświata. Była to cienka linia jasnego, białego światła. Z niesamowitą powolnością, zaczęła pełznąć w dół, po stromo opadającym, dzięki Bogu, odległym zboczach gór.

Wydawało się, że ziemia pod nogami nagle przesunęła się lekko, a następnie wsunęła się z powrotem. Po drugiej stronie, pięć mil dalej w dół doliny, część kamiennej ściany odłączyła się od reszty, i ześlizgnęła się w dół, pozornie jakby w zwolnionym tempie. Kolejne dwa wielkie drzewa zaczęły straszliwie trzeszczeć. Jedno z nich upadło. Na części nieba, rozpostarła się zasłona niesamowitej ciemności. Jej spodnia strona jaśniała jakby piekielnymi ogniami, wydobywającymi się z położonego w dole krateru. Iskry strzelały wysoko ponad wierzchołki gór.

Wyglądało to rzeczywiście bardzo dziwnie, ale niebo ponad ich głowami nadal miało kolor spokojnego, cichego błękitu. Na horyzoncie jednak, ściana ognia rozprzestrzeniła się na całych, długich na mile zboczach. Wydawała się poruszać z nieskończoną powolnością, ale widać było, że tak naprawdę przesunęła się na taką odległość, że musiała mknąć z szybkością pociągu ekspresowego. Bez wątplenia była przy tym niewyobrażalnie gorąca, świecąc bielą stopionego kamienia, rzadkiego jak woda, spływającego w dół, jak ognista powódź.

Nie wyczuwali już, że ziemia drży od nogami. Wręcz odwrotnie, teraz zauważalnym wrażeniem było, to że ziemia stawała się nieruchoma. Wstrząsy były niemal nieustanne. Od czasu do czasu pojawiały się odmienne ostre szarpnięcia, jakby od padających gdzieś w pobliżu gwałtownych ciosów.

Babs przypatrywała się temu wszystkiemu, zafascynowana. Uniosła wzrok na Cochrane'a. Skóra jego twarzy była zupełnie biała. Na czole widać było krople potu.

– Tutaj jesteście bezpieczni, czyż nie? – spytała, nagle wystraszona.

– Tak mi się wydaje. A nie mam zamiaru zabierać cię między te walące się drzewami, dopóki to wszystko nie ustanie! O, właśnie upadło kolejne drzewo! Martwię się o statek. Jeżeli się przewróci...

Spojrzała na dziób statku, błyszczący barwą srebrzystego metalu, wyrastający spomiędzy drzew rosnących wokół miejsca lądowania, które wypalił sobie do czysta. Widać było jedną trzecią jego długości.

– Jeżeli się przewróci – powiedział Cochrane, – to nigdy już nie będziemy w stanie nim wystartować. Musi być wycelowany w górę, żeby mógł polecieć.

Babs powiodła wzrokiem od statku, do jego twarzy i z powrotem. Potem jej oczy powędrowały z bojaźnią, na odległą górę. Teraz dobiegały od jej strony groźne pomruki. Nie były specjalnie głośne. Prawdę mówiąc, nie były wiele silniejsze niż dobiegające z daleka stłumione mruczenie, na najniższej granicy zakresu słyszalnych dźwięków. Brzmiały jak słabutki i bardzo odległy grzmot. W chmurze, otaczającej w tej chwili wierzchołek góry, widać było rozbłyski podobne do wyładowań błyskawic.

Cochrane wydał z siebie trudny do określenia, cichy okrzyk. On przypatrywał się statkowi. W miarę jak przez ziemię przetaczały się kolejne fale uderzeniowe erupcji, coraz bardziej widoczny stawał się lekki, niemal równoczesny ruch wierzchołków drzew. Cochrane'owi wydawało się, jakby statek kosmiczny chwiał się razem z nimi, tak jakby miał zaraz się przewrócić.

Pojazd nie był zaprojektowany, aby wytrzymać tak gwałtowne skutki, jakie wywołałby upadek. Kadłub statku powyginałby się, albo popękał. Było co najmniej możliwe, że wybuchłyby zgromadzone zapasy paliwa. Nawet jeżeli upadek statku zostałby złagodzony przez ciągle jeszcze stojące wokół niego drzewa, nie zdołałby już ponownie wystartować. Ośmiu ludzi, wchodzących w skład załogi, nigdy nie dałoby rady ponownie postawić go w pionie. Ciąg rakiet popychał go w kierunku, w który skierowany był dziób. Gdyby statek leżał, odrzut silników przeorałby tylko na ślepo okoliczne drzewa i kamienie, siejąc zniszczenie.

Statek znowu się zakotłosał. Wyraźnie. Przebiegające przez ziemię fale sejsmiczne, powodowały, że pomimo swojej wagi, chwiał się jakby pod wpływem podmuchu. Część z jego podstaw, opierała się na niemal widocznej spod ziemi skale, znajdującej się zaledwie stopę pod powierzchnią gruntu. Jedna z płetw ogonowych spoczywała jednak na zwykłej glebie. W miarę przechodzących kolejnych wstrząsów, widać było, że podstawa tej płetwy, zapadła się w miękką ziemię. Cały statek w widoczny sposób się przechylił.

Latające stworzenia rzucały się w tą i z powrotem, ponad wierzchołkami drzew. Wiele mil dalej, królowała nieczuła gwałtowność natury. Kłęby pyłu i dymu, strzelały w niebo na kilka mil, a połowa zbocza góry świeciła rozgrzaną do białości lawą. Dobiegał stamtąd nieprzerwany, nieustannie trwający odgłos grzmotu, a ziemia trzęsła się i drżała...

W pobliżu coś się poruszyło. Z lasu wyłoniło się jakieś stworzenie o żółtym futrze, z kształtu podobne do niedźwiedzia, o długich uszach. Wdrapywało się do góry, na goły stok wzgórza, na którym stali Cochrane i Babs.

Zignorowało ich. Po wejściu do połowy, na pozbawione drzew zbocze wzgórza, zatrzymało się i zaczęło wydawać z siebie żałośnie brzmiące, wysokie dźwięki. Pojawiły się również inne stworzenia. Wiele z nich nadeszło, kiedy mężczyzna i dziewczyna, byli za bardzo zaabsorbowani, żeby zwrócić na to uwagę. Teraz kolejne dwa duże zwierzęta wyszły na otwartą przestrzeń i zaczęły wspinać się na wzgórze.

Babs spytała drżącym głosem:

– Czy... myślisz, że on... czy myślisz...

Rozległ się kolejny, bliższy grzmot. Statek kosmiczny przechylał się, coraz bardziej... Cochrane zacisnął wargi.

Silniki statku zaryczały i wokół niego rozpętała się burza pędzącego dymu i ognia. Rakieta uniosła się, kołysząc się lekko, kiedy silniki sterujące próbowały szaleńczo wcisnąć jej dolne części pod masę całego kadłuba. Przechyliła się gwałtownie i silniki buchnęły straszliwym ogniem. Uniosła się ponownie. Ogon statku był już ponad drzewami, ale dziób nadal nie wskazywał pionowo w górę. Zatoczył się straszliwie ponad lasem, zostawiając za sobą ogromny ślad palącej się roślinności. Potem statek ustabilizował swój lot, wycelował prosto w niebo i zaczął się wznosić...

A po chwili nagle go już nie było. Oczywiście włączony został dopalacz pola Dabneya, który wyniósł statek prosto w kosmos. Statek zniknął w przestrzeni kosmicznej.

Pole Dabneya przerzuciło go przedtem o jakieś sto siedemdziesiąt parę lat świetlnych od ziemskiego Księżyca, w jednym mgnienu oka. Tym razem również mógł odlecieć tak daleko. Ktokolwiek by nie był w środku, nie miał wyboru, musiał wystartować, i nie było innego sposobu na start, jak tylko przy samobójczym zużyciu paliwa.

Cochrane spoglądał w miejsce w górze, w którym zniknął statek. Minęło kilka sekund. Nadleciał grzmot wywołany implozją powietrza, wypełniającego próżnię, jaką pozostawiło po sobie zniknięcie statku.

Spoza pleców pary ludzi stojących na wierzchołku wzgórza, doleciały piski zwierząt. Na otwartej przestrzeni znajdowało się już osiem wielkich żółtych bestii. Małe, pokryte futrem dwunogie zwierzęta, człapały desperacko, żeby zejść im z drogi. Tu i ówdzie przycupnęły inne mniejsze stworzenia. Jakieś wijące się zwierzę, pokryte futrem, ale nie posiadające widocznych nóg, wpełzało pod górę, nie oglądając się na nic. Ale wszystkie zwierzęta były wystraszone. Przestrzegały bezwzględного rozejmu, wymuszonego przez przemożną siłę mocniejszego strachu, wywołanego przez naturę.

Daleko stąd, wulkan na linii horyzontu, huczał, błyskał i wyrzucał z siebie monstrialne chmury pyłu. Świeące rozpalone strumienie lawy na jego zboczach, jaśniały odbijając się od lodowców.

Babs nagle wciągnęła głęboko powietrze. Uświadomiła sobie właśnie, w jakiej sytuacji znaleźli się ona i Cochrane.

Cała drżąca, przycisnęła się mocno do niego, patrząc jak odległa chmura czarnego dymu, rozchodzi się powoli w stronę środka nieba.



VIII

Pprzed zachodem słońca, dotarli do polany popiołów, w miejscu w którym stał statek. Cochrane był pewien, że jeżeli ktoś jeszcze zostałby na planecie, poza nimi, miejsce lądowania byłoby jedynym sensownym punktem zbiórki. Kiedy Babs i Cochrane schodzili ze statku, aby wyruszyć na spacer, wypełniając sobie dwie godziny wolnego czasu, który astronomowie z Ziemi wyznaczili jako niezbędny do odczekania, na pokładzie było tylko trzech członków załogi pozostali. Na statku zostali Jones, Holden i Alicia Simms. Cała reszta wyruszyła żeby trochę poeksplorować. Wyruszyli w dokładnie takim samym nastroju, jak wszyscy inni wycieczkowicze i turyści. Ale niektórzy lub może nawet wszyscy, mogli wrócić przed odlotem statku.

Widocznie tak też się stało. Wydawało się, że od chwili startu rakiety, nikt nie wrócił na wypaloną przestrzeń. Odrzut rakiet zatarł wszystkie poprzednie ślady, ale na polanie rozsiana została nowa warstwa popiołu. Odciski stóp byłyby na niej doskonale widoczne. Gdyby ktokolwiek pozostał na planecie, przyszedłby tutaj. Nie było żadnych śladów. Babs i Cochrane zostali więc tutaj sami.

Ziemia nadal drżała, ale nie było już ostrzejszych wstrząsów. W lesie paliło się, w miejscu gdzie odchylający się od pionu statek, pozostawił długą, nową smugę płonącego ognia. Dwoje rozbitków wpatrywało się w okrągłe, puste miejsce lądowania. W górze, błękitne do tej pory niebo, zaczęło robić się żółte -- ale w tej części, gdzie unosił się dym pochodzący z erupcji, szybko przybrało ono kolor brązowawo-czerwony -- a wkrótce żółć znikła, ustępując miejsca złocistym odcieniom. Niewypalona zielona roślinność wokół nich, w tej złotej poświacie, wyglądała osobliwie pięknie. Ale stała się jeszcze piękniejsza, kiedy niebo zmieniło kolor na różowy, potem z kolei na karminowy, a następnie całe zrobiło się szkarłatne, od jednego horyzontu do drugiego, poza miejscem gdzie chmura dymu wulkanicznego psuła efekt kolorystyczny. Wtedy od wschodu zaczęła wkraczać ciemność, i niebo przyjęło kolor czerwieni tak głębokiej, że praktycznie była ona czarna. Zaczęły przez nią przebijać nieznajome, jasne gwiazdy.

Zanim zapadła kompletna ciemność, Cochrane przyciągnął płonące gałęzie z obrzeża nowego pożaru -- pomimo piekącego gorąca -- i w miejscu w którym stał statek, zapłonął nowy, mniejszy ogień.

- To nie tylko po to, żeby było nam ciepło - krótko wyjaśnił, - ale również byśmy w razie potrzeby mieli światło. A nie jest to też takie zupełnie nieprawdopodobne, że zwierzęta będą bały się ognia.

Odszedł, aby pościagać kawałki drzewa, z masy nadpalonego materiału, pozostałego po wypaleniu pierwszego pożaru. W samym środku

polany zbudował coś w rodzaju wału obronnego. Naznosił też wielkie sterty nadpalonego drewna koło ogniska. Nie wiedział za bardzo, ile go będzie trzeba do podtrzymania ognia aż do świtu.

Kiedy skończył, Babs w milczeniu zajęła się pracą nad znalezieniem sposobu utrzymywania płonącego ognia. Płonące kawałki, powinny być złożone razem. Jedna gałąź, paląca się oddzielnie, gasła. Dwa rozpalone do czerwoności polana, złożone razem, utrzymywały się nawzajem pod ogniem.

– Przepraszam, ale nie mamy nic do jedzenia – powiedział jej Cochrane.

– Nie jestem głodna – zapewniła go. – I co teraz będziemy robić?

– Do rana nie mamy nic do roboty. – Nie zdając sobie z tego sprawy, Cochrane wyglądał bardzo ponuro. – Potem będzie jej całe mnóstwo. Przede wszystkim jedzenie. Prawdę mówiąc, nawet nie wiemy, czy na tej planecie jest cokolwiek nadającego się do jedzenia -- oczywiście dla nas. Być może jadalne będą niektóre owoce, albo może jakieś łodygi lub liście. Tylko że... nie wiemy które są które. Musimy być bardzo ostrożni. Moglibyśmy wybrać coś w rodzaju trującego bluszczu!

Babs zaprotestowała:

– Ale przecież statek wróci!

– Oczywiście – zgodził się Cochrane. – Ale odnalezienie nas może zająć im trochę czasu. Wiesz, to jest naprawdę dosyć duża planeta.

Ocenił zapas zebranego materiału opałowego. Zaczął poprawiać wał, który zrobił wcześniej. Babs przyglądała się mu. Po czterech, czy pięciu minutach, zrobił krok w tył.

– Możesz się o to oprzeć – wyjaśnił jej. – Będziesz mogła całkiem wygodnie siedzieć i patrzeć na ogień. No i to jest coś w rodzaju muru. Po jednej stronie będzie ci świecił ogień, a dzięki ścianie, kiedy zachce ci się spać, nie będziesz się bała o to co jest za tobą.

Babs skinęła głową. Przełknęła ślinę.

– Ja... Wydaje mi się, że rozumiem, o co panu chodziło, kiedy powiedział pan, że mogą mieć kłopot z odnalezieniem nas, ponieważ ta planeta jest taka duża.

Cochrane niechętnie skinął głową.

– Oczywiście, jest to wypalone miejsce, wskazujące naszą pozycję – zauważył pocieszająco. – Ale jednak znalezienie go może zająć im te parę dni.

Babs ponownie przełknęła ślinę. Potem, ostrożnie stwierdziła:

– Statek... nie może unosić się jak helikopter aby prowadzić poszukiwania. Sam pan tak mówił. Nie ma dostatecznie dużej ilości paliwa. W ogóle, nie mają możliwości, żeby nas tak naprawdę szukać! Jedyńm sposobem na przeprowadzenie poważnych poszukiwań, byłby powrót na Ziemię i... sprowadzenie tutaj helikopterów, zapasów paliwa dla nich, oraz ludzi którzy będą je pilotować... Czy to prawda?

– Niekoniecznie. Ale musimy rozważyć kwestię... no cóż... dwóch czy trzech dni, jako poważną możliwość.

Babs zwilżyła wargi, a on szybko dodał:

– Robiłem kiedyś show o paru górnikach zagubionych na pustkowiu. Show w odcinkach. I tam, oni wiedzieli, że część ich żywności jest zatruta. Nie wiedzieli tylko która. Musieli przecież korzystać ze swojego jedzenia. No i oczywiście nie mieli żadnego laboratorium, przy pomocy którego mogliby wykryć truciznę.

Babs przyglądała mu się dziwnym wzrokiem.

– Bandażowali sobie ręce – mówił dalej Cochrane, – i wkładali pod bandaże kawałki rozmaitych produktów żywnościowych. Jeżeli, któreś były zatrute, zaraz to było widać. Trucizna atakowała skórę. Tak jak przy testach alergicznych. Rano, kiedy robi się jasno, spróbuję zebrać trochę próbek. Są tu przecież jakieś jagody i inne tego typu rzeczy. Muszą być jakieś owoce. W ciągu kilku godzin, powinniśmy je przetestować.

Babs powiedziała, bez żadnej intonacji.

– Możemy również obserwować, co jedzą zwierzęta.

Cochrane z powagą skinął głową. Zwierzęta na Ziemi mogą zjadać rzeczy, które ludziom -- jakby to delikatnie określić -- raczej niespecjalnie smakują. Dla przykładu, trawę. Ale to dobrze, że Babs, w tej chwili, zaczęła myśleć o pozytywnych rzeczach. Będzie mnóstwo zniechęcających spraw, które trzeba będzie przełknąć później.

Na niebie zamigotało coś jasnego. Wkrótce potem zadrżała ziemia. Usłyszeli dobiegający gdzieś z ciemności nocy żałosny wrzask „waa-waa-waaaaa!”. Coś innego wywołało odgłos podobny do dzwięczenia dzwonek. Nieco potem rozległo się jakieś abstrakcyjne wycie, które dolatywało w jednej chwili skądś z bliska, i w niemal tej samej z bardzo daleka. W końcu usłyszeli coś, co dokładnie przypominało odgłos wpadającej do basenu wody. Ale źródło tego specyficznego bulgocącego dźwięku, przemieszczało się przez ciemny las, poza polaną.

W miejscu, w którym się znajdowali, nie było tak zupełnie ciemno, nawet poza kręgiem blasku ich małego ognia. Płonące drzewa, na szlaku pozostawionym przez odlatującą rakietę, wysyłały w górę słup jasnego światła, utrzymywany przez pozostałe jeszcze płomienie. Niezwykle prymitywny obóz, zbudowany przez Cochrane’a, na tle otaczających go popiołów, wyglądał jak obozowisko na śniegu.

– Musimy pomyśleć o schronieniu – nieco później powiedziała Babs, naprawdę bardzo spokojnym tonem. – Jeżeli są tutaj lodowce, muszą być tu ostre zimy. Jeżeli są tu zimy, musimy się dowiedzieć, które zwierzęta możemy jeść, i jak przechowywać ich mięso.

– Zaraz, zaraz! – zaprotestował Cochrane. – Spoglądasz chyba trochę za daleko w przyszłość!

Babs ścisnęła razem ręce. Dzięki temu chciała ukryć ich drżenie. Cochrane popatrzył jej w twarz. Utrzymywała ją pod godną podziwu kontrolą.

– Naprawdę? – spytała Babs. – W trakcie ostatniej audycji, pan Jamison mówił, że tutaj jest tyle miejsca, ile zajmuje cały kontynent azjatycki. Być może trochę przesadzał. Powiedzmy, że powierzchnia tych ziem nie znajdujących się pod lodem, wynosi tylko tyle ile ma Ameryka Południowa. W całości ten teren pokryty jest lasem, równinami i ... jest niezamieszkały. – Zwilżyła wargi, ale jej głos był bardzo równy. – Gdyby

cała Ameryka Południowa, była niezamieszkała, i zagubiło się w niej dwoje ludzi, oraz nikt by nie wiedział, gdzie oni są... jak długo zajęłoby ich odnalezienie?

– To byłaby wyłącznie sprawa szczęścia – przyznał Cochrane.

– Jeżeli statek wróci, nie będzie mógł unosić się w powietrzu, żeby nas poszukiwać. Nie ma dostatecznie dużo paliwa. Nie będą też w stanie zauważyć nas z kosmosu, jeżeli wejdą na orbitę jak platforma kosmiczna. Do czasu zanim otrzymają jakąś pomoc, nie będą już nawet pewni, że jeszcze żyjemy. Jeżeli nie możemy liczyć na natychmiastowe odnalezienie, to wypalone miejsce, zacznie ponownie zarastać zielenią. Za dwa lub trzy tygodnie i tak nie będą go już w stanie znaleźć.

Cochrane wiercił się niespokojnie. Do wszystkich tych wniosków, sam już dawno doszedł. Miał tylko opory przed powiedzeniem tego, czy nawet przyznaniem się do wątpliwości, Babs. Po chwili dodała z wyraźnym skrepowaniem:

– Kiedy już na tę planetę przylecą jacyś ludzie, żeby zbudować miasto i nas odnaleźć, może minąć nawet sto lat, zanim ktokolwiek, przypadkowo natknie się na tę dolinę. Szukanie nas, byłoby dużo trudniejszym zadaniem, niż znalezienie igły w stogu siana. Nie wydaje mi się, żebyśmy zostali odnalezieni.

Cochrane siedział w milczeniu. Czuł się winny z powodu ulgi, jaką poczuł na myśl, że nie będzie musiał przekazywać Babs tych hiobowych wieści. Większość mężczyzn, ma instynktowne wrażenie, że kobieta będzie winiła ich za złe wiadomości, które od nich usłyszy.

Dużo później, Babs powiedziała, równie spokojnym tonem, jak wcześniej:

– Johnny Simms prosił mnie, abym mu towarzyszyła, kiedy wyruszał na polowanie. Nie przyjąłem propozycji. I przynajmniej... nie zostałem rozbitkiem razem z nim!

Cochrane odparł szorstko:

– Nie siedź tak i nie rozmyślaj! Spróbuj złapać trochę snu.

Skinęła głową. Po dłuższej chwili, głowa jej opadła. Obudziła się i poderwała ją z szarpnięciem do góry. Cochrane polecił jej zirytowanym tonem, żeby wygodnie się położyła. Wyciągnęła się obok zrobionej przez Cochrane'a ściany z drewna. Powiedziała spokojnie:

– Jutro, kiedy będziemy szukać żywności, lepiej rozejrzyjmy się również za miejscem, w którym moglibyśmy zbudować dom.

Potem zamknęła oczy.

Cochrane stał na straży przez długie, ciemne godziny. Bez przerwy dobiegały do niego nocne odgłosy lasu, a niedługo przed świtem odległy wulkan zdawał się rozpocząć nowy paroksyzm aktywności. W nocnych ciemnościach ponownie zahuczały grzmoty i odgłosy eksplozji. Na niebie pojawiły się rozbłyski i migotania. Ale po tym wydarzeniu, drgania były znacznie słabsze, a wstrząsy w ogóle ustały.

Parę razy Cochrane przyłapał się na drzemce. Trudno było przez cały czas zachować pełną czujność. Tylko raz usłyszał w lesie skrzek, który brzmiał jak krzyk jakiegoś stworzenia, schwytanego przez drapieżnika. Nie było to zresztą nawet gdzieś w pobliżu. Próbował stworzyć jakieś plany

działania. Gorzko robił sobie wyrzuty, że tak mało wiedział o rzeczach, które mogłyby być przydatne dla rozbitków. Ale przez całe swoje życie, był przecież mieszczuchem. Sztuka myśliwska nie tylko nie wchodziła w zakres jego doświadczeń -- na przeludnionej Ziemi, była ona zupełnie bezużyteczna.

Od czasu do czasu, łapał się na tym, że zamiast o jakichś praktycznych rzeczach, rozmyślał o zadziwiającej sile ducha, którą okazała Babs.

Kiedy się obudziła, dobrze po nadejściu dnia, i siedziała mrugając oczyma, powiedział do niej:

– Eee... Babs. Siedzimy w tym wszystkim oboje razem. Od teraz, jeżeli będziesz chciała powiedzieć mi coś, przydatnego dla mnie, to nie krępuj się! Dobrze?

– I tak bym to zrobiła. Dla dobra nas obojga. Czy nie wydaje się panu, że dobrze by było znaleźć jakieś miejsce, w którym będziemy mogli napić się wody? Woda do picia musi być dobra!

Wyruszyli w drogę. Cochrane niósł broń, którą zabrał ze statku. To Babs, wskazała logicznie, że strumień niemal z pewnością znajdą na zboczach, w miejscu, w którym najłatwiej mogła spływać woda z opadów. To również Babs zauważyła, że jeden z małych, wysokich na stopę, pokrytych futrem dwunogów, żarłocznie ucztuje, pochłaniając małe okrągłe owoce, wyrastające z podstawy niewielkich drzew, zamiast z ich gałęzi. Jeżeli chodzi o rozsiewanie swoich nasion drzewo to, najwidoczniej, bardziej polegało na czworonogach, niż na stworzeniach latających. Zebrali próbki owoców. Cochrane odciął kawałek mięszu od jednej z zebranych kulek, i włożył go sobie pod pasek od zegarka.

Znaleźli w końcu strumień. Znaleźli również inne owoce, i Cochrane dla każdego z nich, tak na początek, zastosował ten sam test. Jedna z próbek, niemal natychmiast wywołała u niego rumień na skórze i złość z powodu swędzącej ręki. Wyrzucił ją, i wszystkie owoce, z gatunku, z którego pochodziła.

W południe, spróbowali pierwszego, spośród zebranych wcześniej owoców. Miał czerwony, soczysty miąższ. Jego budowa doskonale się nadawała do żucia. Smak owocu był trudny do określenia, poza bardzo łagodnym cieniem posmaku zmieszanych razem klonu i mięty.

Po jego zjedzeniu, nie mieli żadnych niepokojących objawów. Inne owoce nie były jednak aż tak satysfakcjonujące. Spośród próbek, dla których test skórny wskazywał, że nie są trujące, jeden z owoców był tak cierpki, że aż szczypał w zęby, inne zaś nie miały żadnego smaku, poza smakiem zieleniny -- praktycznie smakowały tak samo, jakby próbowało się żuć liście.

– Wydaje mi się – stwierdził kwaśno Cochrane, kiedy zmierzali na nocleg do polany popiołów, – że musimy sprawdzić, które zwierzęta nadają się do jedzenia.

Babs skinęła rzeczowo głową.

– Tak. Dzisiaj ja również biorę swoją kolejkę warty. Jak słusznie pan rano zauważył, siedzimy w tym razem oboje.

Popatrzył na nią ostro, i zarumieniła się.

– Wiem, co mówię! – powiedziała z uporem. – Przez część nocy ja też będę trzymała wartę!

Był rozpaczliwie zmęczony. Jego mięśnie nie wróciły jeszcze do normy, po długim pobycie w niskiej grawitacji na Księżycu. Ona więcej odpoczywała niż on. Musiał jej pozwolić, aby mu pomogła. Jednak po jej słowach zapanowało między nimi pewne zakłopotanie, ponieważ wyglądało na to, że mieli spędzić ze sobą resztę życia, a to nie oni podjęli tę decyzję. Została ona podjęta za nich. A oni jeszcze nie do końca ją uznali.

Kiedy dotarli z powrotem na polanę, Cochrane zaczął ściągać w kierunku jej środka nowe kłody, chociaż duża część zapasu paliwa z ostatniej nocy, pozostała jeszcze nie wykorzystana. Z rzeczowym praktycyzmem, Babs wzięła się za ściąganie drewna razem z nim. Stwierdził z irytacją:

– Zostaw to! Już wcześniej zdałem sobie sprawę, jak niewiele wiem o tych wszystkich rzeczach, których będziemy potrzebować, aby przeżyć! Pozwól mi więc przynajmniej ogłupiać się złudzeniem mojej męskiej siły!

Uśmiechnęła się do niego, leciuteńko. Ale posłuchała go i poszła do ognia, aby poeksperymentować z kucharzeniem i spróbować przyrządzić nieco smaczniejszą kombinację owoców z drzew tej planety. Zmusił się do przyniesienia jeszcze większej ilości drewna, niż poprzedniego wieczora. Kiedy w końcu usiadł, powiedziała do niego pochłonięta pracą:

– Spróbuj tego, Jed.

Potem cała się zarumieniła, ponieważ mimowolnie nazwała go po imieniu. Ale wyciągnęła rękę i podała mu coś co było przypieczone, ale nie za bardzo spalone. Zjadł to, czując jak kolejnymi falami przebiega przez jego ciało zmęczenie. Upieczony owoc smakował niemal jak normalne jedzenie, przydałoby się tylko nieco soli. Znalezienie soli na tej planecie byłoby chyba jednak dosyć kłopotliwe. Woda, która normalnie powinna znajdować się w morzach, została uwięziona w lodowcach. Sól nie była więc wypłukiwana z ziemi i nie zbierała się w morzach. To mógł być poważny problem. W tej chwili jednak Cochrane był naprawdę bardzo zmęczony.

– Ja wezmę pierwsze dwie godziny – szybko zaoferowała się Babs. – Potem cię obudzę.

Pokazał jej, w jaki sposób użyć broni. Potem zmusił się do odpłynięcia spokojnie coraz dalej, w prowadzące do snu otępienie, tak jakby spodziewał się jakichś kłopotów z zaśnięciem. Zdecydowanie ich nie miał. Położył się i następną rzeczą, jaką zarejestrował, była potrząsająca nim gwałtownie Babs. W pierwszej chwili kiedy otworzył oczy, jeszcze oszołomiony, pomyślał sobie, że zostali otoczeni przez pożar lasu. To jednak było coś innego. To był blask świtu, a Babs pozwoliła mu spać przez calutką noc. Niebo było całe żółto-złote, od horyzontu do horyzontu. Co więcej, do jego uszu dochodziły nie tylko, tak obecnie spowszedniałe, wrzaski obudzonych już leśnych stworzeń, ale słyszał również jakiś ryczący odgłos, bardzo przyciszony i z bardzo dużej odległości. Odgłos, który mógł oznaczać tylko jedno.

– Jad! Jed! Wstawaj! Szybko! Statek wraca! Statek! Musimy stąd uciekać!

Pociągnęła go na nogi. Nagle zupełnie otrzeźwiał. Zaczął biec razem z nią. W trakcie biegu przekręcił głowę do tyłu i popatrzył w górę. Niemal bezpośrednio nad ich głowami, widać było chmurkę płomieni i dymów, malutką jak łepiek szpilki. Szybko robiła się coraz większa. Wyraźnie zmierzała na dół.

Dotarli do lasu otaczającego polanę i zanurkowali między drzewa. Babs potknęła się, a Cochrane przytrzymał ją i dalej już biegli obok siebie, ręka w rękę, żeby na pewno wydostać się z zasięgu płomieni odrzutu silników statku. Ryk rakiet stawał się coraz bardziej głośny i głośny.

W końcu rozbitkowie zatrzymali się i zaczęli się przyglądać. To był naprawdę statek. Z jego rufy buchały w dół gwałtowne strugi płomieni, niebiesko-białych i rozszalałych. Srebrzysty kadłub lekko się pochylił. To przesunęło jego linię podejścia. Zszedł na dół z widocznym szczególnym kunsztem sterowania, z którego Cochrane nie zdawał sobie wcześniej sprawy. Odrzut rakiet rozlał się po ziemi, ale jego ogień nie wyszedł poza krawędź pustego terenu, który został wypalony za pierwszym razem. Płomienie rakiet, prawdę mówiąc, nawet nie zbliżały się wielkością do tego, co można było oglądać na filmach z lądowania statków, albo do tych, które Cochrane widział pod lądującą na Ziemi rakieta księżycową.

Statek usiadł zaledwie kilka jardów od swojego oryginalnego miejsca postoju. Siła odrzutu rakiet zmniejszyła się, ale ciągle jeszcze pracowały. Płomień ponownie się skurczył. Hałas był potworny, ale również nie był to ten trudny do zniesienia ryk rakiety księżycowej, lądującej na Ziemi.

Rakiety zostały wyłączone.

Otworzył się właz wejściowy do śluzy powietrznej. Cochrane i Babs zaczęli wymachiwać radośnie rękoma z krawędzi polany. We włazie pokazał się Holden i krzyknął do nich, na dół:

– Przepraszam, że powrót zabrał nam tak dużo czasu!

Pomachał ręką i zniknął. Musieli oczywiście poczekać, aż ziemia ochłodzi się przynajmniej częściowo, zanim będzie można użyć podnośnika. Wokół nich nadal słychać było normalne odgłosy lasu. Od strony statku dolatywały trzaski stygnącego kadłuba.

– Zastanawiam się, jak oni w ogóle znaleźli drogę z powrotem! – powiedziała Babs. – Nie myślałam, że może to im się udać. A ty?

– Babs – zorientował się Cochrane, – okłamałaś mnie! Powiedziałaś, że obudzisz mnie za dwie godziny. Ale pozwoliłaś mi spać całą noc!

– Ty pozwoliłeś mi spać całą poprzednią noc – odparła mu spokojnym tonem. – Byłam bardziej wypoczęta niż ty, a dzisiejszy dzień miał być dosyć ciężki. Mieliśmy zamiar spróbować zabić jakieś zwierzęta. Potrzebowałeś odpoczynku.

Cochrane powoli oznajmił:

– Czegoś się dowiedziałem, Babs. Wiem już, dlaczego potrafisz tak niewzruszenie stawiać czoła faktom. Dlaczego my, ludzie, wszyscy jeszcze nie powariowaliśmy. Myślę, że w końcu zrozumiałem kobiecy punkt widzenia, Babs. I naprawdę mi się on podoba.

Wpatrywała się w wystające z kadłuba bańki portów widokowych statku, ciągle czekającego, aż ziemia ochłodzi się na tyle, aby mogli wejść na pokład.

– Myślę, że dalibyśmy sobie radę, nawet gdyby statek nie przyleciał – mówił dalej Cochrane. – Mielibyśmy kobiecy punkt widzenia, jako podstawę naszej pracy. Twój. Wybiegałaś myślą w przyszłość, w sprawie budowy domu. Oczywiście myślałaś również o zdobyciu jedzenia, ale zdawałaś sobie sprawę z możliwości nadejścia ciężkiej zimy i chciałaś zbudować dom. Nie myślałaś tylko o przeżyciu. Myślałaś perspektywicznie. Kobieta musi myśleć w dłuższej perspektywie, niż robi to mężczyzna!

Babs krótko obrzuciła go wzrokiem, a następnie wróciła do swojej najwidoczniej bardzo absorbującej kontemplacji statku.

– I na tym właśnie polega funkcjonowanie ludzi na Ziemi – pośpiesznie dodał Cochrane. – Nie ma mowy o żadnej frustracji, dopóki kobiety mogą wybiegać myślą w przyszłość – perspektywicznie, poza wyłącznie obecną chwilę! Kiedy kobiety mogą to robić, mogą podtrzymywać działanie swoich mężczyzn. Frustracja pojawia się wtedy, gdy tym mężczyznom nie można już nic zaplanować do realizacji, ponieważ kobiety nie mają nadziei. Rozumiesz? Widziałaś zbudowane tutaj miasto. Małe miasto, z wolno stojącymi domkami. Na Ziemi, zbyt wielu ludzi nie jest w stanie myśleć o niczym więcej, niż tylko o kwaterach mieszkalnych oraz o zdobyciu dla siebie -- i tylko dla siebie -- jedzenia. Nie potrafią już marzyć o niczym więcej. I tak to jest, w takiej sytuacji... Rozumiesz?

Babs nic nie odpowiedziała. Cochrane poczuł gniew. Mówił dalej rozzłoszczony:

– Niech to licha, czy nie rozumiesz, co ja próbuję ci powiedzieć? Lepiej byśmy sobie poradzili jako rozbitekowie, niż tam, na Ziemi, stłoczeni i ze strachem myślący o utracie pracy! Mówię ci właśnie, że wolałbym zostać tutaj z tobą, niż wracać, do stylu życia, w jakim tkwiłem przedtem, zanim wyruszyłem w tę podróż! Myślę, że nas dwoje, dałoby sobie radę w każdych okolicznościach! I nie chcę próbować dawać sobie rady bez ciebie! To nie miałoby sensu! – Potem wykrzywił się do niej bezradnie. – Do diabła, wystawiłem mnóstwo show, w których mężczyzna prosił kobietę o to, by za niego wyszła, i one wszystkie były jednym wielkim oszustwem. Teraz, kiedy *ja* muszę to zrobić, jest zupełnie inaczej! Jaki jest odpowiedni sposób, żeby poprosić cię o rękę?

Babs obrzuciła przelotnie wzrokiem jego twarz. Uśmiechnęła się najlżejszym z uśmiechów.

– Przeglądają się nam z portów statku – zauważyła. – Jeżeli chcesz usłyszeć mój punkt widzenia... Gdybyśmy pomachali im rękoma, że zaraz wrócimy, to moglibyśmy poszukać trochę więcej tych owoców, które upiekłam. To mogłoby być interesujące, gdybyśmy mieli dla nich coś do pokazania.

Wykrzywił się jeszcze bardziej niż przedtem.

– Przykro mi, że tak myślisz. Ale jeżeli to jest...

– A po drodze – przerwała mu Babs, – kiedy już nie będą nas widzieć, możesz mnie pocałować.

Gdy ziemia ostygła na tyle, aby mogli dostać się do podnośnika statku, mieli przygotowany okazały stos owoców o czerwonym mięszu.

Kiedy już znaleźli się na pokładzie, Cochrane udał się do sterówki, z uczepionymi mu do pleców Jamisonem i Bellem. Bell próbował dyskutować:

– Ale wulkan się już uspokoił -- pozostała tylko ściana pary w miejscu gdzie lava dotarła do lodowców -- i moglibyśmy załatwić całą tę sprawę w ciągu paru godzin! Mam przygotowane filmy do tła! Ty i Babs przygotowalibyście parę wybranych scenek, i mielibyśmy historię o rozbitkach! Wspaniałe! Pierwsza prawdziwa historia o rozbitkach pośród gwiazd! Przecież wiesz, co by to mogło oznaczać!

Cochrane warknął na niego.

– Spróbuj tylko, to ci nogi z tyłka powyrywam! Przeniosłem na ekran wystarczająco dużo spraw z prywatnego życia innych ludzi! Moje, zostaw w spokoju! Nie mam zamiaru pozwolić na żadne sztuczne show telewizyjne, zbudowane wokół losów moich i Babs, o którym ludzie mieliliby ozorami!

Bell odparł zranionym tonem:

– Ja próbuję tylko dobrze wykonywać swoją robotę! Patrzyłem na to jako pisarz. Nigdy nie miałem prawdziwej szansy, żeby pokazać co mogę zrobić z podobnego rodzaju materiałem!

– Zapomnij o tym! – Cochrane ponownie warknął. – Trzymaj się swoich kamer!

Jamison spróbował z nadzieją:

– Ale dasz mi jakieś dane na temat roślin i zwierząt? Zrobisz to? Właśnie piszę książkę, ze zdjęciami Bella, i...

– Zostawcie mnie w spokoju! – wściekł się Cochrane.

W końcu dotarł do sterówki. Al, pilot, siedział przy sterach w nastroju zdwojonej czujności.

– Wszystko z wami w porządku? Z powodu naszej zaplanowanej podróży powinniśmy wystartować za około dwadzieścia minut. Wtedy będziemy ustawieni mniej więcej we właściwym kierunku.

– Ze mną w porządku – powiedział Cochrane. – A ty możesz startować, kiedy będziesz miał ochotę.

Następnie zwrócił się do Jonesa:

– Jak nas znalazłeś? Nie myślałem, że da się to w ogóle zrobić.

– Doktor Holden to wymyślił – wyjaśnił Jones. – Dosyć proste, ale ja się kompletnie zagubiłem. Kiedy zaczęło się trzęsienie ziemi, wszyscy pozostali przybiegli na statek. Czkaaliśmy na was. Ale wy się nie pojawiliście. – Oczywiście, tak się stało, ponieważ Cochrane nie chciał ryzykować zabierania Babs do lasu, którego właśnie waliły się drzewa. – W końcu musieliśmy wybrać pomiędzy startem a rozbiciem się. Tak więc odlecieliśmy.

– To było absolutnie właściwe rozwiązanie. Gdybyście tego nie zrobili, dopiero bylibyśmy w niezłym bagnie – zapewnił go Cochrane.

Jones rozłożył ręce.

– Nie myślałem, że kiedykolwiek uda nam się was znaleźć. Kiedy skończyło się już działanie dopalacza, znaleźliśmy się sześćdziesiąt lat świetlnych stąd. Doktor Holden usiadł przy komunikatorze. Połączył się z Ziemią. Astronomowie, w domu, zlokalizowali nas i podali nam kurs, żeby

tutaj wrócić. Odnaleźliśmy tę planetę. Nawet wtedy, nie miałem pojęcia, w jaki sposób moglibyśmy znaleźć właściwą dolinę. Ale Doc kazał im sprawdzić wszystkie zdjęcia i filmy, które wystaliśmy na Ziemię, kiedy wykonywaliśmy podejście do pierwszego lądowania. Całe to lądowanie mieliśmy przecież na taśmie filmowej. Zatrudnili nad tym tłum ludzi porównujących mapy. Lataliśmy jako platforma kosmiczna, na orbicie wokół planety i to co widzieliśmy transmitowaliśmy na Ziemię -- wyliczyli dla nas też odpowiednią orbitę -- a oni porównywali to, co przekazywaliśmy, z tym co fotografowaliśmy podczas lądowania. Udało im się znaleźć dokładnie tę dolinę i powiedzieli nam, w które miejsce mamy schodzić. Prawdę mówiąc, zlokalizowaliśmy tę dolinę już ostatniej nocy, ale po ciemku nie mogliśmy wylądować.

Cochrane poczuł się speszony.

– Ja nie dałbym rady tego zrobić – przyznał, – więc myślałem, że nikt inny też nie da. Hm. Czy to wszystko nie kosztowało za dużo paliwa?

Jones tak właściwie, to się nawet uśmiechnął.

– Opracowałem coś nowego. Nie zużywamy tak dużo paliwa, jak to robiliśmy wcześniej. Prawdopodobnie teraz użyjemy trochę więcej. Al -- dalej, starujemy. Chciałbym chociaż sprawdzić, jak działa ten nowy sprzęt. Startujemy!

Pilot nacisnął przełącznik, a Jones przerzucił drugi, nowo zainstalowany, najwyraźniej niedawno dodany do jego zaimprovizowanej kolumny z urządzeniami sterującymi. Na zewnątrz rozległ się ryk. Statek ruszył w górę. Tym razem, praktycznie nie odebrali wrażenia przyśpieszenia. Statek uniósł się lekko. Nawet ryk rakiet był stosunkowo łagodny, w porównaniu ze startem z Księżyca, albo odgłosem ich pracy podczas pierwszego lądowania, na pozostającej coraz dalej za nimi, planecie.

Cochrane widział jak dno doliny zostaje w tyle, a ściany gór, robią się coraz mniejsze. Potem wypełnione zieloną roślinnością doliny pomknęły w stronę statku, przepływając pod nim. Pojawiły się lodowce, stożki wulkanów, a następnie olbrzymie przestrzenie bieli, usiane wystającymi to tu, to tam, dymiącymi punktami. W ciągu kilku następnych sekund, wydawało się, że horyzont wyraźnie się zakrzywił. Po kilku kolejnych sekundach, cała planeta została z tyłu, zmieniając się w białą kulę, a przez porty zaczęły przedostawać się łaty jasnego nie do wytrzymania, białego światła słonecznego.

Cochrane czuł się nieswojo. To Jones wydał rozkaz startu. To Jones zdecydował, żeby odlecieć w tej właśnie chwili, ponieważ Jones miał jakieś testy, które chciał wykonać... Cochrane poczuł się jak pasażer. Z człowieka który decydował o rozwoju spraw, ponieważ był jedynym, który wiedział, co należy zrobić, stał się kimś innym. Nie było go zaledwie dwie noce i część dnia, a zostało podjętych szereg decyzji, w których nie miał swojego udziału.

To powodowało dziwne uczucie. To było nawet przerażające.

– Znajdujemy się obecnie w modyfikacji zmodyfikowanego pola Dabneya – zauważył Jones usatysfakcjonowanym tonem. – Znasz oryginalną teorię.

– Nie pamiętam jej – przyznał się Cochrane.

– Pole ma zawsze kształt rury, walca, kolumny naprężonej przestrzeni pomiędzy dwiema płytami generującymi – przypomniał mu Jones. – Kiedy lądowaliśmy za pierwszym razem, tam na dole, rufa statku w ogóle nie znajdowała się w obrębie pola. Pole rozciągało się tylko od dziobu statku, w kosmos, do ostatniego wyrzuconego przez nas balonu. Schodziliśmy na dół, pod kątem do tej linii. To było jak latawiec, sznur i ogon latawca. Sznurem, było pole Dabneya, a kierunek w którym lecieliśmy, wyznaczany był przez ogon latawca.

Cochrane skinął głową. Przyszło mu do głowy, że Jones był niemal zupełnym przeciwieństwem Dabneya. To Jones odkrył pole Dabneya, ale po sprzedaży praw autorskich do niego, teraz ewidentnie uznał, że termin „Pole Dabneya” był właściwym określeniem technicznym dla jego własnego wynalazku, nawet w jego własnym umyśle.

– Kiedyś, na Księżycu – ochoczo kontynuował Jones, – Nie byłem pewny, czy pole po utworzeniu, będzie utrzymywać się w atmosferze. Miałem nadzieję, że przy wystarczająco dużej ilości energii, uda mi się to zrobić, ale nie byłem tego pewny...

– To wszystko niewiele mi mówi, Jones – przerwał mu Cochrane. – Co to daje nowego?

– No cóż... pole może utrzymywać się w atmosferze. A my byliśmy poza podstawowym polem, a przynajmniej jeżeli chodzi o ogon statku. Tym razem jednak, kiedy lądowaliśmy, podłączyłem parę wcześniej zainstalowanych obwodów. Było to drugie pole Dabneya, rozciągające się od rufy statku, do jego dziobu. Mieliśmy nadal to główne, prowadzące w kosmos, do naszych balonów, a następnie z powrotem na Ziemię. Ale dodaliśmy jeszcze -- i ono ciągle działa -- drugie pole, obejmujące tylko sam statek. Jest to coś w rodzaju bańki. Możemy nadal ciągnąć pole za nami, a ktokolwiek zechce, może z niego skorzystać i polecieć za nami dowolnym statkiem, który się w nim zmieści. Tyle że teraz statek ma też drugie pole, zupełnie niezależne. Rufa, ani żadna inna część, nigdy nie wystaje poza jego obręb!

Cochrane nie cechował się raczej sposobem myślenia, który uważałby tego rodzaju informacje za jasne albo sugestywne.

– A więc, co się stanie?

– Obie płyty pola Dabneya mamy zawsze ze sobą – tryumfalnie oświadczył Jones. – Zawsze jesteśmy wewnątrz tego pola, nawet w atmosferze, co oznacza że statek ma wagę, ale razem z nią nie ma masy. Czy zauważasz tę różnicę?

– Być może wydam ci się głupcem, ale jakoś jej nie widzę – przyznał się Cochrane. – Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

Jones popatrzył na niego, za cierpliwością.

– Możemy wyrzucać gazy odrzutowe poza pole, będąc w nim w środku! Poza pole statku, a nie to główne!

– Chyba nadal jestem jakiś otepiały – stwierdził Cochrane. – Jak mi się wydaje, to chyba coś w rodzaju postępującej sklerozy komórek mózgowych. Pozwól, że po prostu poczekam, aż powiesz mi to sam.

Jones spróbował jeszcze raz.

– Spróbuj to zrozumieć! Posłuchaj! Kiedy lądowaliśmy po raz pierwszy, musieliśmy zużyć mnóstwo paliwa, ponieważ rufa statku nie znajdowała się wewnątrz pola Dabneya. Miała więc dużą masę. Wobec tego musieliśmy używać silnego ciągu rakiet, żeby spowolnić opadanie tej masy. W obrębie pola, statek nie posiada aż tak wielkiej masy -- jej wartość zależy od siły działającego pola -- ale siła ciągu rakiet również zależy od masy gazów, które są wyrzucane za rufę. Patrząc na to z tej strony, rakiety w obrębie pola Dabneya, nie powinny dawać większego ciągu. W ogóle nie powinno być żadnego zysku z powodu tego że jesteś w tym polu. Rozumiesz?

Cochrane poszperał nieco w głowie.

– Och tak. Nawet już się nad tym kiedyś zastanawiałem. Ale przecież korzyści są ewidentne. W końcu statek działa.

– Ponieważ – powiedział Jones, wracając do tryumfального tonu, – efekt działania pola zależy częściowo od temperatury! Gazy wyrzucane z rakiety są gorące, mają znacznie ponad tysiąc stopni. Nie posiadają one normalnej inercji, tylko coś, co można by określić, gorącą inercją. Kiedy są wystarczająco gorące, nabywają czegoś w rodzaju fikcyjnej masy. Tak więc, wykorzystujemy paliwo, które nie ma żadnej godnej uwagi inercji, kiedy jest zimne, ale nabywa pewnego pozornego substytutu inercji, kiedy jest naprawdę gorące. Dzięki temu właśnie, statek może poruszać się w polu Dabneya!

– Czuję prawdziwą ulgę – przyznał Cochrane. – Myślałem, że właśnie masz zamiar mi oświadczyć, że nie mieliśmy prawa wznieść się z powierzchni Księżyca, i już planowałem zapytać cię, jak się w ogóle tutaj dostaliśmy.

Jones uśmiechnął się z cierpliwością.

– To o czym przez cały czas usiłuję ci powiedzieć, oznacza że możemy wyrzucać gazy ciągu rakietowego, poza pole Dabneya, które zostało wygenerowane na rufie statku! Lecąc, utrzymujemy nasz statek i wykorzystywane paliwo, w stanie niemal pozbawionym masy, a wyrzucamy je w miejsce, gdzie ma ono masę normalną. Efekt jest praktycznie taki sam, jakbyśmy odpychali się od czegoś solidnego! A więc wystartowaliśmy z zapasami paliwa na, być może, jakichś pięć lub sześć lądowań, w warunkach normalnej ziemskiej grawitacji. Zaś dzięki tej sztuczce, mamy wystarczająco dużo paliwa na parę setek lądowań!

– Acha! – łagodnie stwierdził Cochrane. – To pierwsza rzecz, jaką mi dzisiaj powiedziałaś, która cokolwiek dla mnie oznacza. Gratulacje. Co mamy jeszcze?

– Tak myślałem, że będziesz zadowolony – odparł Jones. – A więc na dokładkę mogę ci jeszcze dorzucić, że mamy wystarczająco dużo paliwa, aby dotrzeć w każde miejsce na Drodze Mlecznej!

– Lepiej tego nie róbmy – zasugerował Cochrane, – tylko mówmy, że zrobiliśmy. Czy wybrałeś już nową gwiazdę, do której polecimy?

Jones wzruszył ramionami. Jak na niego, ten gest wskazywał na praktycznie histeryczną frustrację. Ale powiedział tylko:

– Tak. Dwadzieścia jeden lat świetlnych stąd. Na Ziemi najchętniej by nam kazali sprawdzić wszystkie gwiazdy typu słonecznego i wszystkie planety typu ziemskiego.

– W końcu – stwierdził Cochrane, – kim ja jestem w porównaniu z największymi umysłami naukowymi. No to, lećmy dalej.

Po tych słowach ruszył do spiralnych schodków prowadzących do głównego salonu. Poruszając się niezgrabnie po podłodze salonu w stronę komunikatora, poczuł dziwaczny efekt pracy dopalacza, który w zasadzie powinien mieć charakter dźwiękowy, ale jednak nie do końca tak było. Wrażenie było takie samo, jak to poprzedzające ten niesamowity skok statku kosmicznego zaraz po wylocie z Księżyca, kiedy w trakcie jednego uderzenia serca, wszystkie gwiazdy wyglądały jak smugi światła, a statek pokonał niemal dwieście lat świetlnych.

Światło słoneczne w rozmieszczonych wokół salonu portach zamigotało, a następnie zaświeciło ponownie. Ten nowy blask pochodził z zupełnie innego kierunku -- tak jakby ktoś wyłączył zewnętrzne oświetlenie z jednej strony, i włączył je z drugiej -- a ponadto padał na podłogę pod innym kątem.

Cochrane dotarł w końcu do komunikatora. Znów znajdowali się w stanie nieważkości. Przypiął się pasami do fotela. Włączył telefon wizyjny, który wysyłał sygnały wzdłuż pola, do położonego o dwieście parę lat świetlnych od Ziemi balonu -- tego balonu wiszącego koło lodowcowej planety -- a potem przerzucany był na pole rozciągające się do drugiego balonu, aby w końcu pokonać sto siedemdziesiąt kilka lat świetlnych do Księżyca i dalej z Lunar City na Ziemię.

Nawiązał połączenie. Odebrał bardzo pilną wiadomość, która na niego czekała. Kilka sekund później zerwał się szaleńczo, zmagając się z brakiem ciężenia, rzucił się z powrotem do sterówki

– Jamison! Bell! – wrzasnął rozpaczliwie. – Za dwadzieścia minut rozpoczyna się nasza audycja! Straciłem rachubę czasu! Mamy umówionych sponsorów na czterech kontynentach i musimy wyemitować to cholerne show! Niech to diabli! Dlaczego nikt nie...

Jamison oznajmił z oczywistą pewnością w głosie, od strony jednego z bańkowatych portów widokowych, gdzie ustawił gruby teleskop gwiazdny, wodząc nim od jednego obiektu do drugiego:

– Nieee... e... e. To jest gigant gazowy. Gdybyśmy tam wylądowali, rozgniotłoby nas na miazgę... Chociaż ten wielki księżyc wygląda nawet obiecująco. Myślę jednak, że lepiej byłoby spróbować gdzie indziej.

– Okej – powiedział Jones stanowczym tonem. – Al, kieruj się na tę następną planetę. Troszeczkę sobie teraz podreptamy.

Cochrane poczuł jak statek skręca w przestrzeni. To znaczy widział, że tak się stało, ale tak naprawdę to statek zdawał się spoczywać nieruchomo.

– Musimy wyemitować to show! – szalał ze wściekłości. – Trzeba zrobić coś lipnego...

Jamison popatrzył w bok, odrywając wzrok od teleskopu.

– Powiedz mu, Bell – powiedział natarczywie.

– Napisałem coś w rodzaju scenariusza – przyznał przeproszającym tonem Bell. – Wątek całej historii nie jest taki dobry... to dlatego właśnie chciałem włączyć do niego całą tę opowieść o rozbitkach, ale nie miałem czasu na dodatkowe elementy, naprawdę. Zmontowaliśmy więc film, a Jamison zrobił narrację, i możesz go wyemitować. To jest coś w rodzaju show. Przygotowaliśmy je w konwencji badania lodowcowej planety, prowadzonego z platformy kosmicznej, opierając się na zdjęciach i filmach, które zostały zrobione kiedy lataliśmy na orbicie wokół niej. To jest coś w rodzaju reportażu z podróży. Jamison jest z tego strasznie dumny. Alicia może przygotować ci pudełko z taśmą.

Wrócił do swoich kamer. Cochrane spoglądał na monstrualny glob, przesuwający się przez port w sterówce. Był to kłęb chmur, pozbawiony cech charakterystycznych poza pręgami przecinającymi okolice równika. Wyglądało to podobnie do zdjęć Jowisza, z rodziny planet Słońca, w Obserwatorium Księżycowym.

Planeta przesunęła się poza port, i w pole widzenia wpłynął księżyc. Jak na księżyc, był naprawdę bardzo duży. Miał co najmniej jedną lodową czapę -- a co za tym idzie i atmosferę -- a na jego powierzchni widać było cętki, które raczej nie mogły być niczym innym jak kontynentami i morzami.

– Musimy przygotować to show! – wściekał się Cochrane. – I to natychmiast!

– Wszystko jest gotowe – zapewnił go Bell. – Możesz to od razu wyemitować, Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Cochrane niemal udławił się śliną. Ale nie można było już zrobić nic innego, jak tylko przetransmitować to, co mieli przygotowane Jamison i Bell. Popłynął z koszmarną powolnością, z powrotem do komunikatora. Zaczął wołać szaleńczo Babs. Przyszła razem z Alicią. Alicia znalazła taśmę z filmem i Cochrane nawlókł ją do nadajnika, i gorzką miną przejrzał kilka pierwszych stóp. Babs uśmiechnęła się do niego, a Alicia dziwnie na niego spoglądała. Najwyraźniej, Babs zwierzyła się jej ze skutków ich rozbitkowania. Cochrane jednak stawiał czoła zagrożeniu. Zaczął sprawdzać synchronizację z odległą Ziemią.

Kiedy statek zbliżał się do drugiej planety, Cochrane nic z tego nie widział. Zawzięcie monitorował transmisję show, do którego nie przyłożył nawet palca. Z jego własnego, zawodowego punktu widzenia, było to coś strasznego. Jamison gadał bez przerwy, jak zauważył Cochrane. Al, pilot, był właściwie wypytywany przez głos spoza ekranu! Ale zdjęcia z kosmosu, były wspaniałe. Kiedy statek unosił się na orbicie, czekając na możliwość wylądowania, aby zabrać Babs i Cochrane'a, Bell podłączył swoją kamerę do silnego teleskopu i zarejestrował fenomenalne ujęcia dramatycznych terenów na planecie, która obecnie pozostała dwadzieścia lat świetlnych za nimi.

Cochrane oglądał show z mieszaniną zazdrości i ulgi. Nie było to takie dobre, jak mogłoby być w jego wykonaniu. Ale na szczęście Bell i Jamison trzymali się dosyć ściśle tej prostej konwencji relacji z podróży, a ujęcia ze zbliżeniami roślin i zwierząt, były z umiarkowaną kompetencją, chociaż bez nadmiernego polotu, przeplatane ze zdjęciami z daleka. Widownia,

która nie miała okazji oglądać wcześniej, zbyt wielu tego rodzaju show, powinna być pod wrażeniem. Można było to uznać, za uzasadnioną zmianę tempa. Każdy kto to oglądał ich relacje, powinien chcieć obejrzeć więcej i innych obrazów z gwiazd.

Kiedy był w połowie, usłyszał mocno, po ostatnich zmianach, stłumiony odgłos pracy rakiet. Na podstawie ich nieprzerwanego dźwięku, zorientował się, że statek schodzi przez atmosferę do lądowania, chociaż zupełnie nie wiedział, co się dzieje na zewnątrz. Przygryzał wargę, aż do czasu gdy -- dla potrzeb synchronizacji -- nie odebrał wstawionej w film reklamy. Oczywiście do tego celu służyły reklamy emitowane w Stanach Zjednoczonych. Nie mógł zobaczyć innych materiałów, pokazywanych w komercyjnych fragmentach show, ludziom zamieszkałym poza Ameryką Północną.

Odliczał czas, do wznowienia transmisji, kiedy poczuł lekki ale odległy wstrząs, oznaczający że statek właśnie dotknął ziemi. Krótką chwilę później, urwał się, ten nawet znacznie słabszy, ryk rakiet, używanych w dużej mierze dla ostrożności.

Cochrane zazgrzytał zębami. Statek wylądował na planecie, której nie widział na oczy i do wyboru której nie przyłożył ręki. Czuł się z tego powodu pokrzywdzony. Inni członkowie załogi statku wyglądali sobie na zewnątrz, oglądając widoki, jakich ludzkie oczy nigdy jeszcze nie widziały.

On zaś oglądał ostatnią reklamę, wstawioną w audycję przez ich amerykańskiego sponsora. Pokazywała ona, rzekomo, prawdziwą historię dwóch przyjaciółek, blondynki i brunetki, podpierających ściany na wszystkich potańcówkach. Próbowaly szaleńczo znaleźć jakiś środek zaradczy na tę sytuację, poprzez użycie to takiej pasty do zębów, to innej, czy tego dezodorantu, czy też innego. Wszystko na próżno! Wkrótce jednak stały się centrum uwagi na wszystkich imprezach na których się pojawiły, zaraz jak tylko zaczęły myć sobie włosy szamponem Rayglo.

Holden i Johnny Simms zbiegli schodkami ze sterówki, głośno o czymś rozmawiając. Wyglądali na bardzo podekscytowanych. Rzucili się razem w stronę klatki schodowej, wiodącej na pokład, na którym znajdowało się wejście do śluzy powietrznej.

Holden wysapał przebiegając obok niego:

– Jed! Na zewnątrz są jakieś stworzenia! One wyglądają jak ludzie!

Ekran komunikatora wiernie prezentował koniec reklamy. Dwie czarujące dziewczyny, promieniejące i śliczne, połączyły swoje głosy w hymnie wdzięczności, wysławiającym zalety szamponu Rayglo. Potem nastąpiły krótkie przypomnienia najwspanialszych, magicznych wręcz skutków osiągniętych przez ludzi używających kremu Rayglo Foundation, szminki Rayglo Kisspruf oraz Rayglo do trwałej -- w czterech rodzajach; dla włosów normalnych, łatwych do zakręcania, trudnych do zakręcania i dziecięcych.

Cochrane usłyszał szcęk otwieranych wrót śluzy.

IX

Poszedł do sterówki, której porty dawały najlepszy widok na wszystko co się działo na zewnątrz, z najwyższego punktu na statku i na największą odległość. Kiedy tam się pojawił, Babs i Alicia stały koło siebie, wyglądając na zewnątrz. Bell zwijał się szaleńczo przy kamerze. Jamison również gapił się przez port. Pilot Al, wykonywał gesty frustracji, nie ośmielając się wypuścić sterów z rąk, do czasu kiedy istniało najmniejsze choćby ryzyko że płetwy ogonowe mogłyby stracić podparcie. Jones korygował jakieś ustawienia swojego nowego zestawu urządzeń sterujących, które zamontował do obsługi dodatkowego pola Dabneya. W pewnym sensie, Jones nie był tak do końca normalny. Kwestie techniczne absorbowwały go, w jeszcze większym nawet stopniu, niż Cochrane'a jego przedsięwzięcia biznesowe.

Cochrane podszedł do portu, żeby zobaczyć co się dzieje.

Statek wylądował na niewielkiej polanie. Blisko niego, znajdowały się już drzewa. Miały one niesamowicie długie, lancetowate liście, przypominające z grubsza liście traw, tylko o jeszcze większej długości. Na delikatnym wietrzyku, wiejącym na dworze, fantazyjnie powiewały we wszystkie strony. W oddali widać było wzgórze, a w pobliżu pojedyncze odpryski szarych skał. Niebo było równie błękitne jak niebo na Ziemi. Oczywiście, to było nieuniknione, w przypadku bezbarwnej atmosfery, z zawieszonymi w niej cząstkami pyłu, co w efekcie musi dać niebieski kolor nieba.

Na dole widać było Holdena, idącego w kierunku kępy podobnych do trzcin roślin, wznoszących się jakieś siedem czy osiem stóp, ponad skłębioną ziemię. Podskakując, szybko przebiegł przez wypalony obszar, roztaczający się bezpośrednio wokół statku. Był on znacznie mniejszy, niż w przypadku pierwszego lądowania na obcej planecie, ale nawet pomimo tego, prawdopodobnie kompletnie sobie zniszczył podeszwy butów. Teraz jednak Holden stał już sto jardów od statku. Zaczął gestykulować rękoma. Wydawało się, że z kimś rozmawia, tak jakby próbując przekonać jakieś żywe stworzenie, żeby się im pokazało.

– Zauważyliśmy ich, jak nas podglądali – wyjaśniła Babs, szeptem, stając koło Cochrane'a. – Kiedy jeden z nich przebiegał z jednej kępy trzcin do drugiej. Wyglądał zupełnie jak człowiek. Jest ich tam co najmniej trzech, kimkolwiek by oni nie byli.

– To nie mogą być ludzie – ponuro zauważył Cochrane. – Po prostu nie mogą! – Johnny'ego Simmsa nie było w zasięgu wzroku. – A gdzie jest Simms?

– Stoi z bronią – odparła Babs. – I tak ma zamiar dostać jednego z nich, a więc może chronić doktora Holdena.

Cochrane popatrzył prosto w dół. Wrota śluzy powietrznej były otwarte i wyglądał z nich koniuszek strzelby. Stojąc tam, Johnny Simms mógł zajmować lepszą pozycję do ochrony Holdena przy pomocy ognia z broni palnej, ale przede wszystkim z pewnością sam był dużo bezpieczniejszy. Nigdzie nie było widać nawet śladu ruchu. Holden nie podchodził bliżej do trzciny. Zdawał się ciągle mówić coś uspokajającego, do niewidocznych stworzeń.

– Dlaczego tutaj nie może być ludzi? – spytała Babs. – To znaczy, nie chodzi mi dokładnie o ludzi, ale... istoty podobne do człowieka. Dlaczego nie mogłyby tutaj żyć stworzenia rozumne, podobne do nas? Wiem, że tak powiedziałeś, ale...

Cochrane pokręcił przecząco głową. Przyjmował niejawnie założenie, że na tej planecie nie mogło być ludzi. Na lodowcowej planecie, każde zwierzę było zupełnie odmienne od stworzeń żyjących na Ziemi. Pojawiały się oczywiście pewne podobieństwa, ale w pełni wytłumaczalne przez równoległą ewolucję. Przez analogię, na innej planecie nie mogłaby powstać dokładnie identyczna ludzkość, ponieważ ewolucja tam mogła być równoległa, ale nie była taka sama. Gdyby jednak nawet, istniały gdzieś istoty mentalnie dorównujące ludziom, nieważne jak nieludzko takie stworzenie mogłoby wyglądać, gdyby naprawdę gdzieś w kosmosie, poza Ziemią, ukształtowały się inne rozumne zwierzęta, skutek byłby po prostu katastrofalny.

– My, ludzie – wyjaśnił jej Cochrane, – trzymamy się dzięki naszej próżności. Żądamy od siebie czegoś więcej niż zwierzęcego zachowania, ponieważ wierzymy, że jesteśmy czymś więcej niż zwierzętami -- i wierzymy, że jesteśmy jedynymi stworzeniami, posiadającymi ten dar! Jeżeli dojdziemy do wniosku, że nie jesteśmy wyjątkowi, ale jesteśmy tylko po prostu mądrymi zwierzętami, będziemy skończeni. Każdy naród rozpoczynał zawsze niszczenie samego siebie, od rozprzestrzenienia się w nim takiej idei.

– Ale my nie jesteśmy tylko mądrymi zwierzętami! – zaprotestowała Babs. – My *jesteśmy* wyjątkowi!

Cochrane popatrzył na nią kątem oka.

– Zupełna prawda.

Holden nadal cierpliwie stał przed kępą trzciny, i ciągle wyglądało jakby coś mówił, przez cały czas stojąc z rozłożonymi rękoma, w geście, który ludzie uważali za uniwersalny znak pokoju.

Z tyłu kępy trzciny, dobre pięćdziesiąt jardów od Holdena, coś się poruszyło. Jakieś stworzenie, wyglądające jak człowiek, pobiegło szaleńczo w kierunku najbliższego skraju lasu. Miło ono mniej więcej rozmiary człowieka. Różowawo-brązowy kolor nagiego ludzkiego ciała. Biegło z nisko opuszczoną głową, i nie było go dokładnie widać, ale było zaskakująco człowiecze w swoich kształtach. Na górze, w sterówce, John Bell niemal krzyczał z podniecenia, prowadząc jego śladem swoją kamerę. Sam Holden został zupełnie zapomniany. Nadal próbował wywabić coś z ukrycia. Do lasu pogoniło drugie stworzenie.

Pomiędzy śluzą powietrzną i biegnącymi stworzeniami, pojawiły się cienkie, szare nitki. Dym. To Johnny Simms z podnieceniem strzelał do

niezidentyfikowanego zwierzęcia. Używał charakterystycznej amunicji smugowej, którą kiepscy strzelcy i jeszcze gorsi sportsmeni, wykorzystują do zrekompensowania swojego kiepskiego oka.

Smugi dymu zdawały się tworzyć sieć wokół obu biegnących stworzeń. Robiły one gwałtowne uniki i szaleńczo zygzakowały. Oba uciekły w bezpieczne miejsce.

Tego samego spróbowało trzecie. Ale teraz Johnny Simms przełączył na ogień automatyczny. Pociski wystrzeliły z jego broni całą serią, ciągnąc za sobą smugi dymu, tak że ich ślady wyglądały jak strumień wody z węża. Strumień przeszył miejsce zajmowane przez uciekiniera. Tamten podskoczył konwulsyjnie i uderzył o ziemię. Zaczął kopać nogami.

Cochrane głośno zaklął. Od chwili, kiedy stworzenie rozpoczęło swoją ucieczkę, nie minęły jeszcze nawet dwie sekundy.

Smugi wskazujące ślady strzałów, zaczęły dryfować na bok. Wtedy pojawiła się nagle kolejna smuga. Johnny Simms wystrzelił jeszcze raz do swojej, ciągle nadal skręcającej się ofiary. Ta kopnęła gwałtownie i znieruchomiła.

Holden odwrócił się z gniewem. Wydawało się, że między nim a Jimmym Simmsem trwa wymiana krzyków. Potem Holden zaczął się przedzierać wokół kępy trzciny. Cicha postać leżąca na ziemi, nie dawała już żadnych oznak życia. Jednak w ramach normalnych środków ostrożności, nie powinien chodzić po gąszczu dżungli, w którym dopiero co widziano nieznane, duże, żywe stworzenia. Johnny Simms, zaczął ze swojego posterunku w wejściu do śluzy powietrznej, strzelać raz za razem. Dym, który podążał śladem jego pocisków, przeszywał przestrzeń aż do krawędzi lasu. Strzelał do zupełnie wyimaginowanych celów. Wypalił również do swojej poprzedniej ofiary, po prostu tylko dlatego, że był to jakiś cel, do którego mógł strzelić. Strzelał bezmyślnie, głupio.

Jego żona, Alicia, dotknęła ręki Jamisona i pośpiesznie coś mu zaczęła mówić. Jamison, nieco niechętnie, ale udał się z nią schodami na dół. Johnny Simms, strzelając do wszystkiego, mógłby postrzelić Holdena. Smuga dymu pocisku, przeszła niecałą stopę od ciała Holdena. Ten odwrócił się i krzyknął coś w stronę statku.

Rozległ się szcęk otwieranych wewnętrznych wrót śluzy. Potem usłyszeli strzał i martwe stworzenie zostało ponownie trafione. Kula ponownie przeleciała niebezpiecznie blisko Holdena. Na dole rozległy się głosy. Johnny Simms wrzasnął rozwścieczony.

Potem krzyknęła Alicia.

Na dole zapadła cisza, ale Cochrane już wcześniej rzucił się do schodków. Tuż za nim biegła Babs.

Kiedy zbiegli na dół i wpadli na pokład jadalni, znaleźli tam stojącą śmiertelnie bladą Alicię, z wielkim czerwonym śladem na policzku. Johnny Simms ryczał ze wściekłości, wymachując bronią, z której strzelał. Jamison z niepokojem próbował go uspokoić.

– ...! – zaryczał Johnny Simms. – Poleciałem na tym statku, żeby polować! I mam zamiar polować! Spróbuj tylko mnie zatrzymać!

Wymachiwał trzymaną bronią.

– Dobrze za to zapłaciłem! – krzyczał. – Nie będę od nikogo przyjmował rozkazów! Nikt mną nie będzie rządził!

Cochrane przerwał mu lodowatym tonem.

– Ja będę. Przestań zachowywać się jak głupiec! Odłóż tę strzelbę! Niemal postrzelełeś Holdena! Jeszcze mógłbyś kogoś zabić! Odłóż to natychmiast!

Z ponurą miną szedł w stronę Johnny'ego Simmsa. Johnny stał obok otwartych wrót śluzy. Zewnętrzne wrota były również otwarte. Nie mógł się nigdzie wycofać. Przesunął się w bok. Cochrane zmienił kierunek swojego marszu. Takich ludzi, jak Johnny Simms, można spotkać wszędzie. Z reguły nie są oni klasyfikowani jako niezdolni do rozróżnienia dobra i zła, chyba że są na tyle bogaci, żeby wynająć sobie psychiatrę. A jednak, zmieniający się, ale zawsze obecny odsetek członków rasy ludzkiej, przez cały czas ignoruje obowiązujące reguły postępowania. Są oni ciężarem, obciążeniem, główną przeszkodą dla rozwoju, czy choćby zachowania cywilizacji. Nie są oni w sposób świadomy źli. Po prostu nie przejmują się tym, że zachowują się w odmienny sposób niż rozumne zwierzę. Reszta ludzkości musi bronić się przed nimi przy pomocy policji, prawa, a czasami rewolt, a jednak ciągle tacy jak Johnny Simms nie mają innego sposobu na życie, poza pobłażliwością w spełnianiu swoich natychmiastowych zachcianek. A z powodu tej pobłażliwości, Johnny był w stanie zaryzykować wyrządzenie dowolnej krzywdy, każdej innej osobie.

Zrobił kolejny krok w bok. Cochrane był wręcz biały z obrzydzenia i z furii. Johnny Simms wpadł w panikę. Uniósł swoją broń, wycelowując ją w Cochrane'a.

– Nie zbliżaj się! – dziko wrzasnął. – Nic mnie nie obchodzi, jeżeli cię zabiję!

I rzeczywiście nie troszczył się o to. Był to ten sam okrutny bezsens, który tworzył młodocianych przestępców i Hitlerów, który dawał bandytów, łobuzów, lipnych prawników i oszukańczych biznesmenów. Była to czysta perwersja, która tak frustruje normalnych, rozsądnych ludzi. Był to przykład tej nieskończonej wielkiej głupoty, która jest zbrodnią, ale która mimo wszystko nadal pozostaje tylko głupotą.

Cochrane zauważył, że Babs z zimną krwią przesuwając jedno z krzeseł, stojących przy znajdującym się w pobliżu stoliku. Zatrzymał się, i Johnny Simms natychmiast nabrał odwagi. Cochrane powiedział równie zimno jak przedtem:

– Co ty sobie do diabła myślisz, po co my tutaj jesteśmy?

Oczy Johnny'ego Simmsa były szeroko otwarte i puste, jak oczy małego chłopca w niszczycielskim szale, kiedy zapomniał już, co na początku zaczął robić i wpadł w szpony obsesji zniszczenia jakie wyrządzał.

– Nie pozwolę, aby ktoś mnie przepychał z kąta w kąt! – krzyczał Johnny Simms, jeszcze bardziej gwałtownie. – Od tej chwili to ja tobie będę mówił, co masz robić...

Babs rzuciła krzesłem, które wcześniej wyciągnęła z uchwytów mocujących. Z bardzo satysfakcjonującym odgłosem „thunk” wylądowało

ono na głowie Johnny'ego Simmsa. Broń w jego reku wypaliła. Kula minęła Cochrane'a o ułamek cala. Rzucił się do przodu.

Jakiś trudny do określenia odcinek czasu później, zorientował się, że Babs próbuje go rozpaczliwie odciągać do tyłu. Trzymał Johnny'ego Simmsa pod sobą na podłodze i dusił go z całej siły. Zadławiony niemal na śmierć Johnny Simms, usiłował niemrawo rozerwać uchwyt jego palców.

Szaleństwo opadło z Cochrane'a na dźwięk jakiegoś trzasku. Wstał z podłogi. Skinął głową w stronę Babs, aby podniosła broń z której strzelał Johnny Simms.

– Uważam – powiedział Cochrane, ciężko oddychając, – że jesteś doskonałym przykładem wszystkiego, do czego czuję niechęć. A już najgorsze jest to, że zmuszasz mnie do tego, abym zachowywał się tak samo jak ty! Jeżeli jeszcze raz dotkniesz broni na tym statku, prawdopodobnie cię zabiję. Jeżeli jeszcze raz zachowasz się arogancko, wybije ci te trudne dni z głowy. Wstawaj!

Johnny Simms podniósł się na nogi. Potem, ku zdumieniu wszystkich, uśmiechnął się do Cochrane'a. Powiedział przyjaźnie:

– Zapomniałem się. Ja już taki jestem. Alicia może zaświadczyć. Nie mogę cię winić za to, że się zdenerwowałeś. Naprawdę przepraszam. Ale ja już taki jestem!

Odsunął się, obdarzając promiennym uśmiechem Alicję, Jamisona, Babs i Cochrane'a. Cochrane zacisnął zęby. Wszedł do śluzy powietrznej i wyjrzał na zewnątrz.

Holden stał pochylony, nad stworzeniem zabitym przez Johnny'ego Simmsa. Potem wyprostował się i ruszył w stronę statku. Szedł coraz szybciej, w miarę jak ziemia pod jego stopami robiła się coraz gorętsza. Niemal wskoczył na podnośnik i podjechał do góry.

– To nie jest człowiek – wyjaśnił Cochrane'owi, gdy w śluzy powietrznej, wyślizgnął się z uprząży podnośnika. – Kiedy podejdzie się bliżej, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Jest raczej bliższy ptakom, niż cemukolwiek innemu. Jest ciepłokrwisty. Ma dziób. Na Ziemi niektóre pingwiny, również mogą zostać pomyłone z ludźmi.

– Robiłem swego czasu show – zimno odparł Cochrane, – w którym wykorzystywałem kawałki starych filmów z walk kogutów. Istniał kiedyś rodzaj kogutów do walki, nazywanych Cornish Game, które byłyby dosyć podobne do ludzi. Gdyby były dostatecznie duże... Wciągnij podnośnik i zamknij właz. Przenosimy się.

Odwrócił się. Babs stała koło Alicji, podając jej zmoczoną chusteczkę, aby przyłożyła sobie do policzka. Jamison słuchał z nieszczęśliwą miną jak Johnny Simms wyjaśnia mu elokwentnie, że on już taki był od zawsze. Kiedy się do czegoś zapali, nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Oznajmił niemal z dumą, że nigdy nie zachowywał się w inny sposób. Tak naprawdę, to nie miał zamiaru nikogo zabić, ale kiedy wpadnie już w podniecenie, to...

– Co się stało? – dopytywał się Holden.

– Nasz mały psychopata – odparł Cochrane zgryźliwym tonem, – ruszył do akcji. Groził mi strzelbą. Wcześniej uderzył Alicję. Jamison,

sprawdź tę dziurę po kuli. Zobacz, czy nie przeszła na wylot przez poszycie statku.

Ruszył z powrotem do schodów. Wtedy jednak zaskoczył go kamienny bezruch Holden. Twarz psychiatry zmieniła się śmiertelną maskę. Mocno zacisnął ręce. Johnny Simms powiedział właśnie z rozbrajającą chłopcą szczerością:

– Przepraszam cię, Cochrane! Bez urazy?

– Nie – warknął Cochrane. – Jest uraza! Ja bez wątpienia ją czuję!

Wziął Holden pod ramię. Pokierował go do schodów na górę. Przez ułamek sekundy Holden mu się opierał, ale Cochrane zacieśnił tylko mocniej uchwyt na jego ręce. Zaprowadził go na pokład o jeden poziom wyżej.

– Gdybym tutaj był – wyksztusił Holden urywanym głosem, – zabiłbym go... gdyby uderzył Alicię. Psychopata, czy nie psychopata...

– Zamknij się! – stanowczo przerwał mu Cochrane. – On do mnie strzelił! Ale na swój własny sposób, ja również jestem psychopata, Bill. Moja psychoza polega na tym, że nie podoba mi się jego rodzaj psychozy. Jestem psychotycznie oddany rozsądkowi i mojemu własnemu, niewykluczone że dziwaczemu, poczuciu przyzwoitości. Zdecydowanie anormalnie zatroskany jestem otaczającą mnie rzeczywistością ... i lepiej byłoby, gdybyś do niej wrócił, Bill! Posłuchaj! Patologicznie nie znoszę takich debilizmów jak przeludniona Ziemia, ludzie bojący się o swoją pracę, czy ludzie wariujący z braku nadziei. Nie chciałbyś mnie chyba z tego wszystkiego wyleczyć, co? A więc weź sobie na wstrzymanie!

Bill Holden przełknął ślinę. Nadal był blady jak ściana. Ale udało mu się wykrzywić twarz w grymasie.

– Masz rację. Na szczęście, byłem na dworze. Całkiem niezły z ciebie psycholog, Jed.

– Lepszy jestem – cynicznie stwierdził Cochrane, – w kleceniach show z kawałków taśmy filmowej i marzeń. Tak więc teraz mam zamiar rzucić okiem na filmy, jakie Bell nakręcił, od kiedy wylądowaliśmy na tej planecie, i popracować nad jakimiś pomysłami na audycje.

Poszedł kolejne piętro w górę, a Holden podążał za nim, z jakimś sztywnym, nienaturalnym spokojem. Cochrane przepuścił taśmę filmową przez odwrotną kamerę, aby sprawdzić jej zawartość.

Na zewnątrz falowały smukłe, zielone wstęgi, niesamowicie wydłużonych liści. Kępy podobnych do trzin roślin poruszały się na lekkim wietrzyku. W sterówce pojawił się Jamison. Z nadzieją zaczął wypytywać Holden, na temat murawy porastającej ziemię na dworze. To nie była trawa. Rośliny miały szerokie liście. Pod nimi mogła żyć, jak ze szczęściem w oczach wyrecytował Jamison, wręcz nieskończona liczba różnych rodzajów istot żywych. Najprawdopodobniej będą tam występować jakieś żerujące na tych liściach owady, a oprócz nich inne, drapieżne, zjadające tamte. Pewne gatunki z pewnością szukały swojej przewagi ewolucyjnej, kopiąc nory w ziemi. Muszą żyć tutaj także jakieś inne rodzaje ptaków, niż te wielkie okazy, które z oddali wyglądały jak ludzie. Na lodowcowej planecie znaleźli zaledwie parę gatunków ptaków, ale za to wiele stworzeń

futerkowych. Być może tutaj mieli odwrotną sytuację, chociaż oczywiście trzeba to będzie...

– Hmm – powiedział Cochrane, kiedy przejrzał już wszystkie filmy. – Czapy lodowe, morza i lądy. Mnóstwo roślin zielonych, tak więc powietrze przypuszczalnie nadaje się dla ludzi. Ponieważ ciągle jeszcze żyjesz, Holden, więc możemy chyba spokojnie założyć, że nie ma ono natychmiastowych skutków śmiertelnych, co nie? Grawitacja do zniesienia -- być może nieco słabsza, w porównaniu z lodowcową planetą.

Siedział w milczeniu, wpatrując się w pustą ścianę sterówki. Zmarszczył brwi. Nagle zapytał:

– Czy ktoś tam, na Ziemi wie, że ja i Babs byliśmy rozbitkami?

– Nie – powiedział Holden, nadal bardzo spokojnie. – Alicia przejęła stery. Powiedziała wszystkim, że jesteś za bardzo zajęty, żeby rozmawiać przez telefon. Dziwnie było tutaj bez ciebie! Jamison i Bell siedzieli przez cały czas i montowali film. Johnny, oczywiście – jego głos był starannie pozbawiony jakiegokolwiek barwy, – nie robił niczego użytecznego. Ja przez większą część czasu miałem chorobę kosmiczną. Ale trochę też pomagałem Alicji wymyślić, co trzeba mówić przez telefon. Muszą być setki rozmów, odłożonych dla ciebie, do odebrania.

– Dobrze! – stwierdził Cochrane. – Pójdę, zajmę się paroma z nich. Jones, czy możemy wynieść się stąd, w jakieś inne miejsce na tej planecie?

Jones odparł niedbałym tonem.

– Mówiłem ci, że mamy wystarczająco dużo paliwa, żeby oblecieć całą Drogę Mleczną. Gdzie chcesz się przenieść?

– Gdziekolwiek – powiedział Cochrane. – Sceneria tutaj, nie jest dostatecznie dramatyczna, dla nowej audycji. Musimy na nasze następne show znaleźć coś bardziej ponurego. Rzeczy powoli się układają, poza potrzebą naprawdę odpowiedniej scenerii, dla naszej transmisji na Ziemię.

– Jakiego rodzaju scenerii potrzebujesz?

– Preferowałbym jakieś zwierzęta – zastanowił się Cochrane. – Mogłyby być dinozaury. Ewentualnie bizona albo jakaś ich rozsądna kopia. Porządne stado bizonów to jest coś, co właściwie podobałoby mi się najbardziej ze wszystkich możliwości.

Jamison wciągnął głęboko powietrze.

– Bizona?

– Mięso – powiedział Cochrane mentorskim tonem. – Na kopytach. Robota public relations, w swojej obecnej postaci, nastawiona jest na uważną stymulację wszystkich podstawowych potrzeb. Chciałbym, żeby ludzie teraz pomyśleli o stekach, gulaszu i pieczeni. Gdybym mógł mieć stado zwierząt, takie od jednego horyzontu do drugiego...

– Stada mięsa już nadchodzą – niedbale stwierdził Jones. – Zawołam cię.

Cochrane nie za bardzo mu uwierzył. Przygotował się, żeby obsłużyć rozmowy z Ziemi, które zostały wstawione do kolejki, poza alarmowe żądanie natychmiastowej transmisji kolejnej audycji, które odebrał kiedy statek przygotowywał się do lądowania. Zebrał się olbrzymi stos spraw biznesowych. Załatwianie ich szło bardzo powoli. Jego głos potrzebował

czterech sekund na pokonanie tych nieco ponad dwustu lat świetlnych w kosmosie, przy pomocy pola Dabneya, a następnie jeszcze dwóch sekund w normalnej przestrzeni od przekaźnika w Lunar City. A więc pomiędzy tym, co skończył mówić w danej chwili, a dotarciem do niego pierwszych słów odpowiedzi, mijało dwanaście sekund. To powodowało, że wszelka komunikacja musiała być bardzo powolna. Zreflektował się z rozdrażnieniem, że powinien poprosić Jonesa o wytworzenie specjalnego pola komunikacyjnego Dabneya, tak silnego jak to tylko będzie potrzebne, które pomogłoby rozwiązać tę sytuację.

Rakiety na zewnątrz statku huknęły i zaryczały. Statek uniósł się w powietrze. Z dołu nadbiegł szalejący Johnny Simms.

– Moje trofeum! – wykrzykiwał z oburzeniem. – Chcę dostać moje trofeum!

Cochrane uniósł niecierpliwie wzrok sponad ekranu.

– Jakie znowu trofeum?

– To stworzenie, które zastrzeliłem! – krzyczał ze wściekłością Johnny Simms. – Chcę je zabrać ze sobą! Nikt jeszcze nigdy nie zastrzelił czegoś podobnego! Chcę to mieć!

Statek mocniej pociągnął w górę. Cochrane oznajmił zimnym tonem:

– Teraz jest już za późno. Odejdź ode mnie. Jestem zajęty.

Przesunął wzrok z powrotem na ekran. Johnny Simms pobiegł do schodków. Nieco później Cochrane usłyszał krzyki w sterówce. Był jednak za bardzo zajęty, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Statek unosił się swobodnie -- z całym tym niewygodnym uczuciem braku wagi -- ponownie ruszył do góry, po czym znów zapanował całkiem długi okres nieważkości. Do tego czasu Holden powinien być już zielonkawy, mieć mdłości i generalnie być wymęczony przez chorobę kosmiczną. Co akurat w tym konkretnym momencie, jeszcze wcale by nie było dla niego takie najgorsze. Niemal przez wieczność, jak się zdawało, przeplatały się kolejno okresy wznoszenia się i swobodnego spadku, które już same w sobie były bardzo trudnego zniesienia. W pewnej chwili swobodny spadek trwał tak długo, że nawet Cochrane poczuł się niewyraźnie. Ale potem rakiety zaryczały jeszcze raz i huknęły tak mocno, jakby statek miał zamiar w ogóle opuścić planetę.

Cochrane jednak bardziej zajęty był omawianiem interesów. Po części blefował. Po części, zupełnie automatycznie, domagał się dużo więcej, niż spodziewał się uzyskać, po prostu dlatego, że w interesach normalną sprawą było unikać szczerości, odnośnie czegokolwiek. Jakąkolwiek kwotę by nie zaproponował, inni ludzie oferowali mniej. A więc, proponował zbyt wiele, a drugi człowiek oferował za mało, przy czym obaj wiedzieli z góry, mniej więcej jakie warunki, powinni oni w końcu ustalić. Biorąc pod uwagę koszt czasu rozmów przez telefon kierunkowy z Lunar City, nie mówiąc już o dalszej transmisji do gwiazd, było to absurdalne. Ale właśnie w ten sposób robiło się interesy.

Wkrótce potem Cochrane zawołał Babs i Alicię, tak by były one świadkami wstępnego porozumienia, które musiało jeszcze zostać ratyfikowane przez zarząd wielkiej korporacji, w domu, na Ziemi. Zarząd powinien w to wejść, ale warunek możliwego odstąpienia od umowy, był

po prostu niezbędny. To były czary mary. Cochrane czuł że poradził sobie z tą sprawą satysfakcjonująco kompetentnie.

W czasie kiedy formalności były w toku, statek podskoczył i opadł, zakółsał się a potem ponownie podleciał. Cochrane powiedział przepraszającym tonem:

– Naprawdę z niechęcią proszę cię o pracę w takich warunkach, Babs.

Babs uśmiechnęła się. Lekko się zarumieniła.

– Wiem! Kiedy pracowałeś dla mnie, nie byłem taki na to wrażliwy.

– A dla kogo pracuję teraz?

– Dla nas obojga – natychmiast odparł Cochrane. Potem spojrzał z winą w oczach na Alicję. Czuł zakłopotanie, że w jej obecności powiedział coś, co zabrzmiało co najmniej sentymentalnie. Biorąc pod uwagę Johnny’ego Simmsa, nie było to zbyt taktowne. Ślad uderzenia na jej policzku, który przedtem był czerwony, teraz zmienił kolor na inny. Powiedział:

– Przykro mi Alicjo... za Johnny’ego.

– Wiedziałaś w co się pakuję – odparła Alicia. – Kochałam go. On nie jest tak naprawdę zły. Jeżeli chcesz wiedzieć, to myślę, że on po prostu zdecydował, wiele lat temu, że nie dorośnie ponad poziom sześciolatka. Był zepsutym małym synkiem, bogatego człowieka. To było zabawne. Tak więc na tym oparł całą swoją karierę. Rodzina pozwoliła mu na to. Ja... – lekko się uśmiechnęła, – ja robię karierę, opiekując się nim.

– Coś można zrobić nawet z sześciolatkiem – warknął Cochrane. – Holden... Ale on nie byłby najlepszym kandydatem, aby tego spróbować.

– On zdecydowanie nie byłby najlepszym kandydatem do takiej próby – bardzo spokojnie przyznała Alicia.

Cochrane odwrócił wzrok. Widziała jak czuł się Bill Holden. Co mogło, ale wcale nie musiało, być dla niego pocieszeniem.

Znów odezwał się komunikator. Zdjęcia wysokich na stopę pokrytych futrem dwunogów z lodowcowej planety, wywołały sensację w telewizji. Producent zabawek chciał kupić prawa do robienia zabawek podobnych do nich. Zdjęcia były chronione prawem autorskim. Cochrane rzeczowo ubił interes. W ciągu kilku dni, we wszystkich sklepach z zabawkami, pojawia się w sprzedaży miniaturowe pozaziemskie zwierzęta. Spaceways Inc. miało otrzymać honorarium od każdego sprzedanego egzemplarza.

Rakiety zahuczały, a następnie hałas ich pracy opadł, zafalował i opadł jeszcze bardziej. Potem zdecydowanie odebrali ten chrupiący odgłos, wielkich płetw ogonowych, napierających na podłoże, przejmujących ciężar całej wagi statku. Rakiety pracowały nieco dłużej, z każdą chwilą dudniąc coraz słabiej. Potem zupełnie ucichły.

– Znów wylądowaliśmy! Chodźmy, zobaczmy, gdzie jesteśmy!

Weszli na górę, do sterówki. Johnny Simms stał oparty o ścianę, wyraźnie nadąsany. Całkiem nieźle urządził sobie życie, zachowując się jak rozpieszczony mały chłopiec. Do tej pory utracił już zupełnie pojęcie jakiegoś bardziej sensownego postępowania. W tej chwili, wyglądał nawet dosyć śmiesznie. Ale Alicia miała posiniaczony policzek, Cochrane niemal zabił człowieka, a Holden znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie,

ponieważ Johnny Simms chciał i upierał się przy zachowaniu zepsutego małego synka bogatego człowieka.

Cochrane'owi przyszło do głowy, że Alicia mogła znaleźć jakąś rekompensatę za swoje upokorzenie i ból, w skrusze małego chłopca -- równie chwilowej, jak każde uczucie w głowie małego chłopca -- kiedy ona i Johnny Simms, zostawali sami.

Statek usiadł w pobliżu linii zachodu słońca, przechodzącej przez planetę. Dalej na zachodzie widać było błyski niebieskiego morza. W miejscu gdzie wylądowali, zaczynał już zbierać się delikatny zmrok. W zasięgu wzroku można było jeszcze dojrzeć wzgórza o gładkich konturach, ciemną kępę lasu na wierzchołku jednego z nich. Drzewa widoczne na jego obrzeżu miały takie same opadające, podobne do trawiastych liście, jak te rosnące w miejscu ich pierwszego lądowania. Pomiedzy tymi jednak znajdowały się także większe i potężniejsze giganty. Statek wylądował na małym płaskowyżu, u podnóża którego, w dolinie, biło źródło. Woda tryskała z taką siłą, że powierzchnia tworzącego się stawu była aż zaokrąglona od napierającego na nią od spodu ciśnienia. Woda przelewała się i spływała dalej strumieniem, w stronę morza.

- Myślę, że wszystko jest w porządku - powiedział pilot Al. Ale ciągle jeszcze pozostawał w swoim fotelu, na wypadek, gdyby statkowi groził przechył w którąś stronę. Cochrane wyglądał co się dzieje na zewnątrz.

- No i?

- Jak mi się wydaje, spostrzeżliśmy coś, co może ci się przydać - spokojnie stwierdził Jones. Wyglądał na śmiertelnie poważnego, ale jakby w głębi ducha podejrzanie zadowolonego. - Tylko popatrz.

Zmierzch robił się coraz głębszy. Niebo na zachodzie zaczęło zmieniać kolor. Roztaczające się barwy były zupełnie zbliżone do zachodu słońca na Ziemi.

- Tutaj nie ma za wiele wulkanów.

Ilość pyłu w powietrzu była niewielka, podobna jak na Ziemi. Na wschodzie zamigotała wielka gwiazda. Była równie jasna jak Wenus obserwowana z Ziemi. Miała niemal dostrzegalny dysk. W jej pobliżu, można było zauważyć nieskończenie małą plamkę światła, która także zadawała się wyglądać jak gwiazda. Cochrane przyjrzał im się dokładniej. Przypomnił sobie wielkiego gazowego giganta, którego widział przez port, po drodze tutaj. Towarzyszył mu księżyc, a właściwie satelitarna planeta, sama posiadająca czapy lodowe, morza i kontynenty. Zawołał Jamisona.

- Tak, myślę, że to jest ta planeta - zgodził się Jamison. - Przechodziliśmy w jej pobliżu. Widzieliśmy ją.

- Ona miała księżyc - zauważył Cochrane. - Bardzo duży. Wyglądał jakby sam był planetą. Jakie mogą tam panować warunki?

- Jest chłodniej niż tu - natychmiast odparł Jamison, - ponieważ tamta planeta znajduje się dalej od słońca. Ale księżyc może dostawać trochę dodatkowego ciepła w postaci promieniowania odbitego od białych chmur głównego składnika układu. To mogłoby być całkiem niezłe miejsce. Są tam oceany, kontynenty i łańcuchy opasanych pianą wysp. Ale morze tam jest dziwne, ciemne i niespokojne. Na głębinach tworzą się

gigantyczne fale pływowe, wynoszone przez kolosa planetarnego, wokół którego krąży ten księżyc. Istnieje tam życie zwierzęce...

– Cięcie – sucho przerwał mu Cochrane. – Co naprawdę o tym myślisz? Czy może to być kolejna niezamieszkała planeta, na którą będą mogli przenieść się ludzie?

Jamison wyglądał na nieco rozdrażnionego, tym że mu przerwano.

– Prawdopodobnie – odparł bardziej prozaicznie. – Jednak pływy będą tam monstrialne.

– Mogłyby zostać wykorzystane do produkcji energii – zauważył Cochrane. – Zobaczmy jeszcze...

W tej chwili jednak Jones przerwał mu ze starannie wystudiowaną obojętnością.

– Tu jest coś ciekawego do obejrzenia. Na ziemi.

Cochrane przesunął się, żeby to zobaczyć. Zmrok jeszcze się pogłębił. Gładka, pokryta zielenią ziemia, zrobiła się ciemnooliwkowa. W miejscach, gdzie na tle nieba odbijały się nagie grzbiety, z wolna przelewała się przez nie jakaś ciemna masa. Wierzchołki wzgórz zrobiły się czarne, a ta czerń spływała w dół, w kierunku najbliższego spadku. Napływająca ciemność nie miała żadnego wyraźnego, wyrównanego frontu. Widać było pewne plamy, które poprzedzały inne. Nie pozostawały one odseparowane przez cały czas. Łączyły się z masami, które podążały za nimi, i innymi plamami oddzielającymi się w ich pobliżu. Cała ta fala ciemności poruszała się bez pośpiechu, z jakąś nieubłaganą i pewną siebie rozwałą. Przemieszczała się w stronę statku oraz doliny z tryskającym źródłem i wypływającym z niej strumieniem.

– Jak na Ziemi... – rozpoczął Cochrane.

– Nie jesteś na Ziemi – przerwał mu karcącym tonem Jones. – Al i ja, znaleźliśmy je. Prosiłeś o bizona, albo jakąś kopię rozsądnie podobną do niego. Nie gwarantuję niczego, ale zauważyliśmy coś, co wyglądało jak stada zwierząt, wędrujące po zielonych równinach, w głębi lądu. Sprawdziliśmy to i wydawało nam się, że przemieszczają się w tym kierunku. Zeszliśmy więc nad nimi, na stosunkowo niewielką wysokość, a Bell pstryknął im parę zdjęć. Kiedy je powiększyliśmy, zdecydowaliśmy, że się nadadzą. Poleciliśmy więc w stronę w którą zmierzały, no i jesteśmy tutaj. A oto i one!

Cochrane wpatrywał się w gęstniejącą ciemność, wyrażając ze wszystkich sił wzrok. Słyszał jak za jego plecami Bell złości się sam na siebie, usiłując ustawić kamerę do zdjęć z bliskiej odległości, przy niewielkiej ilości dostępnego jeszcze światła. Babs stała obok Cochrane'a, a w jej oczach widać było niedowierzanie.

Zbliżającą się ciemną masę, stanowiły zwierzęta. Pokryły czernią zbocza wzgórz po trzech stronach statku. Nadciągały nieubłaganie, leniwie posuwając się naprzód. Były równie liczne jak bizony, które kiedyś zapępiały zachodnie równiny Ameryki. Czarną, kudłatą masą, nadciągały w stronę źródła i wypływającego z niego strumienia. Z niewielkiej odległości, można było już rozróżnić poszczególne łby. A wszystko to, było czystą naturą.

Kosmos, jest ogromną jednością. Wszędzie, gdzie istnieje życie, organizmy biologiczne dostosowują się przebiegle do każdej niszy, która tylko jest w stanie utrzymać żywe stworzenia. Na rozległych zielonych równinach, rozwinęły się pasące się na nich zwierzęta roślinożerne -- oraz oczywiście inne zwierzęta na nich żerujące. Tak więc roślinożercy musieli łączyć się razem w stada, aby zapewnić sobie obronę i umożliwić reprodukcję. Tam, gdzie ziemia pokryta jest roślinami o szerokich liściach, takie rośliny mogą dać schronienie niezliczonym małym stworzeniom, z których niektóre kryją się w wykopywanych norkach. Dzięki temu woda deszczowa wsiąka szybko w te otwory i nie tworzy strumieni. Wody podskórne, z kolei, pojawiają się ponownie na powierzchni w postaci stawów i źródeł, a pasący się roślinożercy muszą chodzić do tych miejsc, do wodopoju. Często również zbierają przed zapadnięciem nocy, aby mieć lepszą ochronę przed swoimi wrogami. Tak dzieje się wszędzie tam, gdzie są równiny i zwierzęta, na każdej planecie aż po krańce galaktyki, ponieważ wszędzie obowiązują pewne prawa, zarówno dla istot żywych, jak i skał.

Wielkie, ciemne masy zwierząt nieśpiesznie przechodziły obok statku. Miały mniej więcej rozmiary bydła -- co samo w sobie zdeterminowane było przez siłę przyciągania na tej planecie, ustanawiającą maksymalny pożądany rozmiar dla pasących się roślinożerców, przy obfitych zasobach żywności. W pogłębiającym się mroku nocy, można było dostrzec tysiące, albo nawet dziesiątki tysięcy sztuk. Tłoczyły się przy bijącym źródle, i przy strumieniu, który z niego wypływał. Piły. Czasami grupy zwierząt czekały cierpliwie, aż dojdzie do wody opustoszeje.

– No i? – tym razem powiedział Jones.

– Myślę, że spełniłeś moje życzenia – przyznał Cochrane.

Zapadła ciemna noc, rozjaśniana jedynie światłem gwiazd, i Cochrane niecierpliwie zaczął się domagać od Ala lub kogoś innego, żeby zmierzył długość pełnego dnia i nocy, na tej planecie. Gwiazdy powinny przesunąć się w górę, z taką to a taką szybkością. Tyle stopni w ciągu takiego czasu. Potrzebna była, oznajmił Cochrane -- tak jakby to życzenie także mogło zostać spełnione -- doba nie dłuższa ani nie krótsza, o więcej niż sześć godzin, w porównaniu z długością dnia na Ziemi.

Jones i Al naradzili się i przygotowali się do wykonania jakichś pomiarów, nie posiadając odpowiednich do tego instrumentów. Cochrane niespokojnie krążył po całym pomieszczeniu. Nie zwracał uwagi na Johnny'ego Simmsa. Johnny stał ponuro w jednym miejscu, nie podchodząc do portów, aby przez nie wyglądać, ostentacyjnie ignorując wszystko i wszystkich. I nikt nie zwracał na niego uwagi! Dla dorosłego człowieka, nie byłoby to żadnym powodem do urazy, ale dla synalka bogatego człowieka, który przez całą swoją karierę pozostawał na poziomie emocjonalnym sześciolatka, było to naprawdę niesamowicie szokujące.

Myśli kotłowały się w głowie Cochrane'owi, niemal gorączkowo. Gdyby długość dnia była odpowiednia, cały jego plan zakończyłby się sukcesem. Jeżeli doba byłaby za krótka albo za długa, musiał zacisnąć zęby i szukać dalej -- a Spaceways Inc. ciągle nie byłoby takim całkowitym sukcesem,

jakiego pragnął. Najprościej byłoby zmierzyć obserwowalną średnicę miejscowego słońca, przy pomocy któregoś z dostępnych środków, a potem najzwyczajniej zmierzyć przedział czasu pomiędzy dotknięciem przez nie horyzontu, i kompletnym jego zejściem. Ale Cochrane nie pomyślał o tym wcześniej, podczas zachodu słońca.

Po pewnym czasie powędrował na dół, gdzie Babs i Alicia pracowały w kuchni nad przygotowaniem jakiegoś posiłku. Próbował im pomóc. Atmosfera przypominała raczej nastrój panujący w małym mieszkanku, na Ziemi, a nie na statku kosmicznym pośród gwiazd. Wyprawa ta w żaden sposób nie przypominała podróży odkrywców, opisywanych przez pisarzy literatury przygodowej. Wkrótce zszedł do nich również Jamison i zaoferował się, że przygotuje specjalną potrawę, w przyrządzaniu której, jak twierdził, celował. Nikt nie wspomniał nawet o Johnnym Simmsie. Alicia, pieczołowicie ignorując wszystko, co się działo wcześniej, oznajmiła Jamisonowi, że Babs i Cochrane stanowią teraz oficjalną parę, i właściwie to nawet planują pobrać się, natychmiast po powrocie statku na Ziemię. Jamison wygłosił kilka zwykłych niestosowanych żartów, odpowiednich dla tej okazji.

Niebawem zawołali na kolację pozostałych. Jones i Johnny Simms pojawili się długo po innych, a wyraz twarzy Jonesa, stanowił modelowy przykład kamiennego oblicza. Johnny Simms natomiast, wyglądał na nadąsanego i mocno zbuntowanego. Jego dąsy nie przyciągnęły niczyjej uwagi w sterówce. Tak więc obrażony odmówił zejścia na kolację. Jones jednak nie miał zamiaru mu zaufać -- i zostawić go samego w sterówce. Teraz więc Johnny usiadł naburmuszony i ostentacyjnie odmówił jedzenia, pomimo wdzięczenia się do niego Alicii. Warknął na nią ostro.

To również nie pasowało do tradycji zachowania kosmicznych podróżników. Jedli kolację w przerośniętym salonie na statku, który nigdy nie był, tak naprawdę, przeznaczony do opuszczenia Księżyca. Statek stał prosto, pod obcymi gwiazdami, na jeszcze bardziej obcej planecie, i wszędzie wokół niego widać było tylko odpoczywające sylwetki tysięcy za tysiącami, stworzeń podobnych do bydła. A konwersacja przy stole składała się częściowo z familiarnych żartów, z nowego romantycznego statusu Babs i Cochrane'a, a częściowo z dyskusji na temat audycji telewizyjnej, która musiała być gotowa, zanim upłynie określona liczba ziemskich godzin. I nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na Johnnynego Simmsa, groźnie wpatzonego w stół i odmawiającego jedzenia.

Możliwe, że był to błąd.

Dużo, dużo później, Cochrane i Babs znówu znajdowali się w sterówce, i tym razem byli tam sami.

– Posłuchaj! – z irytacją oznajmił Cochrane. – Czy zdajesz sobie sprawę, że nie całowałem cię, od kiedy wróciliśmy na statek? Jak to się stało?

– To twoja wina! – z oburzeniem odparła Babs. – Przez każdą spędzoną tutaj sekundę, myślałeś o czymś innym!

Cochrane przez kilka kolejnych minut myślał tylko o tym. Zaczął sobie przypominać z nowo nabytą tolerancją, szaleńcze wybryki ludzi, z

produkowanych przez siebie show. Mieli powody -- ci wyimaginowani ludzie -- do tego, aby zachowywać się nierozsądnie.

Wkrótce potem jego mózg jednak znowu zaczął działać.

– Musimy poczynić pewne plany, odnośnie nas – powiedział. – Oczywiście, możemy wrócić do życia na Ziemi. Zarobiliśmy już całkiem ładną sumkę na audycjach z tego statku. Ale nie wydaje mi się, żebyśmy chcieli żyć w taki sposób w jaki trzeba żyć na Ziemi, przy zbyt dużej liczbie mieszkających tam ludzi. Ja chciałbym...

Ktoś wbiegł z tupotem stóp, po schodach z dołu.

– Johnny? – To był Bell. – Jest tutaj na górze?

Cochrane puścił Babs.

– Nie. Nie ma go tu. Dlaczego pytasz?

– Nie ma go nigdzie – z niepokojem poinformował ich Bell. – Alicia mówi, że zabrał ze sobą broń. A w każdym razie brakuje jednej sztuki. Gdzieś zniknął!

Cochrane zaklął pod nosem. Głupiec dobijający się o swoją godność z karabinem w ręku, to mogła być naprawdę poważna sprawa. Zapalił światła w całej sterówce. Johnny'ego tam nie było. Potem Holden zawołał ich szorstko z pokładu, dwa poziomy niżej.

Koło wewnętrznych wrót śluzy powietrznej stała Alicia. Jej twarz była trupio blada. Wrota śluzy były otworzone. Zewnętrzny właz był również otwarty -- a nikt go jeszcze nie używał od czasu ich ostatniego lądowania. Liny podnośnika zwisały, wyciągnięte na zewnątrz. Powoli kołysały się w świetle padającym na nie z wnętrza statku.

Z dworu dolatywał zapach. Był to odór zwierząt -- piżmowa, amoniakalna woń, w jakiś sposób zupełnie nie obca, nawet jeżeli nie była ona czymś zupełnie zwyczajnym. Z mroków nocy, z zewnątrz, dobiegały różne hałasy. Były to odgłosy chrząkania. Parsknięcia. Były to takie dźwięki, jakie może wydawać z siebie w nocy ogromne skupisko przeżuwaczy, zebranych razem w tysiącach i miriadach, w poszukiwaniu bezpieczeństwa i odpoczynku.

– On... wyszedł na dwór – zrozpaczonym głosem powiedziała Alicia. – Chciał nas ukarać. Jest tylko rozpieszczonym małym chłopcem. Nie byliśmy dla niego mili. A... on też bał się nas! A więc, uciekł, żeby było nam przykro!

Cochrane podszedł, żeby wyrzeć z włazu na zewnątrz, i zawołać na Johnny'ego żeby wracał. Spoglądał na kompletną czerń na ziemi. Poczuł dotkliwy zawrót głowy, ponieważ w zewnętrznych wrotach śluzy, nie było żadnej barierki, a on wiedział jak długi byłby lot, gdyby spadł na ziemię. W środku, był zupełnie wściekły. Johnny Simms może poczuć tryumf, kiedy go się woła. Być może, trzeba będzie go błagać, żeby wrócił. Będzie pewnie pompatycznie ogłaszać warunki swojego powrotu, zanim zostanie zabity...

Cochrane zobaczył rozbłysk ognia i krótką nitkę śladu po pocisku smugowym, zanim w coś trafił. Doleciał do niego huk broni. Usłyszał również ryk zwierzęcej agonii, a następnie wrzask najczystszej grozy z ust Johnny'ego Simmsa.

Potem na ziemi podniósł się potworny tumult. Wszystkie znajdujące się dookoła zwierzęta, połączyły swoje głosy w strasliwym, beczącym ryku. Siła tego dźwięku, była ogłuszająca -- doprowadzał niemal do agonii, samym swoim uderzeniem. Zapanowało powszechne poruszenie i trzaski uderzających o siebie rogów.

Kolejny wrzask Johnny'ego Simmsa. Przemieścił się. Wydawało się, że biegnie. Cochrane zobaczył kolejne rozbłyski z lufy i usłyszeli huk kolejnych wystrzałów. Zaciśnął dłonie i czekał na grzmiące dudnienie, tętent kopyt mrowia potężnych zwierząt, pędzących z hukiem przez noc, w ślepym popłochu.

Ale nic takiego się nie wydarzyło. Słychać było jedynie kolejne ryki, strasliwy zgiełk, powodowany przez gromady zwierząt ryczących na alarm i próbujących tym hałasem odstraszyć ewentualnych napastników.

Jeszcze dwukrotnie tej nocy, z ciemności dobiegały strzały. Johnny Simms strzelał szaleńczo i wrzeszczał w histerycznej panice. Za każdym razem strzały i krzyki, dobiegały z coraz większej odległości.

Nie mieli żadnych przenośnych świateł, które mogłyby posłużyć im do poszukiwań. Nikt wcześniej nie pomyślał, że ktoś może wyjść ze statku, żeby błądzić po nocy między dzikimi zwierzętami.

Nie można było niczego zrobić. Cochrane mógł jedynie czekać bezradnie i nasłuchiwać podczas gdy silny odór zwierząt unosił się do jego nozdrzy, a w uszach brzmiały mu niezliczone odgłosy niewidocznych, zaniepokojonych stworzeń.

Na statku Alicia rozpaczliwie łkała. Babs próbowała ją uspokajać ale nadaremnie.



X

Słońce już weszło. Cochrane zanotował czas, minęło czternaście godzin od jego zachodu. Lokalny dzień, powinien być więc nieco dłuższy od doby na Ziemi. Sposób w jaki zapadał świt, był absolutnie normalny. Na niebie pojawiło się blade, szare światło. Powoli nasilało się. Następnie pokazały się czerwone zorze, które zmieniały się w złote przebarwienia, a gwiazdy o nieznanych nazwach, gasły jedna po drugiej. Wkrótce zbocza najbliższych wzgórz, przestały być czarne. Wszędzie się rozjaśniło.

Alicja, blada i wymizierowana, czekała żeby zobaczyć, co pokaże światło dnia.

Wszystko jednak okrywała gęsta mgła. Grzbiety wzgórz były od niej wolne, podobnie jak i widoczna krawędź lasu. Również górna połowa lśniącego kadłuba statku, wznosiła się ponad dziwnie zabarwioną, powoli kotłującą się mgłą. Wszystko inne wydawało się jednak tonąć w morzu mleka.

Mgła ostatecznie zaczęła się przerzedzać, w miarę jak słońce świeciło coraz mocniej. Jej górne warstwy wirowały i rozpływały się w nicość. Wszystko to było zupełnie powszechnym zjawiskiem. Nawet chmury na niebie były dobrze znanych rodzajów. Co było, jeżeli już się nad tym zastanowić, absolutnie nieuniknione. Była to planeta krążąca wokół gwiazdy typu słonecznego, tego samego rodzaju i tej samej barwy, co gwiazda ogrzewająca Ziemię. Miała ona planety, podobnie jak Słońce, ojczysta gwiazda ludzkości. Obowiązuje pewne prawo -- prawo Bodego -- które określa, że planety muszą krążyć po orbitach, umiejscowionych zgodnie z takimi to a takimi powiązaniem między nimi. Musi również być prawem, że planety na tych orbitach muszą pozostawać w takich to a takich powiązaniach między sobą, co do ich masy i rozmiarów. Musi być prawem, że w normalnych warunkach muszą wiać na nich wiatry, że na określonych wysokościach i w określonych warunkach muszą formować się chmury. Byłoby to bardzo dziwne, gdyby Ziemia stanowiła wyjątek od praw natury, obowiązujących na wszystkich innych planetach.

Tak więc niezwykłość tego poranka, dla tych którzy obserwowali go ze statku, nie różniła się specjalnie od niezwykłości poranka w nieznanym miejscu na Ziemi i nie sugerowała w ogóle, że znajdują się na zupełnie obcej planecie.

Spodnie warstwy porannej mgły również się przerzedzały. Spoglądając na dół, Cochrane widział już ciemne potężne kształty poruszające się obok trzech metalowych płetw ogonowych statku. To były przybyłe w nocy zwierzęta, które wstały ze swoich legowisk na ziemi i powoli wyruszyły na rozległe śródlądowe równiny. Szły w skupiskach liczących setki, a czasami

dziesiątki sztuk. Tylko od czasu do czasu pojawiały się grupy złożone z kilkunastu zwierząt.

Z dużej wysokości i z powodu mgły, Cochrane nie widział zbyt wyraźnie poszczególnych zwierząt, ale były one bez wątpienia ciężkie i niezdarne. Poruszały się ospale. Ich liczba malała. Teraz widział już grupy składające się z nie więcej niż czterech lub pięciu sztuk. Widział nawet pojedyncze zwierzęta, cierpliwie kroczące przed siebie.

Kolejnych już nie było widać.

Potem światło słoneczne dotarło nawet do terenów między wzgórzami. Ostatnie z porannych mgieł rozproszyły się i u podnóża statku zobaczyli leżące martwe ciała dwóch zwierząt. Zabił je Johnny Simms, pierwszymi panicznymi strzałami oddanymi w nocy. Było jeszcze jedno martwe zwierzę, leżące jakąś jedną czwartą mili dalej.

Cochrane wydał rozkazy. Jonesowi i Alowi, nie wolno było opuszczać statku. Byli niezbędni, żeby doprowadzić go z powrotem na Ziemię, a ponadto to oni mieli pełną wiedzę, jak budować następne statki międzygwiazdne. Cochrane próbował także zostawić na tyłach Babs, ale nie chciała zostać. Bell obładował się cały kamerami i taśmą filmową, nie licząc broni, zanim jeszcze nawet Cochrane rozpoczął organizację wyprawy. Holden był potrzebny, jako dodatkowy karabin. Alicia, ciągle zrozpaczona, chociaż nie mogła już płakać, także nie chciała zostać na statku. Cochrane zwrócił się kwaśno do Jamisona:

– Nie wydaje mi się, żeby Johnny zginął – stwierdził. – A w każdym razie, jeżeli to się stało, to wcześniej musiał odejść gdzieś daleko. Musimy go szukać. Koło zwierząt, takich jak te widziane przez nas ubiegłej nocy, z pewnością będzie się kręciło wiele innych stworzeń, które na nie polują. Możemy wpaść na cokolwiek. Jeżeli nie wrócimy, pójdiesz do prawników, których wynająłem, żeby reprezentowali Spaceways. Po tej robocie staną się bogaci, ale na koniec ty również będziesz spał na pieniądzach.

– Założyłbym się o każdą kwotę – powiedział Jamison przyciszonym głosem, – że znajdziecie go gdzieś stratanego na śmierć.

– Zgodziłbym się z tobą – kwaśno odparł Cochrane, – ale ewidentnie te zwierzęta nie spłoszyły się. Być może one nie szarżują na napastników, tylko tworzą pierścienie, aby chronić swoje samice i młode, tak jak woły piżmowe. Obawiam się więc, że on ciągle żyje, ale boję się również, że nigdy go nie znajdziemy.

Uporządkował swoją grupę. Jones miał przygotowane walkie-talkie, umiejętnie wymontowane ze skafandrów kosmicznych, których nikt nawet nie używał od czasu wylotu z Lunar City -- i Holden zabrał jedną sztukę, do utrzymywania kontaktu ze statkiem. Zjechali na podnośniku, po dwie osoby na raz.

Cochrane obejrzał dwa martwe zwierzęta, leżące w pobliżu podstawy statku. Miały z grubsza rozmiary bydła i były kudłate jak bizony. Posiadały rozgałęziające się, ostro zakończone, śmiertelnie niebezpieczne rogi. Miały również kopyta, pojedyncze kopyta, a nie racice. Nie były podobne do żadnego ziemskiego zwierzęcia. Ale rogi i kopyta, będą się pojawiały w każdym systemie równoległej ewolucji. To wydawało się nawet jeszcze bardziej pewne, niż to że białka, aminokwasy i takie związki chemiczne jak

hemoglobina, tłuszcz czy tkanka mięśniowa, powinny być zawsze identyczne, jako efekt nieuniknionej zbieżności chemii. Te stworzenia miały zęby i były roślinożerne. Bell starannie obfotografował je ze wszystkich stron.

– Jakoś – stwierdził Cochrane, – wydaje mi się, że będą one nadawały się do jedzenia. Jeżeli będziemy mogli, to opróżnimy naszą zamrażarkę i zabierzemy to truchło do badań.

Holden z nieszczęśliwą miną wziął swoją strzelbę. Alicia nic nie powiedziała. Babs trzymała się blisko niej. Ruszyli dalej. Ziemia parowała ciężkim odorem i zryta była odciskami kopyt, olbrzymiego stada które odeszło. Bell ponownie zrobił zdjęcia. Nie zatrzymywali się jednak. Johnny Simms szedł tą drogą, wiedzieli to po padłych zwierzętach. Teraz jednak już go tu nie było.

Pokonali kolejne wzniesienie gruntu. Zobaczyli dwa następne ubite stworzenia. Teraz stało się już oczywiste, że zwierzęta te nie szarżują kiedy są zaalarmowane, ale stoją na swoim miejscu. Johnny Simms po prostu strzelał na ślepo, kiedy błędząc wpadał na ich skupiska.

Ostatnie padłe zwierzę, jakie znaleźli, leżało zaledwie dwieście jardów od jednej z kęp lasu, widocznych ze statku. Cochrane stwierdził z ponurą miną.

– Kiedy oczy przyzwyczyły się mu do ciemności, mógł dostrzec las i próbować do niego dotrzeć, żeby uciec od tych zwierząt.

A jeżeli Johnny Simms nie zatrzymał się natychmiast, kiedy doszedł do lasu i jak zakładał bezpiecznego miejsca, to do tej pory zupełnie się już zgubił. Nie mogło być chyba bardziej beznadziejnej sytuacji, jak zgubienie się człowieka na obcej planecie, kiedy już od samego początku nie wie w jakim kierunku pobłądził. Nawet gdzieś w pobliżu, trzy kierunki poruszania z czterech, byłyby błędne. Po odejściu na większą odległość, szansa natknięcia się ponownie na statek, była tak niewielka, że wręcz pomijalna.

Alicia zauważyła odcisk ludzkiej stopy na zdeptanym kawałku błota w pobliżu ostatniej padliny. Wskazywał on w stronę lasu.

Doszli do lasu i dalsze poszukiwania, wyglądały zupełnie beznadziejnie. Wtedy jednak, zupełnym przypadkiem, znaleźli miejsce w którym Johnny potknął się i przewrócił jak długi. Pozbierał się i szaleńczo uciekał dalej. Przez jakieś piętnaście jardów, byli w stanie go śledzić, dzięki stratowanym suchym roślinom, które podeptał podczas swojego biegu. Dalej niestety takich roślin już nie było. Wszystkie ślady jego kroków zniknęły. Ale poszli dalej w tym kierunku.

Wszędzie napotykali różne dziwne rzeczy, których świadomi byli tylko w niewielkiej części, ponieważ na Ziemi byli kompletnymi mieszkańcami. W pewnym miejscu drzewa rosły jak figowce baniany, tworząc typową dla nich gęstwinę drugorzędnych pni i wyrastających z nich korzeni. Przedarcie się przez nie było zupełnie niemożliwe. Musieli skrócić w bok. W innym miejscu gigantyczne, podobne do sekwoi drzewa, tworzyły wrażenie podobne do pobytu w strzelistej katedrze, tak że aż bezbożnością wydawało się odezwać choćby słowem. Holden jednak, akurat właśnie wtedy, musiał przyciszonym głosem złożyć raport przez walkie-talkie, w

którym zapewniał Jonesa, Ala i Jamisona, że jak do tej pory wszystko jest w porządku.

Usłyszeli jakieś ogromne poruszenie rozpaplanych głosów, i mieli nadzieję, że mogło być ono spowodowane niepokojem wznieconym przez Johnny'ego Simmsa. Ale kiedy doszli na to miejsce, panowała tam tylko martwa cisza. Wszędzie widzieli tam, tylko setki małych gniazd. Nie udało im się nawet przelotnie dojrzeć żadnego z ich mieszkańców, ale czuli wyraźnie, że są bacznie obserwowani spod niemal wszystkich liści i gałązek.

Cochrane wyglądał na naprawdę nieszczęśliwego. Tak na chłodno patrząc, wiedział że Johnny Simms opuścił statek w dokładnie takim samym nastroju obrażonej zuchowatości, w jakim rozpieszczony mały chłopiec uciekał z domu, żeby ukarać swoich rodziców. Całkiem możliwe, że miał zamiar tylko wyjść na dwór, aby poczekać skryty gdzieś w pobliżu statku w nocnych ciemnościach, aż wszyscy zorientują się że go nie ma. Ale znalazł się pomiędzy nieznanymi mu bestiami. Wpadł więc w ślełą panikę. W wyniku tego, teraz naprawdę się zgubił.

Nie można było jednak zrezygnować z poszukiwań tylko dlatego, że po prostu były beznadziejne. Cochrane nie był w stanie wyobrazić sobie niczego innego, jak tylko ich kontynuacji, dopóki Alicia miała nadzieję. A przecież mogła tę nadzieję mieć przez trudny do określenia czas.

Usłyszeli słaby, odległy, ostry huk strzału.

Holden natychmiast doniósł o tym na statek przez walkie-talkie. Cochrane skinął wyraźnie głową w stronę Alicii i wystrzelił w odpowiedzi. Poczuł olbrzymią ulgę. Wyglądało jakby wszystko miało skończyć się w normalny sposób. Grupa ze statku skierowała się w stronę źródła pierwszego wystrzału.

Pół godziny później, Cochrane miał już ponownie wystrzelić. Ale tuż wcześniej usłyszeli histeryczne rat-tat-tat palby karabinowej. Miejsce z którego dochodziła nie wydawało się być specjalnie bliżej niż przedtem, ale to mógł być jedynie Johnny Simms.

Cochrane i Holden wystrzelili razem, aby dodać Johnny'emu pewności. Bell robił zdjęcie.

Znowu pomaszerowali w kierunku z którego dochodził odgłos strzałów. I ponownie przedzierali się z trudem przez las, przez dłuższy czas. Widocznie Johnny szedł w tym samym kierunku, a oni podążali jego śladem. Wspięli się na wzgórze, a kiedy znaleźli się na jego wierzchołku, poczuł wiatr niosący ze sobą zapach wody i zobaczyli, że teren przed nimi stopniowo opada w stronę morza, a samo morze znalazło się w zasięgu wzroku. Było ono niesamowicie niebieskie i rozciągało się aż po horyzont, tworząc bardzo urokliwy widok. Między nimi a morzem, rosły już tylko jakieś niskie zarośla, brązowawe i rzadkie. Pod nogami pojawił się piasek -- bardzo osobliwy, niebieskawy piasek. Jedynie tu i ówdzie, kępy wyglądającej na suchą roślinności, wyrastały wyżej ponad poziom ich głów.

Kolejne strzały. Między nimi i morzem. Cochrane i Holden znowu wystrzelili.

– Co u diabła dzieje się z tym głupcem? – dopytywał się zirytowany Holden. – Przecież wie, że nadchodzimy! Dlaczego nie zostanie w jednym miejscu, albo nie wyjdzie nam na spotkanie?

Cochrane wzruszył ramionami. Ta myśl także go trapiła. Szli więc dalej przed siebie, aż w pewnej chwili Holden nagle zawołał:

– To wygląda jak człowiek! Dwóch ludzi!

Cochrane złapał króciuteńki przelotny obraz czegoś biegnącego, daleko przed nimi. Wyglądało to jak nagie ludzkie ciało. Stworzenie miało również rozmiary człowieka. Gdzieś zniknęło. Kolejne pojawiło się na otwartej przestrzeni i także błyskawicznie zniknęło z zasięgu wzroku. Zwierzęta nie zauważyły przybyszów.

– To stworzenie podobne do tego, które zastrzelił, tam gdzie wylądowaliśmy po raz pierwszy – ponuro zauważył Cochrane. – Lepiej się pośpieszmy!

Przyśpieszyli kroku. Wybuchła ostatnia burza strzałów. To był ogień ciągły. Strzelanie seriami w sytuacji gdy ma się bardzo ograniczone zapasy amunicji, nie jest rozsądnym posunięciem. Karabin Johnny'ego Simmsa zaszczekał z furją przez ułamek sekundy. Nagle ogień się urwał. Nie mógł wystrzelić takiej krótkiej serii. Skończyła mu się amunicja.

Ruszyli biegiem.

Kiedy dotarli w jego pobliże, coś głośno zawyło. Stworzenia rozproszyły się. Duże stworzenia. Ptaki o rozmiarach ludzi. Usłyszeli wrzaski Johnny'ego Simmsa.

Ciężko zasapani dobiegli daleko w głąb plaży, na której pokryte pianą fale załamywały się z absolutnie normalną widowiskowością. Piasek był zupełnie normalny, poza lekkim, błękitnawym odcieniem. Johnny Simms znajdował się na środku plaży, na otwartej przestrzeni. Upadł na ziemię. Rzucił wcześniej w coś swoją strzelbą, i teraz był bezbronny. Leżał na piasku, straszliwie skrzecząc. Obok niego skakały cztery niezgrabne monstrialne ptaki, wyglądające jak przerośnięte koguty do walki, Cornish Game. Dziobały go raz za razem. Dwa z nich uciekły szaleńczo na widok ludzi. Pozostałe dwa, zostały. Po chwili jednak także zaczęły uciekać. Jeden z nich zatrzymał się, a następnie rzucił się do tyłu, i po raz ostatni zatopił dziób w Johnnym Simmsie, zanim na dobre uciekł.

Holden wystrzelił, lecz spudłował. Cochrane podbiegł do wijącego się i wrzeszczącego Johnny'ego Simmsa. Ale Alicia znalazła się przy nim jako pierwsza.

Wyglądał absolutnie żałośnie. Ubranie zostało z niego niemal zupełnie zdarte, już w pierwszych chwilach po oddaniu ostatniej serii strzałów. Jego nagie ciało, było całe pokryte ranami. Pomimo wszystko, dziób ptaka o rozmiarach człowieka, nie jest bronią, którą można by pogardzić. Gdyby nie przybycie grupy ratunkowej ze statku, Johnny Simms zostałby zadziobany na śmierć. O samym świcie został zauważony przez stado polujących stworzeń wielkości strusia, które ruszyły za nim w pogoń. Człowiek nieco bardziej opanowany, zostałby na swoim miejscu i zabił kilka z nich. Wtedy reszta albo by uciekła, albo zaczęłaby pożerać swoich zabitych towarzyszy. Ale Johnny Simms nie cechował się chłodną głową. Zrobił karierę na roli rozpieszzonego synka bogatego człowieka. Teraz

przeżył na tyle olbrzymie przerażenie i na tyle wyczerpującą ucieczkę, że zszarpałoby to nerwy normalnego mężczyzny. Dla Johnny'ego Simmsa skutek był katastrofalny.

Nie był w stanie iść, a dzieliła ich za duża odległość od statku, żeby dali radę go zanieść. Holden wyjaśnił to przez walkie-talkie i Jones zaproponował, że potnie na kawałki jedno z zabitych przez Johnny'ego zwierząt, umieści je w specjalnie na ten cel opróżnionej zamrażarce, a następnie uniesie statek w powietrze i wyląduje nad morzem. Wyglądało to na sensowną propozycję. Johnny z pewnością nie był zbyt poważnie ranny.

Oznaczało to jednak, że trzeba będzie poczekać. Alicia siedziała koło swojego męża, próbując go opatrzyć. Holden spacerował wzdłuż morza, oglądając wyrzucone na brzeg przez fale muszelki. Jedna ze znalezionych muszli była znacznie wspanialej ubarwiona, niż stworzona przez jakiegokolwiek perłopławy na Ziemi. Nie miała ona przy tym typowego kształtu płaskiej spirali, czy też stożka, charakterystycznego dla ziemskich mięczaków. Rozrastała się w postaci podwójnie splecionej spirali, dając w wyniku wyjątkową, błyszczącą, skomplikowaną sferę. Bell niemal podskakiwał z podniecenia, kiedy ją fotografował, przeżywając prawdziwe męki, próbując właściwie oddać wszystkie kolory.

Cochrane i Babs również ruszyli na spacer po plaży. Było tak pięknie, że po prostu nie można było czegokolwiek się obawiać. Podczas spaceru przede wszystkim mówił Cochrane. W pewnej chwili oświadczył z nieskończoną satysfakcją:

– Tutejsze związki chemiczne z pewnością są takie same jak u nas na Ziemi! To zupełnie nowy świat, większy nawet niż lodowcowa planeta! Te zwierzęta, ostatniej nocy -- oczywiście, jeżeli będą nadawały się do jedzenia -- uczynią to miejsce podobnym do starego zachodu, a przecież wszyscy zazdroszczą pionierom! To jest nowa Ziemia! Wszystko tutaj jest niemal takie samo...

– Ja jakoś – zauważyła Babs, – nie słyszałam na Ziemi o niebieskim piasku.

Spojrzał na nią, ze zmarszczonymi brwiami. Pochylił się i wziął do ręki garść z leżącego na plaży piasku. Nie był wcale niebieski. Małe, pokruszone przez morze kamyki złożone były ze zwykłego kwarcu i skały granitowej. Musiały takie być. A jednak było tam coś niebieskiego... Niebieskie ziarna były dużo mniejsze niż te w białym, brązowym i szarym kolorze. Cochrane przyjrzał im się uważniej. Potem dmuchnął. Cały piasek wywiało mu z ręki, poza jednym małym ziarenkiem. Miało biały kolor. Lśniło jakby było tłuste. Cochrane wszedł kilka kroków w morze i zamoczył rękę w wodzie. Próbował zwilżyć ziarenko piasku. Nie dawało się zmoczyć.

Zaczął się głośno śmiać.

– Kiedyś robiłem show – wyjaśnił Babs, – o dawnych kopalniach diamentów. Słyszałaś kiedyś o nich? Znajdowali diamenty w niebieskiej glince, która była twarda jak skała. Tutaj niebieska glina wychodzi spod powierzchni pod falami morza. To jest mały diament, wypłukany przez wodę! To ostatnia rzecz, jaka była nam potrzebna! – Popatrzył na swój

zegarek. – Za dwie i pół godziny mamy być na antenie! Teraz mamy już wszystko, czego potrzebujemy. Chodźmy, niech Holden, powie Jonesowi, żeby się pośpieszył!

Babs jednak nagle się poskarżyła.

– Jed! Jakie życie ty masz zamiar ze mną prowadzić? Jesteśmy tu tyle czasu -- i nikt nas nie widzi -- a ty nawet tego nie zauważyłeś!

Cochrane był mocno skruszony. W efekcie tego, sami musieli z dużym pośpiechem wracać brzegiem morza, aby dołączyć do pozostałych, kiedy wysoko w powietrzu pojawił się srebrzysty błysk statku kosmicznego, który potem pomknął w dół wyrzucając spod siebie gwałtownie strumienie płomieni, aby wylądować ćwierć mili w głębi lądu.

Zanim ziemia ostygła, na tyle by mogli ponownie wejść na pokład statku, Bell zrobił zdjęcia małego diamentu. Dzięki sposobowi w jaki go skadrował, na tle które nie miało żadnych elementów pozwalających na ocenę rozmiaru, mały biały kamień wyglądał niemal jak Kohinoor. Składał się z dwóch przezroczystych piramidek, ustawionych do siebie podstawami. Bellowi udało się nawet uchwycić dobiegające z nich kolorowe błyski. Zaś Jamison, uprzedzony wcześniej, zrobił z powietrza zdjęcia obszarów pokrytych niebieskim piaskiem. Miały dokładnie taką barwę, jaką wyjaśniał mały diament.

Audycja była niezwykle udana. Rozpoczęła się od czterominutowej reklamy, w której z niezwykłą delikatnością zostały omówione zagrożenia powodowane przez niewłaściwe wydalenie, a następnie jasno i wyraźnie wykazano -- widowni czekającej na to aby spojrzeć do gwiazd -- że tylko Emulsja Jelitowa Greshhama umożliwia ciało pełne wykorzystanie witamin, protein i najnowszych substancji o podłożu enzymatycznym, których każdy człowiek potrzebuje dla naprawdę doskonałego zdrowia. Potem następowały ujęcia ze zbliżania się do tej planety, ujęcia ogromnych stad zwierząt na równinach, widoki bujnego, falującego listowia, przyływ kudłatych zwierząt, które podchodzą o zmroku do wodopoju, aż w końcu zdecydowanie-zbyt-krótka prezentacja zabarwionej na niebiesko ziemi, która kończyła filmowy klip, wyraźną obietnicą pól diamentowych.

Sposób poprowadzenia tego show przez Cochrane'a, był niemal natchniony. Widoki stada zwierząt zostały obliczone na przyciągnięcie każdego z widzów, myślącego zarówno w kategoriach piękna przyrody, wspaniałych przygód -- przy absolutnym osobistym bezpieczeństwie, oczywiście! -- jak też steków, gulaszów i pieczeni. Bardziej utalentowani w tym kierunku widzowie na Ziemi, mogliby nawet wyobrazić sobie w tym miejscu filet mignon. Maluteńki diament rozsiewający pryzmatyczne błyski, pobudzał, oczywiście, pożądanie innego rodzaju.

W te ponętne widoki wstawione zostały cztery reklamy, ostatnia nakładała się na widok kolorów zachodu słońca sfilmowanego przez Bella. Dzięki temu mogło się wydawać, że widownia telewizyjna połączy sobie urok nowej, tak pięknie pokazanej planety z tak natarczywie wychwalanym produktem. W dzisiejszych czasach widownia była jednak całkiem nieźle zahartowana i odporna na reklamy. Nie dawała się oszukać. Chyba że, jak zwykle, sama oszukiwała siebie.

Natomiast w fakcie, że mieli do dyspozycji nową, pustą planetę, odpowiednią do zamieszkania przez ludzi, nie było już żadnego oszustwa. To była szczerza prawda. Oczywiście sfrustrowane, przeludnione miasta, natychmiast stały się miejscami, gdzie każdy przepełniony szczęściem człowiek, snuł dla swoich sąsiadów plany, jak najszybszej tam przeprowadzki. A co bardziej zirytowani ludzie, zaczęli nawet mgliście myśleć, że może warto by było zacząć snuć je dla samych siebie.

Statek wystartował dwie godziny po zakończeniu audycji. Część z tego czasu została wykorzystana na narady astrogacyjne z astronomami na Ziemi. Cochrane nagrał to spotkanie na taśmę, dla potrzeb dodatkowego programu telewizyjnego, w którym widownia dzieliłaby zarówno problemy, jak i tryumfy międzygwiazdnych podróżników. Cochrane chciał już wracać na Ziemię. Gdyby chodziłoby tylko o telewizję, byłoby to nierozsądne posunięcie. Statek i jego załoga, mogli podróżować dalej, niemal w nieskończoność, nie cierpiąc na brak sponsorów. Ale chociaż raz Cochrane w zupełności zgadzał się z Holdenem.

– Wracamy do domu – wyjaśnił Babs, – ponieważ jeżeli będziemy lecieć dalej to ludzie przyzwyczajają się do naszych show i zaczną je traktować jako po prostu kolejną, tyle że wyższego rodzaju, formę rozrywki eskapistycznej. Oferuje ona im jakoś marzeń rzędu „Możesz wygrać milion”, czy też show loteryjnych. Mieliby coś o czym mogliby marzyć, ale nigdy by nie pomyśleli, żeby samemu zrobić coś w tym kierunku. Mamy zamiar uczynić ten serial rozbawiająco krótkim, po to aby był bardziej przekonujący i rzeczowy. Nie chcielibyśmy przedłużać jego wartości jako widowiska rozrywkowego, do chwili kiedy praktycznie straci wszystkie inne zalety.

– Nie – zgodziła się z nim Babs. Położyła swoją dłoń na jego. Uważała za niezbędne, żeby przypomnieć mu to wrażenie, od czasu do czasu.

Tak więc statek wyruszył do domu. Nie miał jednak lecieć bezpośrednio na Ziemię -- czy też do Lunar City -- z bardzo określonego powodu. Cochrane chciał przed odwrotem do domu zgrabnie podopinać wszystkie swoje sprawy biznesowe. Mogli jeszcze wypuścić po drodze jedno czy dwa show, a poza tym pewne wysoce zaawansowane kontrakty mogły zostać znacznie sprawniej doprowadzone do końca, w sytuacji gdy jedna ze stron -- to jest Spaceways, Inc. -- była niedostępna, poza przypadkami kiedy miała ochotę być dostępna. Inne strony były wtedy bardziej niespokojne i skłonne do ustępstw.

A więc narada astrogacyjna nie dotyczyła bezpośredniego powrotu na Ziemię, ale kursu na jakąś małą gwiazdę typu słonecznego, która nie była za bardzo oddalona od bezpośredniej linii. Mogliby odwiedzić Gwiazdę Polarną, ale była to gwiazda podwójna. Cochrane nie czuł w sobie abstrakcyjnej ciekawości naukowej. Jego podejście należało do gatunku czysto biznesowych. W końcu zajmowali się właśnie robieniem biznesu.

Odpowiedni przystanek, oczywiście, znalazł się bez trudu, niezbyt daleko od drugiej planety -- planety kudłatych zwierząt. Umieścili koło niej plastikowy balon z generatorem pola Dabneya w środku. Mógł unosić się w próżni niemal nieograniczenie długo. Pole powinno wytrzymać nie mniej niż dwadzieścia lat. Miało ono służyć jako tor nawigacyjny, jako

autostrada, szlak kolejowy przez kosmos, dla innych statków planujących przybyć na trzecią planetę, która obecnie była już dostępna dla ludzi. W przyszłości będzie można przygotować lepsze rozwiązanie.

Jones ekstatycznie projektował już naziemne instalacje pola Dabneya. Szlaki pola Dabneya będą się rozciągać od gwiazdy do gwiazdy. Po nich, jak w rurach pneumatycznych, statki podróżować będą z niewyobrażalnymi szybkościami, w kierunku absolutnie pewnych punktów docelowych. To prawda, że będą chwile, kiedy nie będą one mogły być używane, ponieważ pomiędzy punktami końcowymi i stacjami, pojawiać będą się potężne masy planet. Ale zwracając uwagę na odpowiednie harmonogramy, stworzenie czegoś podobnego do sieci usług transportowych między skupiskami gwiazdnymi, nie powinno być specjalnie trudne. Wyjaśnił to wszystko Cochrane'owi, oraz przysłuchującemu się ich rozmowie Holdenowi.

– Och, pewnie – cynicznie stwierdził Cochrane. – I będziesz miał na karku wszystkich podatników, ponieważ będziesz na tym zarabiał pieniądze. Zostaniesz poddany takiej regulacji, że aż przestaniesz istnieć. Czy myślałeś, że Spaceways będzie w stanie uruchomić tak rozbudowany system transportowy, jaki planujesz, bez wtrącania się innych, zgłaszających pretensje nawet do chwały związanej z jego stworzeniem?

Jones popatrzył na niego z kamienną twarzą. Był jednak rozdrażniony.

– Chcę zarobić trochę pieniędzy – odparł. – Myślałem, że moglibyśmy to uruchomić, a potem wziąłbym statek oraz urządzenia, i zająłbym się jakąś naprawdę oryginalną robotą. Chciałbym zrobić coś nowego, i żebym nie musiał potem sprzedawać praw autorskich do tego!

– Zorganizuję to – obiecał mu Cochrane. – Wezmę naszych prawników, żeby od razu zajęli się całym interesem. Dostaniesz tyle najzręczniejszych skonstruowanych patentów w tym obszarze, ile tylko się da, i zwiążesz je ze Spaceways. A Spaceways zwiąże je wszystkie z jakimś szacownym gremium, powiedzmy Stowarzyszeniem Rozwoju Kosmosu, czymś w rodzaju Izby Handlowej dla wszystkich planet w kosmosie. A wszyscy ważniacy będą aż podskakiwać, żeby zasiadać w nim na honorowych miejscach. Będzie ono poza jakąkolwiek krytyką, będzie z pasją nosić w sercu interes publiczny, niemożliwe będzie, żeby ktokolwiek je ruszył, no i oczywiście będzie nieefektywne, jak jasna cholera. A im bardziej będzie nieefektywne, tym więcej będzie musiało brać za swoją nieefektywność – zaś za twoje patenty, będzie musiało oddawać nam solidny kęs od swoich dochodów brutto! A w międzyczasie, dostaniemy co nasze z tych planet na których lądowaliśmy i które rozreklamowaliśmy. Nie będziemy mieli kłopotów z klientami. Zbudowaliśmy sobie niezły rynek na nasze planety!

– Słucham? – zapytał Jones ze szczerym zdziwieniem.

– My – zaczął tłumaczyć Cochrane, – liczymy się jako pierwsi mieszkańcy, a co za tym idzie właściciele i rząd, pierwszych dwóch planet, na których wylądowali ludzie, poza Ziemią. Kiedy tworzone kolonie na Księżycu, opracowano wyrafinowane prawa, zabezpieczające przetrwanie dumy narodowej i tak dalej. Ktokolwiek jako pierwszy pozostanie na planecie przez pełny jej obrót wokół osi, staje się jej właścicielem i rządem, dopóki nie przybędą tam inni mieszkańcy. Potem rządem są

wszyscy razem, ale prawo własności pozostaje dla pierwszych. Posiadamy więc dwie planety. Całkiem niezłe planety. Również mocno rozreklamowane planety! Już wcześniej zawarłem umowy dotyczące koncesji na hotele na lodowcowej planecie.

Holden przysłuchiwał się temu ze wzrastającym niepokojem. W końcu powiedział z uporem:

– To nie w porządku, Jed! Nie mam nic przeciwko robieniu pieniędzy, ale pewne rzeczy są znacznie ważniejsze! Miliony ludzi na Ziemi -- a właściwie setki milionów tych nieszczęsnych biedaków -- spędza swoje życie w śmiertelnym strachu przed utratą pracy, nie śmiejąc nawet marzyć o czymś więcej niż zwykle trwanie! Ja chcę coś dla nich zrobić! Jed, ci ludzie potrzebują nadziei, po prostu dlatego aby zachować równowagę psychiczną. Być może jestem głupcem, ale ludzka rasa bardziej potrzebuje nadziei, niż ja potrzebuję pieniędzy!

Cochrane wyglądał jak wcielenie cierpliwości.

– Co więc byś mi zasugerował?

– Wydaje mi się – oznajmił ciężkim głosem Holden, – że powinniśmy oferować to co mamy światu. Niech wszystko przejmą rządy na Ziemi, i one będą pomagać w emigracji. Niejeden z nich chętnie się tym zajmie...

– Niestety – odparł Cochrane, – tutaj masz całkowitą rację. Chętnie by to zrobiły! Już od wielu pokoleń myślały o projektach przesiedleń i tego typu rzeczach. Obawiam się bardzo, że kiedy do wejdą akcji rządy, wtedy to co właśnie zaproponowałeś, zostanie w pewnym stopniu zrealizowane na tej, czy tamtej planecie. Ale na planecie lodowcowej będą hotele. Bogaci ludzie będą chcieli w nich mieszkać, żeby zwiedzać kraj, jeździć konno, polować, szusować na nartach i latać helikopterami nad wulkanami. Hotele będą potrzebowały pracowników. Pojawią się tam przewodnicy, leśnicy i zawodowi myśliwi. Sprowadzanie żywności z Ziemi będzie za dużo kosztować, a więc trzeba będzie pozakładać gospodarstwa rolne. Taniej będzie kupić żywność od niezależnego rolnika, niż produkować ją przy pomocy wynajętych ludzi. A więc rolnicy będą niezależni. Trzeba będzie pootwierać sklepy, żeby zaopatrywać ich we wszystko, co będzie im potrzebne, a turystów także w to, czego nie potrzebują, ale co chcą kupić. Z chwilą kiedy lodowcowa planeta wystartuje jako kurort turystyczny, pojawi się praca dla setek ludzi. Nie potrwa to wcale jakoś specjalnie długo, zanim pracy będzie dla tysięcy. Wkrótce będzie tam wręcz brakować ludzi. Każdy kto tylko będzie chciał, będzie mógł udać się tam do pracy. A nie będzie tam leciał oczekując certyfikowanego, psychologicznie przystosowanego środowiska, tylko zwykłej porządnej pracy, z możliwym, a nawet prawdopodobnym awansem zawodowym... I to właśnie jest środowisko, jakiego pragną ludzie! Wkrótce nawet hotele przestaną być hotelami dla bogatych turystów. Staną się zwykłymi, normalnymi hotelami, takimi jakie istnieją wszędzie tam gdzie są miasta, i przemieszczający się między nimi ludzie. Wtedy lodowcowa planeta przestanie być planetą turystyczną, a turyści staną się kłopotliwą plagą. Za to będzie domem dla cholernie wielkiej gromady ludzi! A każdy jej fragment zostanie zbudowany przez nich samych!

Holden stwierdził z zakłopotaniem:

– Ale to będzie bardzo powolne...

– Za to będzie pewne! – warknął Cochrane. – Pierwsze osady w Ameryce, kończyły się porażką, dopóki ludzie nie wzięli spraw w swoje ręce! Popatrz na tę planetę, z której odlatujemy! Ilu ludzi przyleci tutaj, żeby pracować w tej głupiej kopalni diamentów? Ilu będzie polować, żeby dostarczyć im mięsa? Ilu zajmie się rolnictwem, żeby dostarczyć myśliwym i górnikom innych produktów żywnościowych? A ilu jeszcze innych przyleci, żeby otworzyć sklepy i wytwarzać różne rzeczy... – Machnął ręką w geście zniecierpliwienia. – Myślisz o zachęcaniu ludzi do przenoszenia się do gwiazd, aby zrobić więcej miejsca na Ziemi. Otrzymałbyś wtedy fajnych pasywnych kolonistów, którzy posłusznie by się przenieśli, ponieważ jajogłowi powiedzieli im, że to jest mądre, a rząd zapłacił za ich podróż. Ja myślę o kolonistach, którzy będą walczyć, a całkiem prawdopodobne, że nawet nieco oszukiwać i kłamać, żeby dostać pracę, dzięki której będą mogli zaopiekować się swoimi rodzinami w taki sposób, w jaki tego pragną! Chcę ludzi, którzy przeniosą się tam, żeby dostać to czego chcą, pomimo wszelkich przeszkód, jakie będą rzucać im pod nogi inni, oraz zniechęcających rad! A teraz, a kysz! Jestem zajęty!

Jones delikatnie zapytał:

– Czym?

– Najnowszy interes jaki nam zaproponowano – niecierpliwie odparł Cochrane, – dotyczy praw do wierceń ropy. Koncesje uranowe, są już zagospodarowane. Energia wodna jest w zawieszeniu -- nie z powodu pieniędzy, tylko rzecz jest jeszcze nagrywana -- a...

Holden przerwał mu niespokojnie:

– Jest jeszcze jedna sprawa, Jed. Wszystkie twoje plany i spiski, ciągle mogą zostać zablokowane, jeżeli na Ziemi pomyślą, że możemy tam ściągnąć jakieś zarazy. Pamiętasz, jak kiedyś to sugerował Dabney? A niektórzy biolodzy i inni ludzie, zgadzali się z nim?

Cochrane wyszczerzył zęby w uśmiechu:

– Mamy tu kopalnię diamentów. Mamy też stada zwierząt, które ludzie będą nazywać bydłem. Tutaj jest więc żywność i bogactwo. Tutaj jest natura i przygoda. Tutaj jest przestrzeń, żeby czegoś dokonać! Nikt nie będzie trzymał dalej polityków, którzy spróbowaliby odpędzić swoich wyborców od jedzenia, pieniędzy i przygody -- nawet choćby musieli robić to początkowo przy pomocy pośredników, wysyłając w kosmos jakiegoś tam nadającego się do poświęcenia kuzyna Alberta, żeby zobaczyć, czy da on radę tutaj przeżyć. Oczywiście, będziemy musieli podjąć jakieś rozsądne środki ostrożności przeciwko zarazkom. Będziemy mieli kłopoty z ich narzuceniem. Ale damy radę!

Al zawołał na nich ze sterówki. Według niego statek znalazł się w odpowiednim położeniu, dla lotu w kierunku następnego punktu przystankowego. Chciał, żeby Jones naładował obwód dopalacza, a potem go uruchomił. Jones poszedł na górę.

Nieco później, wszyscy, co do jednego, odebrali to specyficzne wrażenie głosu, który nie był głosem. Wynik działania dopalacza nie był jednak satysfakcjonujący. Statek znajdował się ciągle w otwartym

kosmosie, a najbliższa gwiazda, nadal była gwiazdą. Nastąpiła więc powtórka skoku z dopalaczem. Ciągłe nie było najlepiej. Tak więc statek leciał, skakał i skakał, a potem leciał.

Jamison zszedł na dół, do Cochrane'a prowadzącego interesy przez komunikator. Czekał na chwilę przerwy. Cochrane właśnie mówił:

– Do diabła, nie zgadzam się! Chcę dwunastu procent, albo przyjmę inną ofertę!... Co?

To ostatnie było do Jamisona. Jamison powiadomił go z niepokojem:

– Znaleźliśmy następną planetę. Mniej więcej wielkości Ziemi. Czapy lodowe, Chmury, Oceany. Morza. Nawet rzeki! Ale na powierzchni nie ma nawet śladu zieleni! Tylko nagie skały!

Cochrane myślał ze skupieniem. Potem powiedział niecierpliwie:

– Jajogłowi na Ziemi, twierdzili że życie nie mogło powstać na wszystkich planetach, do tego przystosowanych. Mówili, że muszą istnieć planety na których życie nie powstało, pomimo że doskonale się do tego nadają. Wylądujcie i wypróbujcie powietrze przy pomocy alg, tak jak to zrobiliśmy na pierwszej planecie.

Odwrócił się z powrotem do komunikatora.

– Mówi pan – warknął do znajdującego się na dalekiej Ziemi człowieka, – że wszystko to jest tylko na papierze. Ale to jedyny powód, dla którego w ogóle dostaje pan szanse aby w to wejść! Gwarantuję, że Jones zainstaluje na statkach napędy spełniające nasze wymagania dzielności kosmicznej – albo standardy państwowe, jeżeli one są bardziej surowe – za dziesięć procent akcji pańskiej kompanii, plus dwanaście procent kosztu każdego statku, w gotówce. Ani grosza mniej!

Usłyszał, że w międzyczasie odgłos pracy rakiet zrobił się znacznie silniejszy, co było sygnałem schodzenia w studnię grawitacyjną.

Planeta była pozbawiona życia. Kiedy Cochrane wyglądał na zewnątrz przez porty w sterówce, widać było że statek wylądował na gołej skale. Mieli kłopoty ze znalezieniem płaskiego miejsca, w którym płetwy ogonowe znalazłyby odpowiednią podstawę. Znalezienie czegoś takiego i solidne osadzenie statku po wylądowaniu, zajęło im ponad pół godziny manewrowania. Zastany tam stan rzeczy był przerażający.

Miejsce w którym wyklarowali, pokryte było masą nagich bazaltowych wielokątów, podobnych do członów kolumn, jak na Grobli Olbrzyma na wybrzeżu Irlandii, na Ziemi. Nigdzie nie było widać żadnego bardziej miękkiego kształtu. Kamienie, które na innych planetach zagrzebane były w ziemią, tutaj sterczały ostrymi krawędziami. Ziemi po prostu nie było. Nie było mikroskopijnych organizmów, rozkładających skałę i zmieniających ją w ziemię, w której mogą przetrwać mniej ulotne organizmy żywe. Nagość skał powodowała, że wszędzie pyszniły się one jaskrawymi kolorami. Kolory były tak wspaniałe, jak nigdzie indziej, poza ziemskim Księżycem. Nie było widać żadnej roślinności.

W jakiś sposób, było to wstrząsające. Ludzie na statku stali i wpatrywali się w widok na zewnątrz, ale nie było tu czego komentować. Po lewo od miejsca lądowania, rozciągało się olbrzymie, czarne morze. W głębi lądu widać było góry i doliny. Góry jednak w zasadzie nie miały zboczy. U stóp ich ścian skalnych leżały sterty szczątków, ale były to tylko

szczątki. Nie było widać, aby gdziekolwiek rośla najmniejsza choćby kępa chwastów. Ani źdźbło trawy. Nie było widać mchu, liści. Niczego.

Powietrze było zupełnie puste. Nic nie latało. Oczywiście, pojawiały się chmury. Niebo było nawet niebieskie, aczkolwiek ciemniejsze niż na Ziemi, ponieważ nie było roślin mogących rozdrobnić skałę na pył, albo utworzyć pył z własnych szczątek.

Morze wykazywało niepokonowaną aktywność. Wielkie fale rozpędzały się w stronę kanciastej linii brzegowej i uderzały w nią z nieczułą gwałtownością. Rozbijały się w wielkich fontannach piany. Ale piana ginęła -- za szybko -- i napływająca woda znowu robiła się ciemna. Daleko wzdłuż spienionego brzegu, widać było czarne chmury, z nieba lały się strumienie wody i lśniły błyskawice. Wszystko to tworzyło scenę spustoszenia, która wyglądała jakoś znacznie bardziej straszliwie, niż na poznanym bliznami i poobijanym ziemskim Księżycu.

Cochrane rozglądał się bardzo uważnie. Podeszła do niego Alicia, lekko się wahając.

– Johnny teraz zasnął. Początkowo nie mógł spać, a kiedy lecieliśmy w stanie nieważkości, był bardzo nieszczęśliwy. Ale zasnął natychmiast, jak tylko tutaj wylądowaliśmy. Bardzo potrzebuje odpoczynku. Czy moglibyśmy... po prostu zostać tutaj nieco dłużej, tak by mógł złapać trochę snu?

Cochrane skinął głową. Alicia uśmiechnęła się do niego i odeszła. Na jej policzku nadal widać było ślady uderzenia. Poszła na dół, gdyż jej mąż mógłby ją potrzebować. Holden kwaśno stwierdził:

– Ta planeta jest bezużyteczna. Tak jak jej mąż.

– Zaczekaj, dopóki nie sprawdzimy powietrza – z roztargnieniem odparł mu Cochrane.

– Sprawdziłem je – obojętnie poinformował go Holden. – Wszedłem do śluzy i wciągnąłem powietrze przy uchylonym zewnętrznym włączniku. Jakoś nie umarłem, więc otworzyłem właz zupełnie. Pachnie kamieniem. To wszystko. Powietrze doskonale nadaje się do oddychania. Ocean prawdopodobnie zaabsorbował wszystkie rozpuszczalne gazy, a gazy trujące zazwyczaj są rozpuszczalne. Gdyby nie były, nie mogłyby być trujące.

– Mmmmm – z zamyśleniem stwierdził Cochrane.

Podszedł do niego Jamison.

– Nie będziemy tu długo zostawać, co? – spytał go. – Nie lubię patrzeć na takie widoki. Księżyc jest już wystarczająco okropny, ale tam przynajmniej nic by nie mogło żyć! Tutaj, mogłoby żyć wszystko. Ale nie żyje. Nie podoba mi się to! Wcale mi się to nie podoba!

– Zostaniemy tutaj co najmniej na czas drzemki Johnny'ego. Pomimo tego co widzimy za oknem, chciałbym żeby Bell robił zdjęcia wszystkiemu, co tylko się da. Prawdopodobnie nie do audycji, ale z powodów biznesowych. Będę potrzebował zdjęć, jako podpórki do umowy.

Jamison odszedł. Holden stwierdził, bez specjalnego zainteresowania w głosie:

– Na tej planecie nie zrobisz żadnych specjalnych interesów! Możesz sobie ją wziąć, i zrobić z nią wszystko, co tylko chcesz! Nie podoba mi się tu, zupełnie.

Cochrane wzruszył ramionami.

– Jeżeli już mówimy o rzeczach, które zupełnie ci się nie podobają, to co z Jimmym Simmsem? Co powiesz jako psychiatra, jakie skutki może przynieść spędzenie całej nocy w ciemnościach oraz podziobanie niemal na śmierć przez gromadę wielkich ptaszysk. Jak to na niego wpłynie? Czy psychopaci nie są tacy, jacy są, ponieważ nie potrafią stawić czoła rzeczywistości, albo nigdy nie musieli tego robić?

Holden spoglądał gdzieś daleko, wzdłuż niesamowitej pozbawionej życia linii brzegowej, na szalejącą burzę. Pod grubo nawarstwionymi chmurami, było zupełnie ciemno. Morze pieniało się, uderzało o brzeg i natychmiast robiło się ponownie wolne od piany. Działo się tak, ponieważ nie było w nim żadnego planktonu, żadnych mikroorganizmów, ani innych kleistych stworzeń organicznych, woda nie była więc w stanie wytworzyć piany, która byłaby bardziej trwała. Rozległ się grzmot, gdzieś tam w burzy, ale nie było żadnych uszu, mogących go usłyszeć. Nad tą olbrzymią planetą świeciło słońce, którego nie oglądały niczyje oczy. Zapadała noc, podczas której nic nie odpoczywało, a gdzieś tam właśnie wstawał świt, a nic nie śpiewało.

– Popatrz tylko na to, Jed – ciężkim głosem oznajmił Holden. – Oto jest rzeczywistość, której nikt z nas nie chce stawić czoła! My jesteśmy kimś w rodzaju uciekinierów od tego, co jak się obawiamy, jest rzeczywistością. Oto jest rzeczywistość, a ona powoduje, że czuję się mały i bezradny. A więc nie lubię na nią patrzeć. Johnny Simms nie chciał stawić czoła temu, czemu aby stawić czoła, człowiek musi dorosnąć. To powodowało, że czuł się bezradny. A więc wybrał sobie przyjemniejszą rolę, niż realisty.

Cochrane skinął głową.

– Ale jego brak realizmu, ostatniej nocy władował go w bardzo realistyczny bałagan, którego nie potrafił uniknąć! Czy to jakoś go zmieni?

– Prawdopodobnie – odparł Holden, bez cienia uczucia w głosie. – Kiedyś obłąkańców kładło się do dołów razem z węzami. Jeżeli byli to ludzie, którzy wybrali obłąd jako sposób ucieczki od rzeczywistości, konieczność ucieczki przed węzami, sprowadzała ich do niej z powrotem. Później, w tym samym celu, przyjęło się używać terapii wstrząsowych. W dzisiejszych czasach jesteśmy jednak za delikatni, aby stosować oba z tych rodzajów terapii. Ale Johnny sam sobie ją zafundował. Są szanse, że od tej pory, nigdy już nie będzie chciał zostać sam, nawet na moment, i nigdy nie ośmieli się gniewać na kogoś, albo kogoś rozgniewać. Przydusiłeś go, a on uciekł, i to nie był dobry pomysł! Tak więc od dzisiaj, Johnny będzie bardzo dobrze wychowanym małym chłopcem w ciele dorosłego mężczyzny. – Dodał jeszcze, naprawdę bardzo kwaśno: – Alicia będzie szczęśliwa, mogąc się nim opiekować.

Chwilę później, jeszcze dorzucił:

– Patrzę na tę całą konstrukcję, mniej więcej z taką samą przyjemnością, jak na widok za oknem.

Cochrane nic nie odpowiedział. Holden polubił Alicię. Za bardzo. Nie robiło to jednak żadnej różnicy. Po chwili, mimo wszystko, zmienił temat.

– Myślę, że ta planeta może być przedmiotem całkiem niezłego zakładu. Ty twierdzisz, że ona do niczego się nie nadaje. A ja mam zamiar pogadać z firmami zajmującymi się chlorellą. Hodują jadalne drożdże w zbiornikach i chlorellę w kadziach. Produkują znaczącą część żywności. Ale muszą hodować to wszystko w zamkniętych pomieszczeniach i mają straszliwą robotę, z zachowaniem sterylności. Tutaj będą mogli obsiać chlorellą oceany! Drożdże mogą hodować w jeziorach, na dworze! Przypuszczam, że wykorzystają tę planetę do wyhodowania monstrualnych ilości niezbyt może atrakcyjnych, ale bardzo przydatnych produktów żywnościowych.

Holden zamrugał oczyma. Otrząsnął się nawet ze swojej depresji.

– Jed! – powiedział ciepło. – Powiedz to światu -- udowodnij to -- a ludzie przestaną się bać! Przestaną bać się głodu, zanim będą mogli masowo ruszyć do gwiazd! Jed... Jed! To jest właśnie to, czego świat potrzebuje najbardziej!

Cochrane jednak wykrzywił się.

– Być może – przyznał. – Tylko że ja próbowałem kiedyś tych rzeczy! Według mnie to jest paskudztwo! Ale, jeżeli ludzie chcą to jeść...

Wrócił na dół, do komunikatora, skontaktować się z firmami na Ziemi, hodującymi chlorellę, żeby dowiedzieć się, czy są jakieś specjalne informacje, które byłyby im potrzebne do rozważenia propozycji.

I w ten sposób, statek wkrótce wystartował w drogę do domu. Wylądował najpierw na powierzchni Księżyca, gdzie Johnny Simms został zapakowany w skafander kosmiczny i przetransportowany do Lunar City, gdzie mógł sobie dalej żyć, wolny od zagrożenia ekstradycją na Ziemię. Nie chciał tam zostać. Alicia to potwierdzała. Chcieli przenieść się na lodowcową planetę, zaraz jak tylko zostaną tam zbudowane hotele. Być może pewnego dnia polecą nawet na planetę kudłatych zwierząt. Johnny miał już nigdy nie sprawiać kłopotów. Obecnie patetycznie niepokoił się i pożywał, aby ludzie go lubili, i trzymali się blisko niego, a w żadnych okolicznościach nie gniewali się na niego, albo nie izolowali go od siebie. Alicia miała teraz pełne ręce roboty, powstrzymując ludzi, by nie wykorzystywali go dla własnych celów.

Statek jednak poleciał dalej na Ziemię. Na Ziemi Jamison stał się najślawniejszą osobowością telewizyjną w całej historii, opisując i ekstrapolując barwne zagrożenia i wspaniałe możliwości przemysłowe, jakie oferowały podróże międzygwiazdne. Bell był jego towarzyszem i równą mu gwiazdą. Wkrótce Jamison przyznał się prywatnie Cochrane'owi, że on i Bell chętnie by wzięli udział w kolejnej międzygwiazdnej ekspedycji eksploracyjnej. Żaden z nich nawet nie myślał o emeryturze, chociaż obaj byli całkiem nieźle sytuowani. Byli przecież akcjonariuszami kompanii Spaceways, co gwarantowało im dostatnie życie.

Cochrane rozkręcił Spaceways, Inc. do pełnej sprawności działania. Walczył gwałtownie przeciwko jakiegokolwiek osobistej popularności, ale zaharowywał się niemal na śmierć. Każdego dnia spędzał całe godziny na szaleńczych targach oraz cynicznym wykrywaniu zręcznie zamaskowanych śmiertelnych pułapek, w przekazywanych mu propozycjach biznesowych. Jego prawnicy uparli się, że będzie potrzebował biura -- co było faktem -- i wkrótce miał już cztery sekretarki i całą rozbudowaną hierarchię podległych mu ludzi. Pewnego dnia jego główna sekretarka powiedziała mu ze współczuciem, że jakiś człowiek czeka już dwie godziny po umówionym czasie spotkania, żeby się z nim zobaczyć.

To był Hopkins, ten sam człowiek, któremu nie chciało się przerwać sobie kolacji, żeby wysłuchać protestu Cochrane'a. Hopkins był dokładnie tak samo grubą rybą, jak zawsze. To tylko Cochrane stał się znacznie grubszy.

To otrzeźwiło Cochrane'a. Pomknął natychmiast do Babs i bezlitośnie odwołał wszystkie swoje spotkania i porzucił, albo przekazał przedsiębiorstwa, i wykonał wszystkie inne przygotowania, niezbędne do zmiany stylu życia na bardziej satysfakcjonujący.

W odpowiedniej chwili, pojawili się oboje w terminalu Spaceways, aby wsiąść na pokład statku do gwiazd. Terminal był zaimprovizowany, ale mocno obciążony. Już obecnie każdego dnia odlatywało z niego w polach Dabneya osiemnaście statków. Osiemnaście innych przylatywało. Jones już wcześniej wystartował gdzieś w statku, zbudowanym zgodnie z jego pomysłami. Oficjalnie, zajmował się badaniami dla Spaceways, ale faktycznie nikt mu nie mówił co ma robić. Ze szczęściem w duszy zajmował się jakimiś nieprawdopodobnymi urządzeniami, otrzymując czasami jeszcze bardziej nieprawdopodobne wyniki. Holden również opuścił już Ziemię. Był na planecie kudłatych zwierząt, działając jako konsultant w przypadkach osób, które tam poleciały i stały się emocjonalnie niestabilne, ponieważ mogły robić to, co im się żywnie podoba, nie będąc zmuszonymi przez konieczność ekonomiczną do robienia czegoś innego.

Tego jednak dnia, Babs i Cochrane weszli razem do wielkiej hali terminala Spaceways. Wszędzie było pełno ludzi. Biura zatrudnienia przedsiębiorstw z trzech planet, które obecnie kolonizowano, przyjmowały zgłoszenia do pracy na tych dalekich światach, i wyjaśniały jak długa musi być umowa zatrudnienia, aby można było otrzymać darmowy bilet na przejazd. Oczekiwali tam również reprezentanci Izb Handlowych przygotowani do udzielania wszelkich informacji technicznych, ewentualnym przyszłym przedsiębiorcom. Znajdowały się tam także biura rezerwacji biletów, biura przedsiębiorstw transportowych, agencji turystycznych...

– Hmm – nagle powiedział Cochrane. – Czy wiesz, że już od miesiący nie słyszałem nic nowego na temat Dabneya? Co się z nim dzieje?

– Dabney? – spytała Babs. Była cała rozpromieniona. Kobiety w terminalu podziwiała rzeczy, jakie miała na sobie. Nie rozpoznawały jej -- Cochrane trzymał ją poza anteną -- ale wyraźnie jej zazdrościły. Czuła się naprawdę bardzo sympatycznie. – Dabney?... Och Jed, tutaj musiałam

użyć mojego własnego osądu. Ty byłeś tak strasznie zajęty! Pomimo wszystko był on przecież konsultantem naukowym Spaceways. Zapłacił Jonesowi całkiem niezłą sumę, za prawa do sławy. Kiedy wszystko inne stało się o tyle ważniejsze od samej teorii naukowej, znalazł się w naprawdę okropnym stanie. Jego rodzina skonsultowała się z doktorem Holdenem, i zajęliśmy się tym. Urzęduje dokładnie tam, z tamtej strony!

Pokazała mu ręką. Cochrane zobaczył wspaniałe, otoczone szklanymi płytami biuro, wyrastające ze ściany hali. Zbudowane zostało na podwyższeniu, tak że zachwycająco rzucało się w oczy. Nad prowadzącymi do niego schodami, znajdowała się skromnie zaprojektowana, ale doskonale widoczna tablica. Napis na niej głosił: „*H. G. Dabney, Konsultant Naukowy*”.

Dabney siedział za przerośniętym biurkiem, wyraźnie widocznym dla tych wszystkich tysięcy ludzi, którzy wylatywali z Ziemi, i tych milionów, którzy mieli wylecieć w najbliższym czasie. Widać było, że myślał. Wkrótce wstał z krzesła i zaczął krążyć medytacyjnie w tą i z powrotem, po biurze, które równie mocno przyciągało oczy, jak podobnych rozmiarów akwarium ze złotą rybką, postawione w tym samym miejscu. Wydawało się, że zauważył kogoś na dole, w hali. Oczywiście mógłby rozpoznać Cochrane’a. Ale nie rozpoznał.

Uklonił się. Był przecież wielkim człowiekiem. Bez wątpienia każdego wieczora wracał do swojej żony szczęśliwy i przekonany, że wyrządzał światu wielką łaskę, pozwalając spoglądać na siebie.

Babs i Cochrane szli dalej. Pieczołowicie zajęto się ich nadanym bagażem. W tych czasach, odlot statku do gwiazd, był już dużo mniej skomplikowany i znacznie bardziej wygodny, niż start zwykłą rakietą księżycową.

Kiedy znaleźli się już na statku, Babs wydała z siebie westchnienie absolutnej ulgi.

– Teraz – stwierdziła z energią, – teraz jesteś w końcu na emeryturze, Jed! Nie musisz się już o nic martwić! Wobec tego ja mam zamiar cię skłonić, żebyś trochę pomartwił się o mnie... nie, nie pomartwił się o mnie, ale pomyślał o mnie!

– Oczywiście – odparł Cochrane. Popatrzył na nią ze szczerym uczuciem. – Zrobimy sobie długie, dobre wakacje. Najpierw na lodowcowej planecie. Potem zbudujemy dom, gdzieś między wzgórzami, za Diamondville...

– Jed! – przerwała mu oskarżycielskim tonem Babs.

– Tam jest już całkiem spora gromada ludzi – przeproszająco powiedział Cochrane. – Nie minie dużo czasu, a logiczne będzie powstanie lokalnej stacji telewizyjnej. Tylko tak sobie myślałem, Babs, że kiedy już się znudzimy tym całym próżnowaniem, mógłbym zacząć tam produkować programy. Naprawdę rozsądne rzeczy. Nie komercyjne. A oczywiście zawsze mogą być przesłane na Ziemię przez pole Dabneya, jeżeli jakiś sponsor będzie chciał za nie zapłacić. Myślę, że one mogły...

Wkrótce statek z Babs i Cochranem wystartował do gwiazd. To był doskonale rutynowy lot. Pomimo wszystko podróże międzygwiazdne miały już prawie sześć miesięcy. Nie były już żadną nowinką.

Operacja Kosmos, były to już dawne czasy.

KONIEC